

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



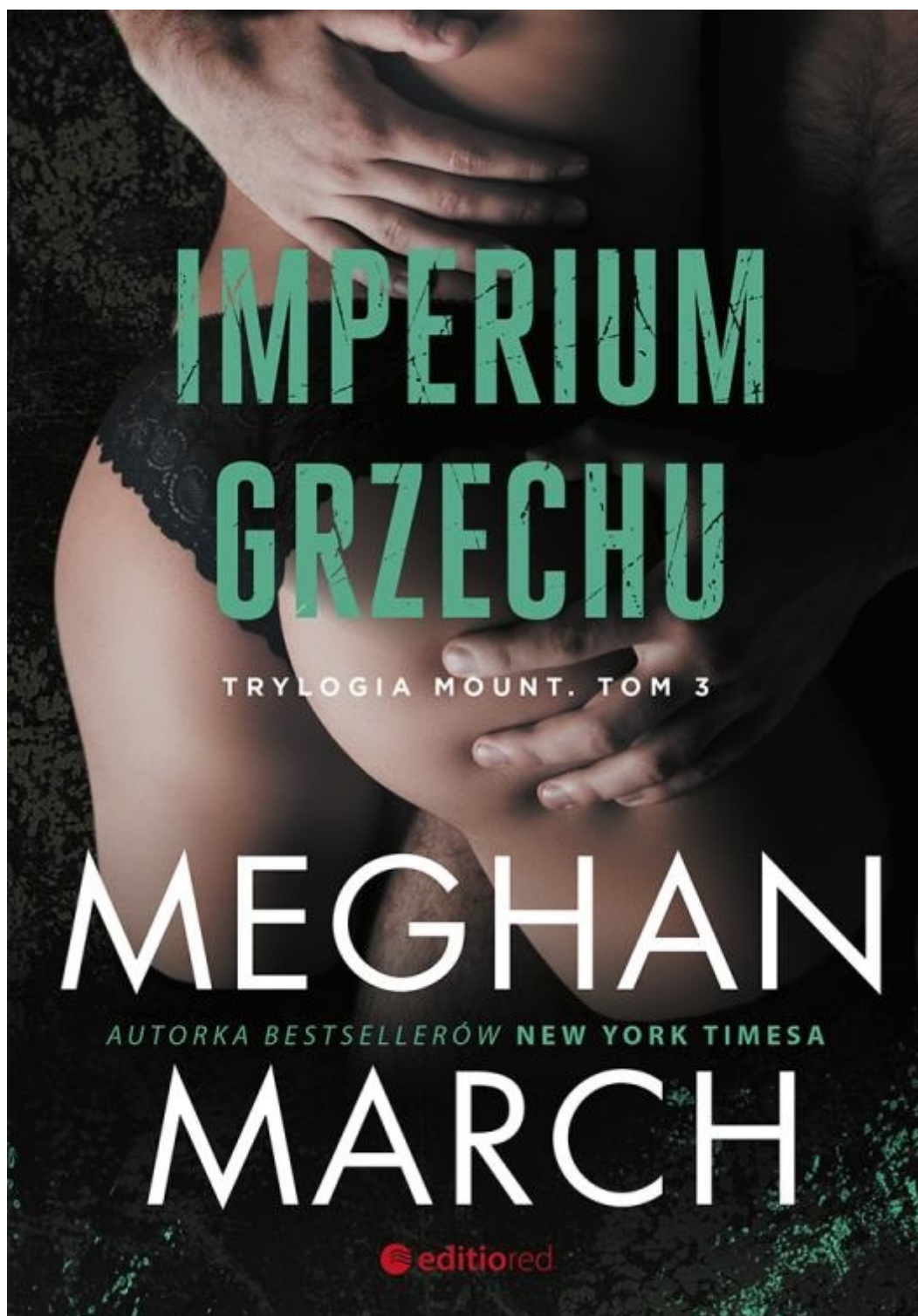
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 



Meghan March

Imperium grzechu

Tytuł oryginału: Sinful Empire (Mount Trilogy #3)

Tłumaczenie: Olgierd Maj

ISBN: 978-83-283-4851-6

Copyright © 2017. Sinful Empire by Meghan March.

Copyright © 2017 by Meghan March LLC

Polish edition copyright © 2019 by Helion SA

All rights reserved.

Wszelkie

prawa

zastrzeżone.

Nieautoryzowane

rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie

książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym

powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi

znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Helion SA dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Helion SA nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z

wykorzystania informacji zawartych w książce.

HELION SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

[Poleć książkę](#)

[Kup w wersji papierowej](#)

[Oceń książkę](#)

[Księgarnia internetowa](#)

[Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)

1.

Mount

Dwadzieścia osiem lat wcześniej

— Ty przeklęty gnojku! Wracaj tutaj! Wsadzę cię za to do paki!

Przeciskałem się przez tłum, wpadając na turystów i klucząc, by zgubić mężczyznę, który za mną gonił. Nie udało mi się nawet wykorzystać zamieszania, by skraść komuś portfel czy ładny zegarek.

I wszystko tylko dlatego, że chciałem pierdolonego snickersa, by uciszyć mój burczący z głodu żołądek na parę godzin, i żał mi było w tym celu wydawać ciężko zarobione pieniądze. Życie

na ulicy w Nowym Orleanie nie jest zajęciem dla mięczaków.

Ciemna strona miasta jest w stanie pożreć i przeżuć każdego szybciej, niż można powiedzieć „worek na zwłoki”.

Nie zdobywaj przyjaciół, tylko sprzymierzeńców. Nie ufaj im jednak, gdy stracisz ich z oczu.

— Widzę cię, smarkaczu! Gliny już jadą! Tym razem nie ujdzie ci to na sucho!

Ernie, gnojek będący właścicielem sklepu spożywczego, z

którego najłatwiej w całej Dzielnicy Francuskiej można świsnąć

słodycze, tym razem naprawdę był zdeterminowany, by posłać mnie do paki. Jednak najpierw musiałby mnie złapać.

Trzy lata na ulicach sprawiły, że nikt nie znał ich lepiej ode mnie.

Prześlizgnąłem się przez tłum, przebiegłem aleją i przecisnąłem się między dwoma wygiętymi prętami w żelaznym ogrodzeniu.

Ernie ze swoim tłustym tyłkiem nie miał najmniejszych szans, by się tam zmieścić. Przebiegłem błyskawicznie przez wykładany cegłą chodnik i natrafiłem na metalową furtkę.

Zamkniętą, jednak dla mnie to nie był żaden problem.

Wspiąłem się na

pierdoloną

furtkę

niczym

małpa

i

wylądowałem jak kot po drugiej stronie kwartału. Ten dupek nigdy mnie nie znajdzie. Wsadziłem ręce do kieszeni i

wyciągnąłem z niej portfele, które zwędziłem, zanim jeszcze poszedłem do Erniego. Musiałem się ich pozbyć na wypadek, gdyby mnie zgarnęli.

Rozejrzałem się wzdłuż ulicy, nim odwróciłem się tyłem i otworzyłem jeden z nich. Wyjąłem ze środka dwie dwudziestki.

Nieźle. Mogłem się za to wyżywić przez kilka tygodni.

Zerknąłem na dokumenty w portfelu, po czym wyrzuciłem go do studzienki.

Rock Mount. Brzmi jak dupek. Kto mógłby tak nazwać dziecko?

Jak tylko pojawiła mi się ta myśl, zepchnąłem ją na bok.

Przynajmniej zadali sobie trud nadania mu imienia.

Otworzyłem drugi portfel i znalazłem z nim szeleszczącą

stówkę. *Super*. Oszczędzając, byłem ustawiony na parę miesięcy, a jeśli gotów byłbym zaryzykować, mógłbym być może

podwoić moją gotówkę.

Zerknąłem na drugi dowód. *Lachlan Thorpe*. Trochę lepiej niż Rocky Mount.

Wrzuciłem drugi portfel w ślad za pierwszym, rozwinąłem snickersa, po czym wsunąłem go całego do ust, by pozbyć się resztek dowodów, i zacząłem przeżuwać, chociaż baton lepił mi

się do zębów. Miałem wrażenie, że żołądek przysechł mi do kręgosłupa, nie mogąc się już doczekać posiłku. Starąłem się nie opuszczać posiłków przez więcej niż dzień lub dwa, ale nie zawsze miałem wybór.

— Widzę cię, śmieciu!

Obróciłem głowę w stronę, z której dochodził głos Erniego.

Cholera.

Jego zwaliste cielsko wyłoniło się zza rogu w towarzystwie dwóch gliniarzy. Ruszyłem w przeciwnym kierunku.

Byłem szybszy. I sprytniejszy. A przynajmniej tak sobie wmawiałem, pędząc popękanym chodnikiem.

— Młody, zatrzymaj się!

Usłyszałem za sobą dudniące kroki. Obejrzałem się za siebie, gdy dotarłem do skrzyżowania, zamiast patrzeć przed siebie.

Błąd nowicjusza.

Czarny mercedes nie zatrzymał się na znaku stopu i uderzył we

mnie.

Cholera, to bolało.

Moje ciało napięło się podczas uderzenia, skuliłem się i przeturlałem po masce samochodu. Łokciami uderzyłem w szybę, gdy samochód zatrzymał się, znowu wyrzucając mnie w

przód. Coś wbiło mi się w bok, nim zsunąłem się z maski na beton.

Niech to szlag, jak to bolało. Stłumiłem jęk, oparłem dłonie o chodnik i odepchnąłem się od ziemi.

Ernie i gliniarze, wrzeszcząc jak idioci, zbliżali się z każdą chwilą.

Chwiejnie stanąłem na nogi. Musiałem się stąd wyrwać albo po mnie.

Kostka bolała mnie i noga ugięła się pode mną, jak tylko ją obciążyłem, przez co znowu poleciałem do przodu. Chwyciłem się samochodu, by nie upaść na ziemię. Żebra zaprotestowały ostrym bólem. Zacisnąłem zęby. To nie pierwszy raz, gdy je złamałem, więc z doświadczenia wiedziałem, jak nieprzyjemny jest proces zdrowienia. Musiałem stąd uciec, znaleźć miejsce, gdzie będę mógł w spokoju zemdleć, tak by nikt mnie nie dopadł. Wiedziałem, że jeśli padnę, będę miał naprawdę przesrane.

Drzwi kierowcy i drzwi z tyłu otworzyły się. Wciąż kurczowo trzymałem się maski, by nie paść na ziemię.

Przekłęci bogacze w wypasionych samochodach z wymyślnymi ozdobami na masce.

— Stój, gówniarzu! Tym razem trafisz...

Słowa Erniego urwały się. Czarne mroczki tańczyły mi przed oczami, gdy próbowałem się skupić. Zarówno właściciel sklepu,

jak i dwóch gliniarzy za nim stali na środku drogi jak wmurowani.

— Panie Morello, najmocniej przepraszamy. Już zabieramy tego

śmiecia z pana drogi — powiedział jeden z gliniarzy.

— Może wyjaśnią panowie, co tu się dzieje? — Głos był głęboki

i miał lekki włoski akcent.

Morello. Morello. Mój umysł nie działał w tym momencie tak, jak powinien, jednak gdzieś już słyszałem to nazwisko.

Powinienem wiedzieć, kto to. Morello...

— To tylko dzieciak, który kradł słodycze ze sklepu. Próbuje

go złapać już od dwóch lat.

Po wyjaśnieniu Erniego rozległ się gromki śmiech.

— Albo więc on jest taki bystry, albo wy jesteście tak cholernie niekompetentni. Która to z tych możliwości? — W głosie

mężczyzny nie znać było cienia szacunku dla Erniego lub gliniarzy i wreszcie w moim umyśle zaskoczyła klapka.

Jasna cholera. Morello to Johnny Morello, obecnie głowa przestępczej rodziny Morello. To oni zarządzili tym miastem.

Nowy Orlean należał do nich.

Miałem przechlapane, jakkolwiek na to patrzeć. Uszkodziłem samochód Morella i prawdopodobnie jego człowiek zaraz mi wpakuje kulkę w łeb, podczas gdy policja będzie na to patrzeć, drapiąc się po jajach i nie śmiąc go tknąć. Nikt nie mógł go tknąć. Jeśli zaś jego osiłek by mnie zastrzelił, to rzuciłby mnie glinom i Erniemu na pożarcie. Więc nie miałem żadnej nadziei,

że to skończy się dobrze. W tych czasach dzieciaki takie jak ja sądzono jak dorosłych za każde gówno. Ernie bez wątpienia zrobi wszystko, by władować mnie do paki, najlepiej na dożywocie.

Wciąż kurczowo trzymałem się samochodu, zgięty wpół. W moim polu widzenia pojawiły się lśniąco skórzane buty.

Powstrzymałem się, by nie zwymiotować na samochód i buty, po czym zmusiłem się, by mimo palącego przy każdym oddechu

bólu pod żebrami stanąć prosto.

— Jak się nazywasz, mały? — zapytał Morello cicho, jednak w jego głosie słychać było niekwestionowaną siłę. Z tego, co słyszałem, nie był to człowiek, z którym można by zadrzeć.

Spojrzałem mu w oczy, zdeterminowany, by nie okazać strachu,

czego nie dałoby się powiedzieć o Erniem i gliniarzach. *Na pewno teraz leją ze strachu w majty.*

Od dwóch lat, odkąd mieszkalem na ulicy, nie miałem imienia.

Zostawiłem Michaela Archa za śmietnikiem, spoza którego

patrzyłem, jak pracownica opieki społecznej odebrała Hope i Destiny z kościelnego schroniska. Urodziłem się bez imienia, więc żyłem bez imienia. Ale tego nie mogłem powiedzieć

Johnny'emu Morello. I za nic w świecie nie mogłem podać mu imienia *Michael Arch*. Z tego, co wiedziałem, nadal poszukiwany był za morderstwo.

— Ja się nigdy nie powtarzam, mały.

Ktoś trącił mnie od tyłu. Wyprostowałem się, starając się nie okazywać przeszywającego bólu.

Ciemne oczy Morella wpijały się we mnie, gdy rozpaczliwie zastanawiałem się, co mu odpowiedzieć. Przypomniałem sobie dokumenty, które właśnie wyrzuciłem do rynsztoka.

— Nazywam się Lachlan Mount, proszę pana. Przepraszam za zniszczenie samochodu. To nie było celowe. Nie chciałem okazać braku szacunku.

Morello przyjrzał mi się uważnie, niewątpliwie dostrzegając to, jak bardzo byłem brudny, potargany, wychudły i jak twarde miałem spojrzenie.

— Lachlan Mount. Silne imię dla sprytnego dzieciaka. Tym właśnie jesteś, Mount?

— Tak, proszę pana.

— Wymykałeś się gliniarzom przez dwa lata? — Zmrużył oczy, jakby spodziewając się kłamstwa. Jednak Morello nie wiedział, że nie miałem już nic do stracenia.

— Tak, proszę pana.

Lekko uniósł brwi.

— W takim razie dzisiejszy dzień nie poszedł zgodnie z planem.

— Nie, proszę pana. Zupełnie nie. — Zacisnąłem zęby. Im dłużej

stałem prosto, tym bardziej intensywny stawał się ból.

— Zniszczyłeś mój samochód, więc jesteś moim dłużnikiem, Mount.

Skinąłem głową i sięgnąłem do kieszeni, by wyjąć pieniądze, które skradłem.

— Przepraszam, proszę pana. — Wyciągnąłem je w jego kierunku. — To wszystko, co mam.

Spojrzał na banknoty w mojej dłoni i roześmiał się głośno. Jego gromki śmiech wydawał się odbijać echem od wysokich ceglanych budynków, które nas otaczały i odcinały mi drogę ucieczki.

— Wiesz, ile kosztuje ten samochód, dzieciaku? To, co tu masz,

nie starczyłoby nawet na naprawę ozdoby na masce.

— To wszystko co mam, proszę pana.

Zamarłem, czekając, aż lufa dotknie tyłu mojej głowy, bo słyszałem, że to preferowany przez mafię styl egzekucji, jednak nic takiego nie nastąpiło.

Morello przechylił głowę, przyglądając mi się uważnie.

— Ile czasu potrzebowałeś, by ukraść te pieniądze?

— Kilka minut. Zwinąłem je po drodze do sklepu tego tłuściocha.

— Hej! — zaprotestował Ernie, gotowy się bronić, jednak Morello uniósł dłoń i Ernie natychmiast zamilkł.

Morello przeciągnął dłonią po ciemnym, zaczynającym już

siwieć wście i przyjrzał mi się jeszcze uważniej.

— Ile masz lat, Mount?

Im częściej powtarzał imię, które sobie wybrałem, tym bardziej

mi się podobało. Pasowało mi. Jakbym się urodził z właśnie tym

imieniem.

Wyprostowałem ramiona, mimo przeszywającego bólu. Miałem

swoją dumę, silniejszą niż ból.

— Piętnaście, prawie szesnaście.

Tę drugą część zmyśliłem, bo nie miałem pojęcia, kiedy dokładnie przypadają moje urodziny.

Morello opuścił dłoń i przeszył mnie spojrzeniem.

— Masz trzy opcje do wyboru dzisiaj, Mount, bo jestem w szczodrobliwym nastroju.

Milczałem, czekając na wyrok.

— Pierwsza: oddam cię policji i będą cię sądzić jak dorosłego.

Trafisz do więzienia. Wątpię, byś przeżył dzień, nie stając się czyjąś ulubioną suką.

Zmusiłem się, by nie okazać żadnej reakcji, mimo że na samą myśl robiło mi się słabo, ponieważ wiedziałem, że miał rację.

— Druga: Frankie zastrzeli cię na miejscu za to, że popsułeś mój ulubiony samochód, i zostawimy twoje ciało w rynsztoku.

Zresztą prawdopodobnie i tak spodziewałeś się, że tam właśnie

skończysz.

W tej kwestii też się nie mylił, ale znowu nic nie odpowiedziałem.

— Albo trzecie: wsiądziesz do wozu, zawieziemy cię do lekarza,

który cię poskłada, po czym będziesz u mnie pracował, aż odrobisz

każdy

grosz

potrzebny

na

naprawę

mojego

samochodu. Jeśli tego nie spieprzysz, to zobaczymy, jak nam podpasujesz, i może dostaniesz prawdziwą robotę, zamiast okradać turystów.

Jeden z policjantów zebrał się wreszcie na odwagę, by się odezwać.

— Panie Morello, już my się nim zajmiemy. Nie ma powodu, żeby pan sobie zawracał głowę tym...

— Gdybym był zainteresowany twoją opinią, psie, to bym o nią

poprosił. A teraz się zamknij, do kurwy nędzy — uciał Morello,

spoglądając na niego ostro, po czym znów zwrócił na mnie spojrzenie.

Usłyszałem dźwięk odbezpieczania pistoletu. Zakładałem, że to

Frankie, ochroniarz Morella, szykuje się do wykonania opcji numer dwa lub zabicia policjanta w biały dzień.

— Opcja numer trzy, proszę pana. Wybieram opcję numer trzy.

— Tak myślałem, bo nie jesteś pieprzonym idiotą jak ci tutaj.
—

Wskazał głową na gliniarzy, po czym zerknął ponad moim ramieniem. — Wsadź go do samochodu. Zadzwoń do doktora.

Niech będzie gotowy.

Jak tylko pochwyciły mnie ręce drugiego mężczyzny, obróciłem

się, zaciskając zęby, by nie wrzasnąć z bólu.

— Dam radę sam wsiąść do samochodu.

W oczach Frankiego pojawił się błysk rozbawienia.

— Siadaj z przodu, mały.

Pokuśtykałem do drzwiczek i otworzyłem je, po czym niemal wpadłem do środka i zatrzasnąłem je. Na szczęście nikt nie słyszał mojego syknięcia bólu, ponieważ Frankie i Morello wciąż znajdowali się na zewnątrz, sprzecząc się z Erniem i gliniarzami. Ich głosy dobiegały głośno i wyraźnie przez otwarte tylne drzwi.

— Z całym szacunkiem, proszę pana...

— Nigdy nie słyszeliście o Lachlanie Mouncie. Nigdy nie powtórzycie tego nazwiska. Nigdy go nie widzieliście i

zapomnicie, że ktoś taki istnieje. Teraz jest częścią mojej organizacji i jeśli choćby pomyślicie o tym, by go ścigać, to będę patrzył, jak moi ludzie będą was żywcem obdzierać ze skóry, a wy będziecie kwiczeć jak zarzynane prosiaki. Potem wpakuję kulkę w łeb wszystkim, których kochacie. Co wy na to?

Ernie i obydwaj policjanci jednocześnie zaczęli kiwać głowami jak idioci i bąkać jakieś odpowiedzi.

— Zrozumiano, proszę pana.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Nie wiem, o kim pan mówi, panie Morello. Właśnie wracamy

na posterunek.

Strach przed Morellem emanował z nich niczym brzydki

zapach... albo może jeden z nich naprawdę zesrał się ze

strachu. Biorąc pod uwagę to, jak gliniarzom trzęsły się nogi, mógłbym w to uwierzyć. A na spodniach Erniego widać było

mokłą plamę.

Naprawdę się posikał. *Niemożliwe, kurwa.*

Z drugiej strony nie byłem zaskoczony. Morello stał w postawie

wyrażającej

zdecydowanie,

jego

rozkazy

były

niekwestionowane i nie miałem wątpliwości, że naprawdę

mógłby ich zastrzelić na miejscu i zrobić wszystko, inne, co zapowiedział.

Nigdy wcześniej nie widziałem na żywo kogoś tak władczego.

Nigdy wcześniej nie widziałem takiego strachu na niczyjej twarzy, jak teraz u tych gliniarzy. Nie mogłem się na to napatrzyć.

Jak by to było budzić taki respekt?

Morello zajął tylne siedzenie mercedesa. Frankie zamknął drzwiczki.

— Obym tego nie pożałował, Mount, bo jeśli zdradzisz mnie lub moich ludzi, zakopię cię żywcem.

— Rozumiem, proszę pana. Nie pożałuje pan.

— To dobrze.

Frankie wszedł za kierownicę i ruszył nieco uszkodzonym samochodem, który uratował mi życie. Gdzieś po drodze do celu, dokądkolwiek jechaliśmy, cicho zemdlałem z bólu.

2.

Keira

Teraźniejszość

Zaczynam odzyskiwać przytomność i czuję przeszywający mnie

ból. Drzwiczki samochodu otwierają się i przechylam się na jedną stronę, jednak silne ramiona powstrzymują mój upadek.

— Trzymam cię. Otwórz oczy, moja diaboliczko. Otwórz dla mnie

oczy, błagam. Jasna cholera, nie mogę cię teraz stracić.

Ten głos. Niski, chropawy, mroczny. Kiedyś to był głos diabła, jednak teraz już nie. Teraz to głos człowieka, którego nie chciałam stracić po powrocie do Nowego Orleanu, i byłam wściekła, że to nieuniknione.

Moje powieki unoszą się. Mam wrażenie, że mam w czaszce wgniecenie w miejscu, gdzie uderzyłam w szybę, gdy

gwałtownie skreśliśmy. W skroniach nieustannie pulsuje mi ból. Gdy natrafiam na znajome spojrzenie ciemnych oczu,

widzę, jak przerażenie w nich ustępuje wyrazowi ulgi. Kiedyś te płonące oczy wywoływały we mnie dreszcz przerażenia, teraz jednak dodają mi sił.

— Dzięki, pierdolony Chryste. — Jego czoło dotyka lekko mojego i wdycham jego drzewno-cytrusowy zapach.

— Myślałeś, że tak łatwo uda ci się mnie pozbyć? — Moje słowa

są ciche i nieco bełkotliwe, nie brzmi w nich pewność siebie, jak to było moim zamiarem. Próbuję usiąść, jednak czuję kłujący ból w prawym boku. — Cholera, jak to boli. Co się stało?

— Nieważne. Wszystko będzie dobrze. Przysięgam ci na moje życie, że *nic ci się nie stanie*.

Mówi to z takim przekonaniem, że mu wierzę.

Odrywam od niego spojrzenie i patrzę na krew pokrywającą moją koszulkę i na okruchy szkła wszędzie dookoła.

— O, kurwa.

Jego dłoń ujmuje mój podbródek i unosi go tak, że znowu patrzę

na niego. Dostrzegam również na jego ubraniu plamy krwi.

— O, Boże. Potrzebujemy pomocy.

— Wszystko będzie dobrze. Rozumiesz? Musisz się trzymać.

Czy jesteś w stanie to zrobić?

Kiwam głową. Mam wrażenie, że moja czaszka zaraz pęknie z bólu. Czuję żółć podływającą mi do gardła.

— Spróbuj nie myśleć o bólu. Dasz radę to zrobić, Keiro.

Biorę płytki wdech, drżąc na całym ciele.

— Mogę to zrobić — mówię, sama nie wiedząc, czy kłamię, czy

nie.

— Dobra dziewczynka. — Zdejmuje marynarkę i przyciska ją do

mojego boku. — Trzymaj to mocno, tak jakby twoje pieprzone życie od tego zależało, rozumiesz?

Gdy Lachlan Mount mówi ci, że masz coś zrobić tak, jakby od tego zależało twoje życie, to może to oznaczać, że rzeczywiście tak jest. Na zawsze zapamiętam przerażenie, które widziałam w

jego oczach zaledwie parę chwil wcześniej.

— Czy ja umieram? — Zamiast smutku zaczynam odczuwać

gniew. *Nie jestem gotowa. Jeszcze nie skończyłam z tym światem. Jeszcze nie skończyłam z tym człowiekiem.*

— Nie umierasz, bo na to nie pozwolę, do cholery. — Słyszę w

jego głosie żelazną determinację i zawziętość.

— Dobrze. — Przyciskam mocniej marynarkę do bolącego

miejsca w moim boku, a Mount obejmuje ramieniem moje plecy.

— Wychodzimy stąd. Moi ludzie są w drodze. Trzymaj się mocno.

Kiwam głową. Lachlan wyciąga mnie na zewnątrz i gwiazdy rozbłyskują mi przed oczami przy każdym ruchu, gdy pochylony niesie mnie za samochód. Zatrzymuje się na chwilę pomiędzy zgruchotanym pojazdem a budynkiem, w który wpadliśmy.

Potyka się i wyrywa mu się z ust jęk bólu, co przeraża mnie bardziej niż moje cierpienie.

— Stój. Jesteś ranny, nie powinienes...

— Muszę najpierw zapewnić ci bezpieczeństwo. Nie mogę się zgodzić na żadne pieprzone ryzyko. Gdzie, u diabła, oni są? —

Kręci głową we wszystkie strony. Znowu robi mi się ciemno przed oczami.

Co jest nie tak z moją głową?

Nie chcę znowu zemdleć, zmuszam się do koncentracji. Jestem

silna.

Ściskam jego rękę, pragnąc zwrócić na siebie jego uwagę.

— Ja też nie chcę cię stracić. Rozumiesz mnie? Przestań się zachowywać jak uparty idiota.

Spogląda na mnie i z jego twarzy znika wyraz bólu, a zamiast tego kącik ust unosi mu się w uśmiechu.

— Zgoda.

Słyszę pisk opon i obracam głowę, krzywiąc się, gdy kolejna fala bólu przeszywa mi skronie. Nie jestem jednak w stanie nic zobaczyć, bo Lachlan obraca się tyłem do ulicy, przytulając mnie mocniej do piersi. *Ośłania mnie własnym ciałem niczym tarczą* przed nadjeżdżającym samochodem.

— Nie waż się nawet...

— Cicho, Keiro. Jeśli chodzi o ciebie, zrobię, co będę musiał.

—

Jego dłoń ujmuje moją głowę i tuli ją do piersi.

Słyszę, jak zatrzymuje się kolejny samochód. Trzask drzwiczek

odbija się echem w mojej zbolącej głowie. Lachlan obraca głowę

na odgłos kroków po chodniku.

— Kurewskie dzięki — szepcze, a jego ciało rozluźnia się.

Obraca się i dostrzegam Bliznę.

Kolejna twarz, która kiedyś budziła mój lęk, a teraz witam ją z ulgą. Blizna jak zawsze w milczeniu rzuca się w naszą stronę z wyrazem gniewu na twarzy.

Lachlan znowu tuli mnie mocniej.

— Zabierz ją. Zajmij się z nią. Chroń ją, nawet za cenę własnego życia. Rozumiesz mnie?

Blizna kiwa głową w milczeniu i Lachlan rozluźnia uścisk.

— Nie waż się umierać, Keiro. Przysięgam, że wtedy rozwalilibym perłowe bramy niebios i przyszedł po ciebie.

Blizna bierze mnie w ramiona, co znam aż nazbyt dobrze. Moje

palce nie chcą zwolnić uścisku na koszuli Mounta. Materiał naciąga się, gdy Blizna odsuwa się i w końcu zmusza mnie do puszczenia Lachlana.

— Nie zostawię cię! — Wyrywam się, mimo że moje ciało protestuje po każdym ruchu, a żołądek mi się skręca. — Postaw

mnie. Chcę z nim zostać.

Blizna chrząka mi do ucha. Patrzę na koszulę, którą ma na sobie Lachlan. Cała lewa strona przesiąknięta jest krwią.

Początkowo myślę, że to moja krew, jednak rozcięcie w materiale i to, że plama wciąż się powiększa, mówią mi, że się mylę.

— Zostaw mnie! Ratuj jego! On potrzebuje cię bardziej! —
Łzy

płyną mi po twarzy. Blizna przyciska mnie mocniej, nie
zwalniając uścisku, i moje żalosne protesty nie przeszkadzają
mu oddalać się coraz bardziej od Lachlana.

Dwóch innych mężczyzn biegnie w naszą stronę. Nie znam
ich.

— Zabij ich! — wrzeszczę i nie poznaję własnego głosu. —
Nie

ważcie się go tknąć!

Lachlan potyka się. Mężczyźni chwytają go, każdy z jednej
strony.

— Zabierz ją w bezpieczne miejsce — mówi, po czym jego
ciało

zwisa bezwładnie w ramionach nieznajomych.

— Nie! — krzyczę, jednak Blizna idzie nadal w kierunku auta,
nie zwracając uwagi na to, co się właśnie wydarzyło. — Stój!

Musisz po niego wrócić!

Próbuję mu się wyrwać, drapię jego ramiona, nie bacząc na
własny ból. Czuję coraz większe przerażenie, widząc, jak
mężczyźni wloką bezwładne ciało Lachlana do samochodu,

którego nie rozpoznaję, podczas gdy Blizna kieruje się do
auta, które dobrze znam.

— Puszczaj mnie! — wrzeszczę łamiącym się głosem, gdy
kładzie mnie na siedzenie i zatrzaskuje za mną drzwi,
ignorując moje protesty.

Chwytam za klamkę, rozpaczliwie pragnąc powstrzymać
tamtych mężczyzn przez zabranie Lachlana, jednak Blizna
już

jest na przednim siedzeniu. Drzwi blokują się, gdy rusza z
kopyta i pędzi ulicą w kierunku Dzielnicy Francuskiej.

Parę tygodni temu cieszyłabym się, gdyby auto z olbrzymią prędkością wiozło mnie jak najdalej od Lachlana Mounta. Ale to

było kiedyś. To, co powiedział w hangarze, było prawdą.

Wszystko się zmieniło.

Łzy ciekną mi strugami po policzkach, gdy odwracam się, by wyrzucić przez przyciemnianą tylną szybę. Mimo że oddalamy się szybko, widzę, jak mężczyźni pakują bezwładne ciało

Mounta do drugiego samochodu.

Krzyczę, by Blizna zawiózł mnie od niego z powrotem, jednak mijamy zakręt i tracę Lachlana z oczu.

— Nie!

3.

Keira

Budzę się w pokoju z białymi ścianami i szarą zmywalną podłogą, silnie pachnącym środkami dezynfekującymi. Nie pamiętam, jak się tu znalazłam, więc domyślam się, że musiałam w pewnym momencie stracić przytomność.

Podrywam się na szpitalnym łóżku, kręcąc głową na wszystkie strony. *Kiepski pomysł.* Ból wzrasta, a oczy zachodzą mi mgłą.

Jestem jednak w stanie dostrzec drugie puste łóżko kilka kroków od mojego.

Gdzie on jest? Wciąż mam przed oczami obraz Lachlana odciąganego przez nieznajomych do samochodu. Muszę go znaleźć.

Do mojej piersi przyłączone są jakieś czujniki i przewody.

Zrywam je i podłączona do nich aparatura zaczyna wydawać przenikliwy dźwięk alarmu.

Wciąż mam w ramieniu igłę od kroplówki, jednak odklejam plaster i szykuję się, by ją wyjąć, gdy drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi kobieta, której nigdy wcześniej nie widziałam.

— Proszę przestać. Jeśli ją pani wyrwie, będę się musiała wkuwać jeszcze raz. Nalegał, żebyśmy nie podejmowali

żadnego ryzyka w takiej sytuacji. To gruba przesada, ale nie ja tu jestem szefem.

— Gdzie on jest? — Chwytam za przewód od kroplówki, jakbym

była pacjentem niespełna rozumu, który przykładając sobie nóż do

nadgarstka. — Powiedz mi albo wyrwę ją sobie, zanim zrobisz kolejny krok.

Zaskoczona potrząsa głową.

— Lekarze teraz się nim zajmują. Nie ma potrzeby, żeby usuwała pani kroplówkę i narażała mnie na jego gniew.

Moja ręka opada bezwładnie.

— Operują go? Czy to poważne? — Przypominam sobie rozdarcie jego koszuli i wypływającą z rany na boku krew. — Co

się stało? Gdzie jestem?

Moje wspomnienia są jeszcze bardziej fragmentaryczne niż z tego wieczoru, gdy upiłam się w Dublinie. *Nocy, gdy tańczyłam z Lachlanem w pubie.*

— W prywatnej klinice należącej do Mounta — odpowiada na moje

chaotyczne

pytania.

—

Jesteśmy

tu

całkowicie

samowystarczalni. Mount został poważnie postrzelony. Pani ma

piekielny wstrząs mózgu plus powierzchowne zadrapania, siniaki i spore skaleczenie po prawej stronie. Całe szczęście, że nie było głębsze. Nie trzeba było zakładać szwów, wystarczył

klej tkankowy. Oczyszcziliśmy rany i wykonaliśmy parę badań.

Nic pani nie będzie.

Spoglądam na niebieskie szpitalne wdzianko, które mam na sobie, tak jakbym mogła przeniknąć je wzrokiem.

— Skaleczenia, siniaki i wstrząs mózgu? Nie powinno mnie bardziej boleć?

Kobieta, która jak zakładałam jest albo lekarką, albo pielęgniarką, śmieje się.

— Skarbie, jest pani tak naćpana przeciwbólowymi, że powinna

się pani czuć jak nowo narodzona. Po prostu... Proszę nie wyjmować sobie kroplówki, bo będzie bałagan. Widzieliśmy już

dziś dość krwi.

Dość już o mnie.

— Kiedy on wróci? Czy postrzał był niebezpieczny? Nic mu nie będzie, prawda? Powiedział, że nic mu nie będzie. Obiecał.

Przygląda mi się, jakbym była jakimś dzikim zwierzęciem, i teraz faktycznie się tak czuję.

— Stracił dużo więcej krwi niż pani. Nawet nie próbował zatamować krwawienia, a powinien wiedzieć, że należy to zrobić.

Mój zamglony umysł podsuwa mi obraz tego, jak zdjął marynarkę, by zatamować moje krwawienie. *Możliwe, że ryzykując własnym życiem.*

— On nie umrze. — To nie jest pytanie. Nie może być, bo chyba bym oszalała.

Jednak pielęgniarka, lekarka czy kimkolwiek ona jest, kiwa głową.

— Nie, nie umrze, ma pani rację. Jest na to zbyt uparty. Nawet diabeł odesłałby go tu z powrotem.

Poprzez panikę, która mnie dławi, przebija się cień ulgi.

— Na pewno?

Kiwa głową.

— Jest przy nim kilku świetnych lekarzy. Wszystko, co najlepsze, dla Mounta. Jednak ten uparciuch nie pozwolił im się nawet tknąć, dopóki nie skończyli zajmować się panią.

— Co? — Głos mi się łamie.

— Groził im bronią i w ogóle.

To brzmi jak opis człowieka, którego znam i kocham.

Co?

Kocham?

To słowo przeszywa mój mózg tak jak wcześniej kula szybę w naszym aucie.

Czy to w ogóle... możliwe?

Nagle brakuje mi sił i kulę się na łóżku. Kobieta podchodzi bliżej.

— Wszystko w porządku, pani Kilgore?

Czy w porządku?

Nie wiem, co odpowiedzieć. W tej chwili próbuję się uporać z najbardziej szokującą — lecz oczywistą — prawdą w moim życiu.

Zakochuję się w Lachlanie Mouncie.

Nie, wróć. Nie „zakochuję się”. *Zakochałam się.*

— Pani Kilgore? Czy coś jest nie tak? Czy coś panią boli?

Potrząsam głową.

— Nie, to nie to. To tylko...

— Spóźniony szok? — Jej wzrok wyraża współczucie.

— Być może. — Moja głowa opada na poduszkę. Patrzę w sufit

i usiłuję sobie poradzić z tym, co sobie uświadomiłam.

Słyszałam, że traumatyczne wydarzenia potrafią wyklarować nasze myśli, jednak jakim cudem przegapiłam to, co musiało się

już rozwijać od jakiegoś czasu?

Zatańcz ze mną. Lachlan. Zatańcz ze mną w Dublinie.

Przypomina mi się jego uśmiech z tego wieczoru. Czy to się wtedy stało? Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

— Muszę z powrotem przyczepić te czujniki, żebyśmy mogli monitorować pani stan. Jestem pewna, że dosłownie by mnie zabił, gdybym pozwoliła, by cokolwiek się pani stało.

Przykleja z powrotem igłę od kroplówki i prostuje poplątane kabelki, nim przyczepia je z powrotem do mojego ciała. Nie zwracam na to wszystko uwagi.

I zapewne dlatego nie zauważam, że dodaje coś do mojej kroplówki, dopóki się nie odzywa.

— Musi pani odpocząć — mówi, zabierając poprzedni worek, który wisiał na stojaku.

— Co pani zrobiła?

— Dałam coś, co pomoże się pani uspokoić.

Moje powieki robią się ciężkie. Już otwieram usta, by zaprotestować, jednak leki, które dostałam, są silniejsze.

— Będzie obok, gdy się pani obudzi.

4.

Mount

Wciąż słyszę w głowie krzyk Keiry. Rzucam się w pościeli i z trudem się budzę z niespokojnego snu. *Co, u diabła, mi dali?*

Mówiłem im, że niczego nie potrzebuję. Muszę zachować

świadomość, być czujnym.

Od momentu, gdy ta pieprzona kula strzaskała szybę w aucie, myślę wciąż o tym samym. *Nie mogę jej stracić. Nie możecie mi jej, kurwa, odebrać.*

— Gdzie ona jest? — Sam słyszę, że mój głos jest schrypnięty, gdy wreszcie udaje mi się odezwać. Nie da się też nie usłyszeć brzmiającej w nim desperacji. — Czy z Keirą wszystko okej?

— Jestem tutaj.

Drobna dłoń Keiry dotyka mojej. Pod wpływem jej dotyku napięcie ulatnia się z mojego ciała, mimo że zapach środków dezynfekcyjnych wypełnia mi nozdrza.

— Kazałam im przenieść cię bliżej, bo straszili mnie, że będą mnie musieli przykuć do łóżka, jeśli nadal będę się próbowała dostać do twojego.

Jej głos jest schrypnięty i ledwo słyszalny poprzez piski aparatury, jednak mam wrażenie, jakby jej słowa otulały mnie, uspokajając mnie jeszcze bardziej. Nie mam pojęcia, czym zasłużyłem sobie na taką lojalność z jej strony, ale nie pozwolę na to, by ją stracić.

Przyglądam się każdemu skrawkowi jej ciała, poczynając od rozczochranych rudych włosów, a na niebieskich szpitalnych ciuchach kończąc. Nie widzę już żadnych śladów krwi. Jest w jednym kawałku, a jej twarzy nie wykrzywia ból.

— Proszę, powiedz mi, że wszystko w porządku. — W moich koszmarach krzyczała, umierając, a ja nie mogłem jej uratować.

Te krzyki były gorsze niż kule, które przeszły moje ciało.

Milion razy gorsze od bólu, jaki lata temu sprawił mi ten pierdolony mercedes. Gorsze niż jakakolwiek rana kłuta lub którakolwiek z wielu innych, które odniosłem lub mogłem sobie

wyobrazić.

— Nic mi nie jest. Ty też wyzdrowiejesz. Oboje będziemy zdrowi, do jasnej cholery, albo przysięgam na Boga, dopadnę

tego, kto za tym stoi, i osobiście go zabiję. — Żelazna determinacja brzmi w każdym jej słowie.

Moja żądna krwi diaboliczka. Moja niepokorna królowa.

Nie powinienem się uśmiechać w takiej sytuacji, jednak jeśli chodzi o tę kobietę, to nic nie jest racjonalne. Wcześniej żyła pod kloszem w świecie, do którego ja nigdy nie miałem wstępu.

Wciągnąłem ją do mojej rzeczywistości, pełnej cieni i mroku, i nie zastanawiałem się nad konsekwencjami moich działań, bo kierowałem

się

tylko

satysfakcją,

jaką

dawało

mi

podporządkowanie jej sobie.

Jestem egoistą. Znam siebie dostatecznie dobrze, by to

akceptować. Zawsze tylko brałem i brałem.

To samo miałem zamiar zrobić z Keirą Kilgore. Brać ją, aż osiągnąłbym nasycenie. Jednak dzisiaj wieczorem pragnąłem jedynie tego, by zabrać cały jej ból, nawet jeśli to miałoby mnie zabić.

Nigdy nie wierzyłem w bezinteresowność. Uważałem, że to mit.

Jeśli jednak chodzi o Keirę Kilgore, moje przekonania się zmieniły.

Wszystko się zmieniło.

Życie nauczyło mnie, by nie przywiązywać się do żadnej

pierdolonej rzeczy, ponieważ nic na tym świecie nie jest trwałe.

Wszystko przemija.

Nie zgadzam się już na to, jeśli chodzi o nią. Należy do mnie.

Musi pozostać moja. Nawet moje czarne serce nie mogłoby się uporać ze stratą jej. Będę się starał zapewnić jej

bezpieczeństwo do ostatniego mojego tchu, jeśli będzie trzeba.

Starałem się unikać słabości tak, jak inni ludzie unikają diabła... albo mnie. Jednak w chwilach, gdy obawiałem się, że mogę ją stracić, nie myślałem o słabości. Wtedy stało się dla mnie jasne, że strata Keiry Kilgore oznaczałaby utratę mojej siły.

Ta ognista rudowłosa piękność z błyskami w zielonych oczach zatrzęsła podstawami mojego świata.

— Bałam się, że cię straciłam — mówi, a w jej oczach błyska niepokój. — Już nigdy więcej nie chcę się tak czuć.

— Nigdy. Nawet diabeł by mnie nie chciał.

— Obiecuj mi.

„Nic nie jest wieczne” — przypomina mi mój wewnętrzny głos.

Ale jestem pierdolonym Lachlanem Mountem. To ja wymyślam zasady i mogę je zmienić, kiedy tylko zechcę.

— Obiecuję.

Ściska mocniej moją rękę.

— Dobrze.

— Powinienem cię odesłać. Wysłać gdzieś w bezpieczne miejsce, tak daleko ode mnie, jak to tylko możliwe, ale...

— Spróbuj tylko. — Keira unosi swój uparty podbródek.

— Gdybym był lepszym człowiekiem, właśnie tak bym postąpił.

Zaciska szczęki, a na jej twarzy maluje się upór.

— Dobrze więc, że nim nie jesteś.

Drzwi się otwierają i wchodzi jeden z lekarzy, którego imienia nie pamiętam.

— Jak się pan czuje, panie Mount?

Powinienem w tym momencie wypuścić dłoń Keiry, dopilnować,

by nikt nie dostrzegł, jak bardzo mi na niej zależy, bo przecież to oznaka słabości. Jednak wcale tak nie robię.

Zamiast tego splatam palce z jej palcami i razem odwracamy się w stronę lekarza.

— Jakbym, kurwa, został postrzelony, a potem połatany.

— Mogę poprosić pielęgniarkę o zwiększenie dawki leków przeciwbólowych. Nic pan wtedy nie będzie czuł.

Zaczyna się wycofywać w kierunku drzwi, jednak zatrzymuję go.

— Nie, już i tak za dużo mi daliście. Nic już nie chcę. Chcę czuć. Chcę czuć nawet ten cholerny ból. Nie pozwolę wam znowu się otumanić.

— Lachlan... — mówi cicho Keira, ściskając mocno moją dłoń.

Gdy odwzajemniam uścisk, milknie.

— Dopilnujecie, żeby pani Kilgore miała odpowiednią ilość leków przeciwbólowych i wszystkiego, czego potrzebuje, jednak

mnie zostawcie w pokoju. Każcie V. tu przyjść.

Lekarz kiwa głową i odwraca się, by wyjść, przesuając spojrzeniem po naszych złączonych dłoniach.

— Piśnij tylko słówko o tym, co tu widziałeś, a...

— Nie ośmieliłbym się, proszę pana. Gdyby pan czegokolwiek potrzebował, proszę wcisnąć guzik. Jesteśmy do pana

dyspozycji tak długo, jak to będzie potrzebne.

Gdy tylko wychodzi z pokoju, Keira wyszarpuje swoją dłoń z mojej. Mam ochotę złapać ją z powrotem, jednak nie daję rady,

bo zaczyna mi grozić palcem.

— Nawet nie próbuj zgrywać twardziela i weź leki przeciwbólowe.

Odwracam się do niej. Moje ciało protestuje przeciwko poruszaniu się, ale muszę patrzeć jej w twarz, by rozumiała, dlaczego ich odmawiam.

— Jeśli będę nieprzytomny, nie będę mógł cię chronić, a nie mogę na to pozwolić. Jesteś ze mną związana. Twoje bezpieczeństwo, twoje życie leżą w moich rękach i nie zamierzam narażać cię na ryzyko, by oszczędzić sobie kilku godzin bólu.

— Kilku godzin? — prychna. — Zostałeś postrzelony! To nie zacięcie papierem.

— To nie pierwszy raz i zapewne nie ostatni.

Keira warczy i staje się jasne, że lęk, jaki kiedyś przede mną odczuwała, nawet skrywany, ulotnił się bezpowrotnie.

— Nawet nie waż się dać znowu postrzelić.

— Nie mogę ci tego obiecać.

— To skłam. Daj mi coś.

Czuję, jak wzbiera we mnie śmiech. *Jedyna w swoim rodzaju.*

Wiedziałem o tym od początku, a ona potwierdzała to każdego dnia.

Kłamstwa. Zawsze przychodziły mi z łatwością, były moją drugą

naturą, najłatwiejszym wyborem. Ale w tym przypadku nie mogę kłamać.

— Żadnych więcej kłamstw między nami. Już nigdy.

Keira odchyła głowę do tyłu, wyraźnie zaskoczona.

— Czy to oznacza, że zdradzisz mi swoje sekrety, jeśli o nie zapytam?

Zerkam w stronę sufitu. Oczywiście, że od razu na to wpadła.

Nie byłaby moją partnerką — osobą, o której nie wiedziałem, że

jej pragnę i potrzebuję — gdyby było inaczej.

Wypuszczam powoli powietrze. Jakaś część mnie nie wierzy, że

to robię. Ale jak już sobie uświadomiłem wcześniej — *wszystko* się zmieniło.

— Co chcesz wiedzieć?

5.

Keira

Nie ma, kurwa, mowy.

Na pewno nie daje mi *carte blanche*, bym mogła zapytać go o cokolwiek i usłyszeć prawdę, co nie? Jednak nie może ukryć prawdy w swoich oczach... ani zmęczenia wypisanego w rysach

twarzy.

Wcześniej rzuciłabym się na możliwość przesłuchania tego mężczyzny i uzyskania odpowiedzi na dręczące mnie pytania, ale teraz nie jestem w stanie tego zrobić. Zamiast tego skupiam się na nim i na tym, by poczuł się lepiej.

Bezpieczeństwo i zdrowie Lachlana Mounta znalazło się na szczycie mojej listy priorytetów w chwili, gdy widziałam, jak nieznajomi mężczyźni odciągali go ode mnie na ulicy.

— Teraz musisz spać. Odpoczywać. Bo potem będziesz

zmuszony rozpętać w tym mieście piekło, by wszyscy wiedzieli,

że nikt nie zadziera bezkarnie z Lachlanem Mountem lub jego kobietą.

Na jego twarzy znowu odbija się szok i patrzy na mnie, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział na oczy. Może ma rację, bo ja

nigdy dotąd tak się nie czułam.

— Moją kobietą?

Mrużę oczy, spoglądając na niego.

— W końcu to ty chciałeś, bym przyznała, że należę do ciebie.

Okazuje się, że sytuacje na pograniczu życia i śmierci potrafią zajebić szybko wyklarować, co i jak.

W jego spojrzeniu coś błyska, nim się odzywa.

— Przemawiają przez ciebie leki. Zanim wstaniesz z tego łóżka, znowu będziesz się buntować i domagać, bym dał ci spokój.

Wydymam usta i krzyżuję ramiona na piersi, z trudem

ukrywając

grymas

bólu,

odczuwany

mimo

środków

przeciwbólowych, którymi mnie nafaszerowano.

Czy to rzeczywiście leki przeze mnie przemawiają? Nie chcę w to wierzyć. Zaborczość, którą czułam, chęć przedarcia się przez szybę, gdy widziałam, jak go ode mnie zabierają, to nie było związane z lekami. Może z adrenaliną, jednak jestem pewna, że

to, co czułam, było szczere.

— Pewnie zobaczymy, kto tu ma rację, ale ja wiem, jak to się skończy.

— To znaczy jak? — pyta, lecz drzwi się otwierają, zanim zdążę

odpowiedzieć.

6.

Mount

Jak tylko V. wchodzi do środka, z jego wyrazu twarzy czytam wszystko, co potrzebuję wiedzieć. Jest źle. *Naprawdę źle.*

Nauczyłem się dawno temu, że jeśli nie wysyła mi esemesów, to

najprostszym sposobem, by uzyskać od niego odpowiedzi, jest zadawanie pytań, na które może odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

A jako że nie mam pojęcia, gdzie jest mój telefon, zadawanie tego typu zamkniętych pytań to moja jedyna opcja.

— Znaleźli tego, kto strzelał? — Nie musiałem wydawać takiego

rozkazu. Wiem, że rozkaz rozpoczęcia poszukiwań wypłynął od

J. natychmiast po otrzymaniu informacji o tym, co się stało.

V. potrząsa głową.

— Sprawa z gliniarzami załatwiona? — Na pewno ktoś zadzwonił po policję zaraz po wypadku i potrzebuję, by gliniarze, którzy dotarli na miejsce, zanim zdążyliśmy posprzątać, zapomnieli o wszystkim, co widzieli. Nikt nie może

wiedzieć o tym, co się wydarzyło. Zachwiałoby to równowagą sił, gdyby informacja o tym, że ktoś miał jaja, by spróbować mnie sprzątnąć, rozpowszechniła się. Na szczęście duża część policjantów w tym mieście pracuje właśnie dla mnie.

V. kiwa głową.

— Czy samochód został odholowany do warsztatu, a miejsce wypadku uprzątnięte?

Kolejne kiwnięcie głową.

— Kula znaleziona?

Unosi do góry dłoń z dwoma palcami rozstawionymi na szerokość dwóch centymetrów. Wiem, że to oznacza „jeszcze nie, ale jesteśmy blisko”.

— Rozbierzcie auto na kawałki, jeśli trzeba. Ta kula musi gdzieś tam być. Nie widziałem otworu wylotowego. Dowiedzcie się, skąd nadleciała, i znajdźcie tego, kto strzelał. Musimy wiedzieć, kto był na tyle głupi, by tego próbować.

Kolejne kiwnięcie głową. V. odwraca się do wyjścia, jednak zatrzymuję go.

— Dobrze się spisałeś. Troska o jej bezpieczeństwo jest twoim głównym zadaniem, niezależnie od wszystkiego. Zawsze musisz

się zająć najpierw nią, tak jak to dzisiaj zrobiłeś.

Keira się wtrąca, przerywając mi.

— O, nie, nie zgadzam się z tym.

Rzucam jej spojrzenie.

— Nie masz tu nic do gadania. To nie jest sprawa, w której skłonny byłbym do kompromisu.

— Ale nie kosztem własnego bezpieczeństwa. Nie każ mi nieść

takiego brzemienia. Cena jest zbyt wysoka.

V. spogląda raz na mnie, raz na Keirę, niewątpliwie zaskoczony

nową naturą naszego sporu.

— Kto ci wydaje rozkazy, V.? — wkurzam się i V. odwraca się w moją stronę. Gdy potulnie wskazuje na mnie, spoglądam na Keirę. — Nie ma znaczenia, co mówisz, moje słowo przebija twoje.

— Gówno prawda.

— Trudno, musisz się z tym pogodzić.

V. spogląda mi w oczy i zwracam się bezpośrednio do niego.

— Stań na straży. Nikt tu nie ma prawa wejść, chyba że pojawi

się jakiś problem natury medycznej, a wtedy też tylko

zaakceptowany personel. Usłyszałem, że muszę odpocząć, by móc potem urządzić piekło tym, którzy się tego dopuścili. —

Zerkam na Keirę z krzywym uśmiechem.

V. kiwa głową i kieruje się do drzwi.

Gdy się za nim zamykają, czuję, jak opanowuje mnie zmęczenie,

jednak sięgam po dłoń Keiry. Odwzajemnia mój uścisk.

To doświadczenie — to, że ze mną nie walczy, nie próbuje uciekać — jest surrealistyczne. Tak samo jak to, że zamierzam posłuchać jej polecenia.

— Nie pozwolę ci... — Urywa, gdy spoglądam na nią surowo.

— Sądziłem, że chcesz, bym odpoczął, tak by być gotowym do wymierzenia zemsty.

Unosi brwi do góry w wyrazie zdumienia.

— Zamierzasz mnie posłuchać?

— Pod jednym warunkiem.

— Jakim? — pyta bez wahania.

— Ty też odpoczniesz.

Jej usta zaciskają się w wyrazie uporu, tym razem z innego niż zwykle powodu.

— Będę czuwać. Ty odpocznij.

— V. pilnuje nas, stojąc za drzwiami. Nikt się przez niego nie przebije. Więc proszę, odpocznij, do cholery. Potrzebuję cię całej i zdrowej. Mam mnóstwo planów związanych z tobą, kobieto.

Keira przygląda mi się przez dłuższą chwilę, nim w końcu się odzywa.

— A jeśli ja zasnę, to ty też?

— Tak.

— Umowa stoi.

Wyciągam rękę. Potrząsam nią na znak, że zawarliśmy umowę.

W jakiś tajemniczy sposób pośrodku chaosu nasze stanowiska zmieniły się. Nie jestem już tym, który zmusza ją, by nagięła się do mojej woli, nie dając jej innej możliwości. Teraz jesteśmy

równi. Jesteśmy partnerami.

To coś nowego i zupełnie innego. Powinno mnie cholernie przerażać, ale zupełnie nie kojarzy mi się to ze słabością. Wręcz przeciwnie, nigdy nie czułem się silniejszy.

Odpływam, wciąż z palcami splecionymi z jej dłonią.

7.

Keira

Mimo

otumanienia

lekami

przeciwbólowymi

budzę

się

pierwsza. Mam wrażenie, że zmusiłam moje ciało do tego, by pozwoliło mi odzyskać przytomność, ponieważ musiałam się upewnić, że Lachlan wciąż oddycha.

W tym momencie zupełnie nie przejmuję się moimi

obrażeniami, dużo bardziej martwię się o niego. Wysilek i zmęczenie są widoczne na jego twarzy, nawet gdy śpi.

Przysięgałam, że będę go nienawidziła do swojego ostatniego tchu, że nigdy nie dam mu tego, czego chce. Planowałam zbudować nieprzenikniony mur wokół swojego serca, nawet

gdyby miał namieszać mi w głowie i zmusić moje ciało, by zwróciło się przeciwko mnie.

Lachlan Mount zniszczył ten mur. Gdy odwrócił się, by zasłonić

mnie swoim ciałem, stało się jasne, co do niego czuję, i to było jeszcze przed tym, nim dowiedziałam się, że już wcześniej został postrzelony.

Ale jeśli mam być zupełnie szczerą, to nie wtedy moje wewnętrzne mury zaczęły się walić. Nie, zaprawa zaczęła się kruszyć w chwili, gdy sobie uświadomiłam, że zabiera mnie do

Dublina, spełniając moje odwieczne marzenie, mimo że nic na tym nie mógł skorzystać.

Może nie miałam jeszcze szansy zapytać go o wszystko, jednak

skłonna byłabym założyć się o wszystko, co mam, że pozbawione egoizmu działania są dla Lachlana Mounta zupełną nowością.

Drzwi do pokoju znowu się otwierają i do środka wchodzi V.

Kolejna zmiana, bo nie nazywam go już Blizną. Nie jest już tym

człowiekiem, który pomagał w moim uwięzieniu, strażnikiem mojej celi, lecz kimś, kto też gotów był poświęcić dla mnie swoje życie.

— Czy wszystko w porządku? — szepczę.

Wiem, że mi nie odpowie i chociaż Magnolia mówiła mi, że to dlatego, że Lachlan odciął mu język, jestem stuprocentowo pewna, że się myliła. Lojalność, jaką V. okazuje swojemu szefowi, nie mogła się narodzić ze strachu i poniżenia. To dziecko szacunku.

V. kiwa głową i wyciąga coś w moim kierunku.

Moja torebka. A w jego drugiej ręce mój telefon.

Kładzie jedno i drugie na łóżku obok mnie i nagle wskazuje na telefon.

Zerkam na ekran i widzę kilka nieodebranych połączeń od mojego ojca i wiadomości tekstowe od Temperance.

Cholera. Jest pierwsza po południu i dzień później, niż mi się zdawało.

Spałam dłużej, niż planowałam.

Kompletnie straciłam poczucie czasu, co związane jest ze zmianą strefy czasowej w związku z podróżą, oszołomieniem lekami i brakiem zegara w tym pokoju.

Odblokowuję telefon i czytam najpierw wiadomości.

TEMPERANCE: Telefony dzwonią jak oszalałe. Twój ojciec.

Praca. Rada turystyki. Dystrybutorzy. Wszyscy chcą rozmawiać o nagrodzie z GWSC. Wiem, że plan, by tam pojechać, narodził się w ostatniej chwili, ale muszę im coś powiedzieć, szefowo. Pomóż mi.

TEMPERANCE: Wszystko w porządku? Gdzie jesteś?

TEMPERANCE: Keiro, proszę, odezwij się, do cholery. Twój ojciec mówi, że rano wsiada w samolot tutaj.

Ostatnia wiadomość pochodzi sprzed godziny.

Cholera jasna. Nie chcę, by mój ojciec znalazł się teraz choćby w pobliżu Nowego Orleanu. Nie teraz, gdy znalazłam się w takiej sytuacji. Lachlan przysięgał, że zapewni bezpieczeństwo mojej rodzinie, i wierzę mu, ale i tak nie chcę, by się tu zjawili.

Zerkam na ekran i odkrywam, że kompletnie nie ma tu zasięgu.

Zerkam na V.

— Potrzebuję zadzwonić, wysłać parę esemesów. Musisz mi pomóc. Mój ojciec chce tu przyjechać, trzeba go powstrzymać.

V. zerka na śpiącego na łóżku Lachlana, a potem znowu na mnie. Najwyraźniej jest rozdarty.

— Tylko kilka minut. Proszę. To ważne. Uwierz mi, że nie prosiłabym o możliwość odejścia od jego boku, gdyby było

inaczej.

Albo mój ton, albo moje słowa docierają do niego, bo kiwa głową i unosi jeden palec w uniwersalnym geście oznaczającym

„poczekaj chwilę”. Wychodzi z pokoju i po chwili wraca z pielęgniarką, która wcześniej zakazała mi zdejmowania kroplówki.

— Czy czegoś pani potrzebuje? Co się stało? — Pielęgniarka spogląda raz na mnie, raz na Lachlana.

— Musi mnie pani odłączyć. Muszę zadzwonić, to bardzo ważne.

Mruży oczy.

— Czy Mount wyraził na to zgodę?

— Naprawdę chce pani być tą, która będzie mu się tłumaczyć, dlaczego nie wykonała prostego polecenia? Bo mogę pani obiecać, że uzna, iż nieposłuchanie mojej prośby będzie równoznaczne ze sprzeciwieniem się jemu — mówię tonem nieznoszącym sprzeciwu. W każdym moim słowie brzmi pewność siebie i autorytet.

Moja odpowiedź wyraźnie zbija ją z tropu i zastanawia się przez moment.

— Proszę dać mi chwilę, zaraz panią odłączę.

W jej głosie brzmi niekłamany szacunek. Szybko i sprawnie odłącza kroplówkę i zdejmuje czujniki z mojej piersi.

— Już nie jest pani to potrzebne, ale proszę mu powiedzieć, że zdjęłam je na pani polecenie, bo inaczej będę się musiała gęsto tłumaczyć.

— Proszę się o to nie martwić. Poradzę sobie z nim. — Zerkam

na V., który w milczeniu na mnie czeka. — Idź i wybierz kogoś,

kto zajmie twoje miejsce pod drzwiami. Kogoś, komu możesz powierzyć jego życie. — Wskazuję głową na wciąż śpiącego Lachlana.

V. kiwa głową i jeszcze raz unosi palec, po czym wychodzi.

Wstaję, czując się bardziej niepewnie, niż chciałabym to przyznać. V. wraca i wyprowadza mnie z pokoju. Nie rozpoznaję

dwóch mężczyzn, którzy stoją za drzwiami, jednak mam wrażenie, że już ich wcześniej widziałam.

To oni złapali Lachlana, gdy padał.

— Jeśli zostawicie go bez opieki choćby na sekundę, osobiście was obu zabiję. Zrozumiano? — Wypowiadam groźbę bez zastanowienia i wyraz zdumienia na twarzach obydwu mężczyzn jest niemal zabawny.

Co dziwne, nie zaskakuje mnie to, że w ogóle byłam w stanie wydać polecenie, ale to, jak dobrze się z tym czuję. Teraz jestem gotowa zrobić wiele rzeczy, których kiedyś nie

spodziewałam się, że będę je choćby rozważać. Sprzedałam moje ciało, by zadbać o bezpieczeństwo moje i mojej rodziny.

Teraz sprzedałabym duszę, by ocalić Lachlana od złego.

— Tak, proszę pani. Nikt tam nie wejdzie — odpowiada jeden z mężczyzn.

Kiwam im obu głową, a oni odwzajemniają ten gest z szacunkiem.

Zmianom nie ma końca.

Nie jestem już więźniem. Jestem towarzyszką króla.

— Gdzie, u diabła, się podziewałaś? Próbowałam się z tobą skontaktować od wieków — mówi Temperance w ramach powitania.

Głowa mnie boli, gdy przysuwam telefon do ucha, jednak

odsuwam ból na bok.

— Doszło do nieprzewidzianego opóźnienia podczas mojego powrotu z Dublina. Przepraszam, że nie byłam się w stanie skontaktować wcześniej. — Jestem dumna z tego, jak profesjonalnie brzmi moja głupia wymówka i z tego, że głos mi nie drży.

—

Nieprzewidziane
opóźnienie?

—

pyta
z
wyraźnym
powątpiewaniem.

— Powiedz mi najpierw, co się dzieje, żebyśmy mogły ustalić priorytety, a potem będę musiała ci coś powiedzieć. Rzeczy, których nie będziesz mogła nikomu powtórzyć. Ale naprawdę *nikomu*.

Moja asystentka milknie.

— Keiro, czy to ma coś wspólnego z szoferem, który zaczął cię
wozić kilka tygodni temu?

Nie zaskakuje mnie, że zauważyła V., który mnie przywoził i odwoził, ale dziwię się, że nie poruszyła tego tematu wcześniej.

— Tak, ale najpierw interesy. Potem opowiem ci o reszcie.

Temperance zaczyna omawiać listę rzeczy, które wymagają mojej uwagi. Wszystkie łączą się z tym, że Spirit of New Orleans zdobyło prestiżową nagrodę. Nagrodę, która jak teraz sądzę, mogła mnie ocalić przed zarobieniem kuli, gdy ta

opuściła już ciało Lachlana. Biorąc pod uwagę ranę w moim prawym boku, przy którym trzymałam kryształową butelkę, ma

to sens. Nagroda pewnie nadal znajduje się w strzaskanym samochodzie. Nie mam jednak zamiaru mówić Temperance o żadnej z tych spraw.

— Prasa prosi o oświadczenie i podanie daty, gdy trunek będzie

dostępny w sprzedaży. Rada turystyki chce wiedzieć, jak szybko

możemy udostępnić destylarnię zwiedzającym, bo prasa ich naciska. Twój ojciec chce wiedzieć, skąd u diabła wzięłaś pieniądze, by polecieć na GWSC. Aha, i wszyscy nasi dystrybutorzy chcą wiedzieć, kiedy będą mogli dostać Spirit of New Orleans w swoje ręce.

Biorę powolny, płytki oddech, świadoma swojego osłabienia, i daję sobie dwie sekundy, na przyswojenie wszystkich informacji

i wejście z powrotem w skórę prezesa.

— Napisz oświadczenie dla prasy. Zawiadam, że Spirit of New Orleans będzie dostępny w limitowanej, ekskluzywnej edycji już

wkrótce i recenzenci dostaną wcześniej po butelce, by mogli napisać swoje opinie. — Urywam. — Powiedz Jeffowi Doonowi,

że wprowadzimy zmiany zgodnie z tym, czego nauczyłam się, zwiedzając destylarnię whiskey w Dublinie, i jak tylko

wprowadzimy

odpowiednie

procedury

bezpieczeństwa,

będziemy mogli otworzyć się dla publiczności. Powiedz mu też,

że oczekujemy, że dogada się z prasą, tak by pierwszy pokaz najnowszej atrakcji Nowego Orleanu odbył się dla nich.

— Podoba mi się to, szefowo. Robię notatki.

— Dobrze. Jeśli chodzi o dystrybutorów, upewnij się, że dostaną taki sam komunikat jak prasa, i powiedz im, że zaczniemy przyjmować ich zamówienia z góry, jednak oczekujemy

zaliczek, jako że spodziewamy się, iż pierwsza partia towaru sprzeda się bardzo szybko.

— Ooo, jesteś bezwzględna. Jeszcze lepiej.

Już mam na końcu języka, że nauczyłam się tego od

najlepszych, ale powstrzymuję się. Przyznaję jednak w duchu, jak bardzo Lachlan mnie zmienił. Moja nowo zdobyta pewność

siebie i autorytet nie wzięły się znikąd. Sprawił, że uwierzyłam w siebie i to było kolejne pęknięcie w murze otaczającym moje

serce, które w końcu doprowadziło to tego, że mur się rozpadł.

Uśmiecham się, bo bardziej niż kiedykolwiek od dnia, w którym zasiadłam w moim biurze, czuję się prawdziwym prezesem

mojej firmy.

Co przypomina mi o kolejnej sprawie.

— Z tatą sama porozmawiam. Nie chcę, by on, moja mama lub

moje siostry przylatywały tutaj pod jakimkolwiek pozorem.

Temperance na chwilę milknie.

— Czy to ma coś wspólnego z innymi rzeczami, o których musisz mi powiedzieć?

Przez chwilę zastanawiam się, czy wyjawienie tego, co

zamierzam powiedzieć, jest na pewno roztropne, ale

Temperance musi być przygotowana. Z tego, co wiem na temat

Lachlana Mounta, tak długo jak istnieje zagrożenie jego życia, które potencjalnie może też rozciągać się na mnie, nie ma mowy, by pozwolił mi wrócić do normalnego czy choćby półnormalnego życia.

— Tak. I musisz przysiąc na wszystko, co uważasz za święte, że

to, co powiem, trafi do sejfu w piwnicy za podwójnymi

drzwiami. Nie żartuję, gdy powiem, że podzielenie się tymi informacjami z kimkolwiek mogłoby cię kosztować życie.

Temperance milczy przez kilka długich chwil, zamiast zasypać mnie pytaniami, tak jak się tego spodziewałam. Gdybym była na

jej miejscu, zapytałabym mnie, czy jestem pacjentką

psychiatryka i dlatego nie byłam w stanie skontaktować się wcześniej. Temperance jednak nie robi tego i zaskakuje mnie kompletnie.

— Wiem, że wydaje ci się, że życie jest czarno-białe, Keiro, jednak w przypadku niektórych z nas możemy mówić raczej o szarości. To, co mi powiesz, nie wyjdzie poza nas. Znam już mnóstwo sekretów, które mogłyby mnie zaprowadzić do grobu,

i potrafię trzymać buzię na kłódkę. To nie pierwszy raz, gdy moje życie lub życie kogoś, kogo kocham, zależy od

umiejętności dotrzymywania tajemnic.

Może i nie spodziewałam się takiej odpowiedzi, ale to właśnie potrzebowałam usłyszeć.

— Kiedyś musisz mi wyjaśnić, co to znaczy, ale teraz nie mamy

na to czasu.

— Zgoda. Przejdźmy do tego, co istotne.

— Pewnie przez jakiś czas nie będę się pojawiała w biurze.

— Teraz naprawdę żałuję, że nie mamy tajnego hasła, które oznaczałoby, że zostałam porwana.

Nie mogę się powstrzymać od chichotu i moje ciało protestuje bólem.

— Tak, musimy ustalić sekretne hasło, ale nie dzisiaj. Miałam mały wypadek i istnieje zagrożenie dla bezpieczeństwa...

— Wypadek? — spanikowana Temperance wchodzi mi w słowo.

— Nic ci nie jest? Co się stało?

— Nic mi nie jest, ale... Konsekwencje tego wypadku nie dotyczą tylko mnie. Nie mogę powiedzieć ci wszystkiego poza tym, że potrzebuję, byś mnie zastąpiła i wypełniała obowiązki prezesa. Będziesz musiała zająć się wszystkim osobiście, podczas gdy ja będę pracować zdalnie.

Pierwszą odpowiedzią jest gwałtowne zaczerpnięcie oddechu.

— Czytam tu między wierszami, Keiro, i zupełnie mi się to nie podoba.

Przełykam ślinę i próbuję zapomnieć o bolącym ciele. Chcę to rozegrać jak na szefową przystało.

— Jestem bezpieczna i jestem pewna, że nic mi nie będzie. Jeśli jednak tak ma pozostać, to musisz zrobić dokładnie to, o co właśnie poprosiłam.

— Dobrze. Nie pytam więcej. Wiem, że im mniej wiem, tym lepiej. Powiedz mi, co mam zrobić.

Przez kolejne pięć minut daję Temperance polecenia. Osładzam

je dawno obiecaną podwyżką.

— Dostaniesz ją już przy kolejnej wypłacie.

— Jesteś pewna?

— Tak.

W tej chwili nie przeszkadza mi, że chwilowo podwyżka będzie

opłacona z pieniędzy Lachlana, jako że pozycja Seven Sinners w świecie whiskey wzrasta również dzięki niemu. A może po prostu wreszcie zaczynam się zachowywać jak szefowa, którą jak mi uświadomił, jestem? *Kolejna zmiana.*

— Wiem wszystko, czego potrzebuję. Ale... czy mogę prosić, byś

uważała? Wiem, że nie możesz mi więcej powiedzieć, jednak rozumiem dość, by wiedzieć, że wpakowałaś się w niezłe

tarapaty. I jeśli to ma coś wspólnego z tym, co myślę, to *proszę*, upewnij się, że wiesz, co robisz.

— Panuję nad sytuacją, ale dziękuję.

Milczy przez chwilę.

— No dobrze, to teraz lepiej zadzwoń do swojego ojca.

— Właśnie to zamierzam zrobić. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś... i że potrafisz czytać między wierszami.

— Nadal chcę poznać tajne hasło na wypadek porwania.

— Obiecuję, że wspomnę coś o chardonnay lub prosecco.

— Wtedy będę wiedziała, że naprawdę siedzisz w gównie po uszy. — Śmieje się Temperance.

— Otóż to.

Rozłączamy się. Patrzę na telefon, zastanawiając się, jak u licha przeprowadzić kolejną rozmowę.

8.

Mount

— Gdzie ona, do diabła, jest?!

Wstyd się przyznać, ale gdy otwieram oczy i widzę, że łóżko obok mnie jest puste, a odłączona kroplówka zwisa z uchwytu, kompletnie tracę głowę.

Drzwi otwierają się i do środka wpadają Z. i D.

— Gdzie ona jest? — pytam i obydwaj mężczyźni rozpoznają cichą groźbę w moim głosie.

— Jest z V. Musiała wykonać kilka telefonów. Praca. Rodzina.

W pierwszym odruchu mam ochotę przełożyć ją przez kolano i wymierzyć klapsa w tyłek za to, że zostawiła mnie, nic nie mówiąc, ale pohamowuję się. Odrobinę — ludzie tak łatwo się nie zmieniają.

— Gdzie?

— Na górze, ponieważ tutaj nie ma zasięgu, zresztą na twój rozkaz, szefie.

V. wie, że karą za to, że Keirze coś by się stało pod jego opieką, byłaby śmierć. Zresztą ten człowiek udowodnił już, że byłby gotów za mnie umrzeć. Spodziewam się, że zrobi to samo dla niej.

— Sprowadź ją tu natychmiast.

— Ale szefie... pani Kilgore powiedziała, że nie możemy cię zostawiać bez ochrony. Powiedziała...

— Co takiego powiedziała pani Kilgore? — Zachęcam Z., gdy przerywa.

— Że osobiście zabije nas obydwu, jeśli pana zostawimy.

Uśmiecham się lekko. Fakt, że Keira teraz wydaje polecenia moim pracownikom, jest dla mnie zaskoczeniem. Jakaś część mnie nie jest jeszcze przekonana, czy to, co mówiła wcześniej, nie jest wynikiem działania leków, adrenaliny i szoku, jednak wydaje się, że się myliłem. Keira weszła w rolę, którą nie byłem pewny, czy przyjmie, i zrobiła to bez żadnej zachęty z mojej strony.

— A wy jej uwierzyliście.

Obydwaj mężczyźni kiwają głowami.

— Mówiła poważnie, sir.

Uśmiecham się szeroko. *Moja mała diaboliczka.*

— To wyślijcie kogoś na górę, by powiadomił ją, że wymagana jest jej obecność tutaj.

Drzwi, do tej pory uchylone, otwierają się na pełną szerokość.

— Moja obecność jest wymagana? To brzmi okropnie oficjalnie.

Nawet w szpitalnym ubraniu w kolorze smerfa i za wielkim o dwa rozmiary Keira zachowuje się jak królowa. Kiwa moim ludziom głową i obydwaj wychodzą z pokoju, zamykając za sobą

drzwi. Keira podchodzi do swojego łóżka od strony, która sąsiaduje z moim.

— Załatwiłaś to, co musiałaś załatwić?

— Tak. Na tyle, na ile było to możliwe. Delegowałam część zadań Temperance. W czasie mojej nieobecności będzie pełniła

funkcję prezesa. Wzbudziłam też poczucie winy w moim ojcu

—

bez skrupułów, dodam — by nie przyjeżdżał, dopóki nie będę na

to gotowa.

Wzmianka o jej ojcu mrozi mi krew w żyłach.

— Teraz nie jest dobry moment, by twoja rodzina znalazła się w mieście.

— Wiem. I nie przyjadą. Czy wciąż masz ludzi, którzy mogą ich

chronić? Wszystkich?

— Tak. Będą pod ochroną, dopóki nie wydam rozkazu, że nie jest to już potrzebne. W tym momencie nie mam najmniejszego

zamiaru tego robić. Złożyłem ci obietnicę i zamierzam jej dotrzymać.

Keira zatrzymuje się między naszymi łózkami. Widzę, że

zaczyna jej brakować sił po tym, jak trochę pochodziła. Ja jestem w stanie działać mimo bólu, ale to dlatego, że nigdy nie miałem innego wyboru. Ona nie powinna musieć tego robić.

— Dziękuję.

— Nie musisz mi za to dziękować. — Wyciągam rękę i chwytam

jej dłoń. — Chodź tutaj — Delikatnie przyciągam ją do siebie i przesuwam się na łóżku, ignorując ból rany postrzałowej.

— Nie zmieszczę się tu.

— Chrzanisz.

Zaciska usta w wyrazie uporu, ale kładzie się obok mnie i układamy się na tyle wygodnie, na ile jesteśmy w stanie. Twarz

Keiry znajduje się tuż obok mojej, gdy się odzywam.

— Powiedziałaś, że mnie nie zostawisz, a jednak obudziłem się

sam.

— Nagła sytuacja. Dopilnowałam, byś był pod opieką.

Potrząsam głową.

— To nie twoje zadanie.

— Czyż nie zrobiłbyś tego samego dla mnie?

— To co innego.

Mruży oczy.

— Wcale nie. Nie wiem, co sprawiło, że znaleźliśmy się w tej sytuacji, ale wiem, że jesteśmy w niej razem.

My. To słowo porusza coś w mojej piersi. Nigdy wcześniej nie byłem częścią żadnego *my*. Jednak sposób, w jaki to wypowiada, to, jak zachowała się, gdy sytuacja była

niebezpieczna, upewnia mnie w tym, że to jedyna kobieta, która

mogłaby stać u mojego boku.

— Możesz wydawać polecenia moim pracownikom, ale nie ze szkodą

dla

własnego
bezpieczeństwa.

To

absolutnie

wykluczone.

— Dobrze — zgadza się z oczywistą niechęcią.

— Mam ci jeszcze jedno do zaproponowania.

Jej palce splatają się z moimi. Staję się uzależniony od tego, jak naturalnie i dobrowolnie mnie dotyka.

— Słucham twoich warunków, *Lachlan*.

Znowu się uśmiecham, gdy wypowiada moje imię. Robię to coraz częściej i może pewnego dnia nawet się przyzwyczaję, że

moje wargi wyginają się w górę. Albo mogę wyrównać bilans, przelewając jeszcze więcej krwi na ulicach.

— Warunki. Po pierwsze, o ile nie jestem niedostępny, nieprzytomny lub moje życie nie jest zagrożone, to ja wydaję rozkazy moim pracownikom. — Gdy Keira otwiera usta, by zaprotestować, mówię, zanim zdąży powiedzieć choć słowo —

Ale wydaję rozkaz, że każde twoje polecenie liczy się tak samo jak moje.

Zaciska na moment usta, po czym odpowiada:

— Mogę się z tym pogodzić.

— Po drugie, jeśli powiem ci, byś coś zrobiła dla swojego bezpieczeństwa, masz to zrobić *natychmiast*. Myślę, że rozumiesz, że sytuacje z pogranicza życia i śmierci nie będą czymś rzadkim, jeśli staniesz się częścią mojego życia.

— Rozumiem.

Fakt, że nie kłóci się ze mną i nie protestuje, sprawia, że moja pierś wypełnia nowe uczucie. *Nadzieja na przyszłość*.

— I wreszcie... w sypialni to nadal ja rządę.

Keira unosi podbródek w geście uporu, do którego już się przyzwyczaiłem.

— Czyżbyś zamierzała skłamać i powiedzieć, że tego nie lubisz?

— Nie. — Potrząsa głową. — Ale raz na jakiś czas chciałabym i

ja móc przejąć kontrolę.

— Zobaczymy.

Tym razem na jej twarz powoli wypływa uśmiech.

— I jeszcze jedno.

— Co takiego? — pyta z cieniem rozbawienia w głosie.

— Pocałuj mnie.

Przygryza wargę i nachyla się do mnie. Jej usta muskają moje.

Odpowiadam równie delikatnie. Gdy się odsuwam, czuję jej smak na języku.

— Ale nie będziesz mi wydawał żadnych rozkazów *tego typu*, dopóki nie wyzdrowiejesz.

— Dopóki *ty* nie wyzdrowiejesz — poprawiam ją.

— Zgoda.

Biorę głęboki oddech i powoli wypuszczam powietrze. Nie chcę

zmieniać tematu, ale już pora. Zanim upoję się nią i wszystkimi możliwościami, jakie kryje przyszłość, muszę odpowiedzieć na jej pytania i powiedzieć jej prawdę.

Czas pokazać Keirze, jak czarna jest moja dusza, i przekonać się, czy nie ucieknie z krzykiem.

Bo właśnie to *powinna* zrobić.

9.

Keira

— Czas teraz, żebyś zadała swoje pytania.

Nagła zmiana tematu przez Lachlana po naszych negocjacjach jest zaskakująca i zastanawiam się, czemu na to nalega. Ale nie pytam o to, czując, że prawdopodobnie już znam odpowiedź.

To test. Ten, który przesądzi o tym, czy pozostanę przy zmianach, które sobie uświadomiłam, i na pozycji, którą jestem

gotowa przyjąć, czy też ucieknę z krzykiem z pokoju.

W tym momencie jestem niemal pewna, że na moją prośbę Lachlan zwolniłby mnie z naszej umowy. Czuję, że w nim też coś się zmieniło.

— Czy boisz się, że ucieknę, gdy na nie odpowiesz? —

zaczynam.

— Czy to twoje pierwsze pytanie? — pyta cierpko, lecz słyszę niewypowiedziany przekaz.

— Wstępne. Chcę tylko zrozumieć, dlaczego na to nalegasz.

Ciemne oczy Lachlana wwiercają się w moje.

— Keiro, nie łudź się, nie jestem dobrym człowiekiem. Jeśli spodziewasz się szlachetnych odpowiedzi na swoje pytania, to czeka cię rozczarowanie. Twoje pierwsze wrażenie na mój temat zawsze będzie najbardziej prawidłowe.

To zdanie sprawia, że sięgam pamięcią do tego pierwszego spotkania w moim biurze. Był tam obecny strach, owszem, ale jeszcze coś. To, jak cała moja uwaga skupiła się na nim, całe moje ciało było jak naelektryzowane. Jego reputacja mnie przerażała, ale emanował energią, która pochłonięła mnie, zanim w ogóle uświadomiłam sobie niebezpieczeństwo.

Ale nie, to nie było moje pierwsze wrażenie na jego temat.

Pierwsze było wtedy, gdy jeszcze nie wiedziałam, kim jest. Tej nocy na balu maskowym. Ta noc zmieniła bieg mojego życia, chociaż wtedy nie wiedziałam jeszcze, że tak będzie.

Moje naprawdę pierwsze wrażenie na temat Lachlana Mounta było takie, że to jest ten mężczyzna, na którego czekałam całe

życie, i ten, którego chcę w nim mieć na zawsze.

Tak więc niezależnie od tego, co mi zaraz powie, będę się trzymać tego wspomnienia i wszystkie rzeczy, które wydarzyły się później, dowodzą, że moje pierwsze wrażenie było słuszne.

— Poradzę sobie — mówię bez wahania.

— W takim razie pytaj.

Wygląda to tak, jakby chciał mi rzucić wyzwanie, zachwiać moim postanowieniem, ale to tylko powiększa mój upór. Może działa tu odwrócona psychologia. Może to kolejny sposób na namieszanie mi w głowie, jednak nie sędzę. Wydaje mi się, że Lachlan otwiera się teraz tak bardzo, jak w ogóle jest w stanie.

— Dobrze. To zacznijmy od czegoś prostego. Czy zapłaciłeś mojemu mężowi, żeby zniknął, a następnie upozorowałaś jego śmierć?

Odpowiada bez cienia wyrzutów sumienia.

— Tak, ale to już wiedziałaś.

— Czy go zabiłaś?

Lachlan milknie i zastanawiam się, czy w ogóle odpowie. Robi to dopiero po chwili.

— Nigdy nie powiem ci, czy kogoś zabiłem, czy nie. Nie dlatego, że ci nie ufam, ale ponieważ nigdy nie chcę stawiać cię w sytuacji, w której ta wiedza obciążałaby twoje sumienie albo

w której musiałabyś zeznawać na temat czegoś, co powiedziałem.

Przygryzam wargę. Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam.

Sądziłam, że usłyszę krótkie i suche „tak”. Jednak ta odpowiedź

jest o wiele bardziej złożona. Jest też tak szczerą, jak mogłabym tego pragnąć, i w jakiś sposób sprawia, że czuję się bezpieczniejsza, niż gdyby odpowiedział tak, jak tego oczekiwałam.

I wtedy dociera do mnie, że Lachlan Mount nie tylko chroni moje ciało. Próbuje też chronić moją duszę przed grzechami, które plamią jego sumienie.

Zalewa mnie fala emocji, gdy to sobie uświadamiam. Mówi, że

nie jest dobrym człowiekiem, ale jest tysiąc razy lepszy niż ten, o którego śmierć przed chwilą pytałam. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale muszę wiedzieć, czy Brett może

wrócić, czy też zniknął na dobre. Potrzebuję to rozstrzygnąć.

Muszę wiedzieć, czy mogę iść naprzód bez lęku, czy też moja przeszłość powróci, by mnie nękać.

— Keiro? — mówi Lachlan i uświadamiam sobie, że milczałam dłużej, niż mi się zdawało. — Czy to już koniec pytań do mnie?

— Nie, ja tylko... zastanawiam się. — Potrząsam lekko głową.

— I?

— Muszę wiedzieć, czy on może jeszcze wrócić. Nie potrzebuję

szczegółów, ale muszę zamknąć tę sprawę.

Lachlan odpowiada z powagą.

— Nigdy więcej nie musisz się nim martwić.

Burza emocji i nowych odkryć, która mnie wypełnia, teraz wzbogaca się o sporą dozę ulgi.

— Dziękuję — szepczę.

Spogląda na mnie zaskoczony.

— Dlaczego mi za to dziękujesz?

— Bo nigdy w życiu już nie chciałabym oglądać jego twarzy.

— I nie zobaczysz. Następne pytanie.

Przez dłuższą chwilę oboje milczymy, gdy zastanawiam się, o co

zapytać. W końcu dochodzę do wniosku, że jest jedna rzecz, która nie daje mi spokoju.

Ta noc, kiedy postanowiłam, że to ten jedyny mężczyzna dla mnie, ten, na którego czekałam całe swoje życie... Wciąż nie mogę zrozumieć, jak do tego doszło. Mogłoby się wydawać, że

zainterweniowało

przeznaczenie,

ale

potrzebuję

poznać

prawdę.

— Jak to się stało, że tej nocy z balem dostałeś mój liścik? —

Gdy dowiedziałam się, że tej nocy to był Lachlan, nie Brett, zareagowałam w sposób, który niechcący mocno go zranił,

choć nie było to moją intencją. Muszę jednak poznać

prawdę.

— Pytanie nie powinno brzmieć „jak?”, lecz „kto za tym stał?”

— zaczyna ostrożnie. W mojej głowie wirują różne możliwości i

z każdą mijającą sekundą odczuwam większy niepokój.

— Kto?

— Magnolia Maison.

10.

Mount

Z twarzy Keiry odpływają wszelkie kolory i żałuję, że nie byłem w stanie zataić przed nią tej informacji, ale obiecałem jej, że koniec z kłamstwami. Poza tym to coś, o czym powinna wiedzieć, choćbym nie wiem, jak pragnął ją ochronić przed poczuciem bycia zdradzoną, które niewątpliwie teraz ją

wypełnia.

— Magnolia dała ci mój liścik? Jak? Dlaczego? Nie rozumiem, dlaczego miałyby to zrobić. Powiedziałeś, że sądziłeś, iż byłam prezentem. To nie ma żadnego sensu.

Chciałbym mieć dla niej lepsze odpowiedzi, ale nie pomyślałem,

by wezwać tu Magnolię, by je uzyskać.

— Nie wiem, jakie były jej motywy, ale na pewno miała w tym jakiś cel.

— Ale...

Keira wygląda jak ktoś dotknięty nieszczęściem. Nie potrafię tego inaczej opisać. Biorę jej dłoń i ściskam lekko, nie chcąc pozwolić, by to nas rozdzieliło.

— Magnolia uzyskała swoją pozycję dzięki temu, że ma najlepsze dziewczyny i umiejętność zdobycia każdej, gdy zajdzie potrzeba.

— Ale dlaczego postanowiła *mnie* w to wciągnąć? — W tonie Keiry brzmi rozpacz i zdumienie, gdy opuszcza dłonie. Siada prosto, krzywiąc się z bólu i spuszcza nogi za krawędź łóżka, zanim zdąży ją powstrzymać.

Mam ochotę zamknąć ją w ramionach i nie pozwolić jej chodzić,

zwłaszcza że widzę, iż ruch sprawia jej ból, ale nauczyłem się już, że to pomaga jej przetrwać różne kwestie, więc zostawiam jej przestrzeń. Przynajmniej na chwilę.

Gdybym mógł ją przed tym uchronić... ale nie mogę. Zasługuje,

by poznać prawdę.

— *Wiedziała*, że ten liścik przeznaczony był dla Bretta. Ona...

—

Keira urywa i domyślam się, co zaraz powie.

— Zasugerowała, byś go napisała?

Keira kiwa głową, jakby nie wiedziała, co powiedzieć.

Sprzeczne emocje walczą na jej twarzy. Chcę, by jedno było cholernie jasne, zanim ta rozmowa dobiegnie końca — że

jestem zajełście wdzięczny, że dostałem ten liścik.

Sięgam i chwytam ją za rękę, zamykając ją w swojej.

— Popatrz na mnie, Keiro.

Jej spojrzenie napotyka moje.

— Niezależnie od tego, jak i dlaczego to zrobiła, to, że dostałem ten liścik, było najlepszą rzeczą, jaka kiedykolwiek mi się przytrafiła. Dzięki niej zauważyłem twoje istnienie. Bez tego nawet bym o tobie nie wiedział.

Przełyka ślinę i kiwa głową.

— To nie z tą częścią mam problem, przysięgam. Nie chciałabym za nic w świecie cofnąć tamtej nocy. — Ściska moją dłoń.

Jej słowa i uścisk dłoni napełniają mnie kolejną porcją nadziei.

Jesteśmy silniejsi niż to, silniejsi niż okoliczności, które nas połączyły. Motywy Magnolii nie mają już dla mnie znaczenia, ale wiem, że są ważne dla Keiry, i rozumiem, dlaczego potrzebuje odpowiedzi.

Niestety nie mogę jej ich udzielić, skoro sam ich nie znam.

Potrzebuję zdobyć więcej informacji i mogę tylko mieć nadzieję, że nie przysporzy jej to więcej bólu.

— Dostałem ten liścik kurierem i byłem zaintrygowany.

Magnolia napisała, że ma dla mnie kogoś specjalnego i że jej anonimowy darczyńca był pewien, że prezent mi się spodoba.

Powiedziała, że może mi zagwarantować, iż nigdy nie znajdę kobiety, która może się równać z tą, i miała rację. Jesteś niezapomniana, żadna nie dorasta ci do pięt.

Keira

Dłoń Lachlana mocniej ściska moją. Przyjmuję siłę, którą mi oferuje, mimo że nie mogę się pozbierać po szoku wywołanym tym, że Magnolia mnie oszukała.

Nie wiedziałam wcześniej, że można odczuwać takie emocjonalne rozdarcie. Z jednej strony jestem wdzięczna, że przyjaciółka postawiła mnie na drodze Lachlana, z drugiej odczuwam palący ból zdrady.

Odmalowała przede mną obraz człowieka, który jest bardziej przerażający od samego diabła, a jednak wepchnęła mnie w jego ramiona. Nie mogła wiedzieć, jak to się skończy. *A może mogła?*

Po prostu... zupełnie tego nie rozumiem.

— Sama nie wiem, czy moja najlepsza przyjaciółka zabawiła się

w swatkę, czy postanowiła mnie sprzedać jak dziwkę.

Lachlan znowu ściska moją dłoń, a drugą ręką ujmuje mój podbródek.

— Nigdy tak o sobie nie mów. Manipulowała nami obojgiem, Keiro, i to po mistrzowsku. Powiedziałem ci, że jest najlepsza w tym, co robi, i to nie bez powodu. Znała mnie. Wiedziała, co lubię, może nawet lepiej niż ja sam. I postawiła ciebie na mojej drodze, wiedząc, że jesteś jedyną kobietą, której będę pragnął

coraz bardziej i bardziej. Jesteś dla mnie jak narkotyk.

Postawiła wszystko na to, że uzależnię się już po jednej dawce, i miała rację.

Otwieram usta chyba po raz dziesiąty w ciągu ostatnich kilku minut i nie tylko dlatego, że po tej nocy czułam to samo.

Pragnęłam więcej. Potrzebowałam więcej. Do diabła, wyszłam za człowieka, z którym, jak sądziłam, spędziłam tę noc, *już następnego dnia*.

— Nie rozumiem, co nią kierowało, to nie ma sensu. — I naprawdę ta część układanki zupełnie mnie przerasta. Czy to kolejny przypadek tego, że *Magnolia zawsze wie najlepiej*? A może bawiła się w rosyjską ruletkę moim życiem?

— Chciałbym móc ci odpowiedzieć, ale nie potrafię. Magnolia Maison nie osiągnęła swojej pozycji w życiu, robiąc rzeczy bez

powodu. Jest sprytna i przebiegła, zawsze ją szanowałem. Ale musisz wiedzieć jeszcze jedno.

Przygotowuję się na kolejne wyznanie i nie wiem, czy potrafię je znieść.

— Co takiego?

Spojrzenie ciemnych oczu Lachlana łagodnieje.

— Dwa dni po balu nadal nie mogłem przestać o tobie myśleć.

O tym, jak cholernie niesamowita byłaś. O tym, jak zażądałaś tego, czego pragnęłaś, a jednak dałaś mi wszystko.

Jego słowa sprawiają, że moje serce przyspiesza, a myśli wypełniają się wspomnieniami. Na chwilę zapominam o zdradzie, a skupiam się na tym, co ważniejsze — gdzie wyłudowałam w wyniku tej zdrady.

— Poszedłem do Magnolii i powiedziałem jej, że chcę cię znowu. Na długo i na wyłączność.

— Zrobiłeś to? — pytam zszokowana.

Lachlan kiwa głową.

— Oczywiście. To, czego pragnęłaś i co mi dałaś, było zupełnie

wyjątkowe. Magnolii udało się osiągnąć cel. Wiedziała, że uzależnię się natychmiast.

Znowu nie wiem, co mam myśleć.

— Sądysz, że spodziewała się, iż zacznę dla niej pracować?

— Nie mam pojęcia, ale gdy zacząłem pytać o warunki i o to, jak cię zdobyć...

Przerywa, gdy marszczę nos w odpowiedzi na wzmiankę o warunkach.

— Diabliczko, taki byłem i tak postępowałem. Kobiety były dla mnie jak rzeczy, które mogłem mieć na własność i używać, a potem zapomnieć, jak tylko moje jaja przestały pulsować po wytrysku. Nie mogę tego zmienić.

— Nie musi mi się to podobać.

Przeszywa mnie spojrzeniem.

— Taki *byłem przed tobą* — mówi, podkreślając każde słowo.

—

Nie mogłem wyrzucić cię z myśli. Przeniknęłaś do mojego życia.

Zmieniłaś *wszystko*.

Jego wyznanie trochę łagodzi mój nastrój, jednak nie zmienia to faktu, że Magnolia mnie okłamała. To jednak nie jest wina Lachlana i nie powinnam go tym obciążać.

— Co się stało, gdy o to poprosiłeś?

— Magnolia powiedziała mi, że to była jednorazowa sprawa i że

już tego nie robisz. Potrzebowałaś gotówki i zgodziłaś się na jedną noc.

Ucisk wokół mojej piersi trochę łagodnieje.

— Więc nie planowała mnie sprzedawać.

Lachlan potrząsa głową.

— Nie. Wprawdzie nie rozumiem, dlaczego to zrobiła, ale wierzę, że mówiła szczerze, gdy powiedziała, że to jednorazowa

sprawa.

Chcę w to wierzyć, ale teraz nie wiem, co myśleć o mojej najlepszej przyjaciółce. Nigdy bym nie pomyślała, że jest do czegoś takiego zdolna, więc trudno mi teraz wierzyć w

cokolwiek, co jej dotyczy.

— Jak możesz być tego pewien?

— Bo zaoferowałem jej fortunę za kolejną noc, a i tak odmówiła.

I znowu słowa człowieka, którego kiedyś się bałam, łagodzą ból zdrady po usłyszeniu prawdy, która zachwiała moim światem w posadach.

Potem dociera do mnie, dlaczego Magnolia nie miała innego wyboru i musiała go odrzucić.

— Nie mogła ci dać kolejnej nocy, bo uciekłam z Brettem.

Wyszłam za niego kolejnego dnia, bo sądziłam, że to z nim spędziłam tę noc na balu. Raz w życiu podjęłam impulsywną decyzję...

Lachlan wciąga gwałtownie powietrze.

— Żałuję, że nie poszedłem do niej tego ranka. Byłabyś moja już od tamtej nocy. Gdy powiedziała mi, że wyszłaś za innego i jesteś poza moim zasięgiem, że, jak to ujęła, *nie jesteś częścią naszego świata*, byłem wściekły.

— Nigdy bym za niego nie wyszła, gdybym wiedziała...

Obejmuje mnie drugą ręką w talii i przyciąga ostrożnie do siebie. Przysuwa moją twarz do swoich warg.

— Za nic bym ci na to nie pozwolił. Za żadne skarby.

Jego wargi muskają moje i wtulam się w niego, chłonąc jego ciepło i pewność siebie. Ten człowiek zmienił bieg mojego życia, nawet o tym nie wiedząc. Gdy puszcza mój podbródek, spoglądam mu w oczy.

— Skoro musiałeś ze mnie zrezygnować z powodu Bretta, to jakim cudem doszło do tego? — wskazuję gestem na siebie i na niego.

Na twarzy Lachlana odbija się bezwstydna duma.

— *Nic* nie jest poza moim zasięgiem, Keiro. Nic.

Z trudem hamuję uśmiech na widok tej arogancji. W całym tym

zamieszaniu, emocjach i zamęcie jedno jest absolutnie pewne.

Lachlan Mount nigdy nie zwątpił w to, czego pragnął — a pragnął mnie.

Wszystko zaczyna się łączyć w całość.

— A więc to ty... ty sprawiłeś, że to się wydarzyło. Wszystko było wynikiem tego, że pociągałeś za sznurki.

— Oczywiście. Gdy nagroda jest odpowiednia, warta jest każdego wysiłku.

Nie mogę nawet mieć mu tego za złe. Jak inaczej zdołałby sprawić, że się w nim zakochałam? Nie mogę sobie wyobrazić innej drogi, która doprowadziłaby nas do miejsca, w którym jesteśmy. I to sprawia, że to wszystko jest jeszcze bardziej zagmatwane.

Przypominam sobie, jak Magnolia mówiła mi, że muszę walczyć

i nie mogę pozwolić mu się złamać. Czy wiedziała, że to podtrzyma jego zainteresowanie mną? Zaczynam kwestionować

wszystko, co kiedykolwiek mi radziła. Gdy ja się zastanawiam, Lachlan mówi dalej.

— Zmusiłem ją, by podała mi twoje nazwisko. Odnalazłem cię, dowiedziałem się, że wyszłaś za mąż. Tego dnia zacząłem cię obserwować i zbierać informacje. Poznałem słabe strony

Bretta. Dowiedziałem się, że cię oszukał. A potem czekałem...

Urywa, a ja umieram z ciekawości, by się dowiedzieć, do czego

zmierza.

— Czekales na co?

— Aż uświadomisz sobie, że chodziło mu o twoje pieniądze.

Zmusiłem się, by poczekać, aż sama zechcesz przeciąć łączące

cię z nim więzi.

— Dlaczego czekałeś? To w ogóle do ciebie niepodobne. —

Próbuję znaleźć wyjaśnienie, ale nie potrafię.

— Zazwyczaj tak nie robię, ale ty byłaś inna. — Przechyliła głowę na bok.

— Chciałeś, żebym była jak najsłabsza, by móc wkroczyć? —
pytam, wciąż nie rozumiejąc.

Potrząsa głową.

— Nie, chciałem, byś była jak *najsilniejsza*.

— Ale zupełnie się rozklejałam...

— Nie, to nieprawda, Keiro. Zaczynałaś stawać na własnych nogach. Nie mów mi, że decyzja, by zakończyć swoje małżeństwo, nie wymagała z Twojej strony odwagi.

Mrugam dwukrotnie. *Ma rację*. Decyzja o rozwodzie nie przyszła mi łatwo, okupiłam ją wewnętrzną walką i

wątpliwościami. Mimo że moje małżeństwo trwało tak krótko, przyznanie, jak wielki popełniłam błąd, było dla mnie szalenie bolesne.

— A więc obserwowałeś i czekałeś. Co tłumaczy, jak udało ci się wyczuć idealny moment, gdy tylko poszłam do prawnika i wynajęłam mieszkanie...

Uruchomiłam

procedury.

—

Przyciskam dwa palce do skroni, czując, jak kolejne kawałki układanki zaczynają do siebie pasować. Gdyby wcześniej nie bolała mnie głowa, to na pewno zaczęłaby po tych wnioskach.

— A ten gnojek zgodził się wziąć pieniądze i zniknąć, wiedząc,

że postanowisz mnie zdobyć.

Lachlan nie próbuje zaprzeczać.

— Zrobiłem, co musiałem, by zdobyć to, czego pragnąłem.

— A więc to wszystko, od samego początku, nie miało nic wspólnego z pieniędzmi... — mówię ze zdumieniem. To zmienia

wszystko.

Podnosi dłoń i wsuwa mi za ucho opadający kosmyk włosów.

— Nie, Keiro. Zawsze chodziło tylko o ciebie.

12.

Keira

— Zawsze chodziło tylko o ciebie.

Sposób, w jaki to mówi, sprawia, że przeszywa mnie dreszcz, jednak nie lęku. Już nigdy więcej nie będę czuła w stosunku do

niego lęku. Teraz drzę z podniecenia, wiedząc, że nikt nigdy nie pragnął mnie tak, jak ten mężczyzna. Sam to przyznał — że jestem jego narkotykiem. Mógł mnie porwać wraz ze swoimi bandziorami i poplecznikami już tego wieczoru, gdy się

dowiedział, że wyszłam za Brettą, jednak tego nie zrobił.

Lachlan Mount nie jest jedynie bezwzględny — jest też przykładem człowieka wytrwałego. Powiedział, że Magnolia jest

sprytna, jednak to on jest mistrzem strategii. Nie mogę mieć mu za złe wyniku tych działań, ale muszę przyznać, że byłam pionkiem w o wiele większej grze, niż sądziłam.

— Grałeś w szachy moim życiem, a ja nawet nie wiedziałam, że

stoję na planszy. — W moich słowach nie ma gniewu, po prostu

staram się zrozumieć tego zagadkowego mężczyznę.

— Życie jest grą w szachy, Keiro. Każdego pieprzonego dnia wykonujesz ruchy, które przesądzają o twojej przyszłości.

— A Magnolia zmieniła mnie w pionka.

— Nie. — Lachlan powoli potrząsa głową, znowu gładząc mnie

po policzku. — I tu się mylisz, diaboliczko. Nigdy nie byłaś pionkiem, od pierwszego dnia byłaś królową. Najpotężniejszą figurą na całej pierdolonej szachownicy.

— Co? — Nagle zaczynam żałować, że nie słuchałam uważniej,

gdy mój ojciec próbował mi jako dziecku wytłumaczyć zasady gry w szachy.

— Król ma największą wartość, jednak bez królowej ma o wiele mniej siły. Razem mają największą szansę na wygraną —

przerywa i gładzi mój policzek, jakbym była najcenniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek miał okazję dotykać. — Całe życie starałem się unikać osobistych więzi, ponieważ sądziłem, że będzie to stanowiło mój słaby punkt, który moi wrogowie mogliby wykorzystać. Dopóki ciebie nie spotkałem, nie

uświadamiałem sobie, jak bardzo się myliłem. Dajesz mi siłę i przysięgam na Boga, że nigdy nie pozwolę komukolwiek mi cię

odebrać.

Gwałtowność w jego głosie powinna mnie przerazić, ale

zamiast tego mnie uspokaja. A potem mówi coś, co zapada mi jeszcze głębiej w duszę.

— I chociaż nie pozwolę, by ktokolwiek inny mi cię odebrał, teraz pozwoliłem ci zadać sobie dowolne pytania. Wydaj osąd.

Podejmij decyzję. Muszę być pewny, że poradzisz sobie z życiem u mojego boku, Keiro, ponieważ jeśli nie, to muszę znaleźć jakiś sposób, by pozwolić ci odejść.

Sama sugestia rwie mi serce niesłychanie bolesny sposób, i na

samą myśl o tym czuję pieczenie w oczach.

— Jeśli masz jeszcze pytania, to zadaj je teraz.

Moje myśli gonią z szaleńczą prędkością i nie potrafię pomyśleć o niczym, co mogłoby zmienić moje zdanie.

Poza jednym...

Przyciskam dłoń do ust, gdy przypominam sobie pierwszą brutalną opowieść, jaką usłyszałam o nim od Magnolii: zmusił kobietę, by tańczyła na potłuczonym szkłe, aż zdecydowała się podciąć sobie żyły. Nie potrafię wyobrazić sobie, żeby ta plotka mogła być prawdziwa w odniesieniu do mężczyzny, którego

widzę przed sobą. Nawet nie chcę dopuścić możliwości, że jest

prawdziwa.

Lachlan chyba widzi sprzeczne uczucia walczące na mojej twarzy, bo puszcza mnie.

— Zadaj mi pytanie, Keiro. To rozkaz.

Wypuszczam powoli powietrze, zbierając się na odwagę. Nie wiem, co zrobię, jeśli się mylę co do niego i to okaże się prawdą.

— Magnolia opowiedziała mi o tobie pewną historię...

Wyraz jego twarzy staje się obojętny, w rysach pojawia się twardość, i jego oblicze znowu zaczyna przypominać granitową

maskę. Nie cierpię widzieć takiego wyrazu jego twarzy, zupełnie jakby spodziewał się najgorszego. I może tak właśnie jest.

— Krąży o mnie wiele opowieści. Musisz mówić konkretniej.

Niektóre z nich to prawda, inne to plotki i mity.

Muszę to z siebie wyrzucić. To jedyny sposób, więc w końcu się

na to zdobywam.

— Opowieść o kobiecie zmuszonej do tańca na potłuczonym szkle. Czy to prawda?

Jego wyraz twarzy nie zmienia się. Odsuwa się ode mnie i niewielka odległość między nami wydaje się olbrzymia jak Wielki Kanion.

— To prawda.

13.

Mount

Odlączam swoje emocje, jedną po drugiej, przygotowując się na

nieuniknione. Na chwilę, w której Keira powie, że nie może być

z takim potworem jak ja. *Jestem* samym diabłem, nie ma mowy, by chciała być z kimś zdolnym do rzeczy, które robiłem.

Zwrócenie jej wolności pozbawi mnie resztek człowieczeństwa,

ale nie mogę jej trzymać wbrew jej woli. Nie teraz. Ten etap już jest za nami. Jeśli powie, że chce odejść, nie będę jej zatrzymywał.

Z jej twarzy odpływają wszystkie kolory. Rozdarcie, które dostrzegam w jej oczach, przeszywa mnie bólem.

Nie chcę, by się mnie bała, ale czy człowiek taki jak ja zasługuje na cokolwiek innego?

Wisi między nami kamienna cisza, aż Keira, królowa, o której nawet nie wiedziałem, że jej potrzebuję, póki los nie pchnął nas w coś, czego się nie spodziewaliśmy, przemawia znowu.

— Powiedz mi, dlaczego.

To nie jest pytanie. To żądanie i to takie, którego się nie spodziewałem. Nie sądziłem, że będzie ją interesował powód.

— Czy to ma znaczenie?

Kiwa głową lekko dostrzegalnie, ale nie uchodzi to mojej uwagi.

— To ma większe znaczenie niż cokolwiek, o co cię kiedykolwiek pytałam. Powiedz mi, dlaczego zrobiłeś coś takiego. Muszę wierzyć, że był jakiś powód. — Słyszę w jej głosie groźbę napływających łez i wolałbym przyjąć kolejną kulę, niż znowu słyszeć ten ton.

Nigdy nie tłumaczę się ze swoich działań. Jednak wiem, że to wyjątek, warunek, na który muszę przystać, lub stracę ją na zawsze.

Odwracam wzrok. Nie chcę widzieć jej twarzy, gdy będę opowiadał tę historię.

— Jakies dziesięć lat temu w Dzielnicy Francuskiej w pobliżu Jackson Square tańczył pewien chłopak. Widywałem go niemal

za każdym razem, gdy stąd wychodziłem. Ten sam chłopiec, dzień za dniem. Ludzie myślą, że gdy jest się szefem, nie zauważa się szczegółów, ale się mylą. Gdy ma się taką władzę jak ja, ma się świadomość tego, że szczegóły mogą stanowić o różnicy między życiem a śmiercią. To nie był jeden z takich szczegółów. To, że każdego dnia widziałem tego samego

dzieciaka, nie powinno mieć dla mnie znaczenia, ale z jakiegoś

powodu nie dawało mi to spokoju.

Przerywam, przypominając sobie wyraz twarzy chłopca, i zmuszam się, by mówić dalej.

— Każdego dnia, gdy go widziałem, zachowywał się coraz bardziej chaotycznie. Sądziłem, że powinien być w szkole czy coś. Nie mógł mieć więcej niż sześć lub siedem lat, nie byłem pewny. Sama skóra i kości.

Keira

wciąga

powietrze

przerażona

obrazem,

który

odmalowuję, ale nie patrzę na nią, jestem zbyt zatracony w tym

wspomnieniu.

— Pewnego dnia w końcu zatrzymałem się i siedziałem na ławce przez sześć godzin, patrząc na niego i jego wiaderko, do którego turyści wrzucali dolary. Co parę godzin pojawiali się mężczyzna lub kobieta, opróżniali wiaderko, a dzieciak tańczył

dalej. Dość długo żyję na świecie, by potrafić rozpoznać ćpunów. Uzależnionych od metaamfetaminy nietrudno jest rozpoznać.

— O mój Boże — szepcze Keira, bo zaczyna rozumieć, do czego

zmierza ta opowieść.

Trzymam wzrok utkwiony w ścianie za plecami Keiry, bo nie chcę, by wiedziała, jak straszna wściekłość narasta we mnie pod wpływem tych wspomnień.

— Powiedz mi, że oni nie... — urywa i żałuję, iż nie mogę zapewnić jej, że ta historia nie kończy się tak, jak zaczyna się tego domyślać.

—

Stan

uniesienia

po

kryształe,

silniejszej

formie

metaamfetaminy, może trwać od ośmiu do dwudziestu czterech

godzin. Gdy zaczynał zwalniać, zabierali jego i wiaderko na jakiś czas. Poszedłem za nimi tego dnia i patrzyłem, jak kobieta, jego *własna pierdolona matka*, mu to daje.

Z gardła Keiry wyrywa się szloch.

— Nie... Jak mogła?

— Jest mnóstwo rodziców, którzy robią okropne rzeczy swoim dzieciom, i nie ma sposobu, by uratować je wszystkie.

— Nie jestem w stanie nawet sobie wyobrazić...

— I nie powinnaś. Tego typu rzeczy nie powinny się wydarzać,

ale jednak się, kurwa, zdarzają.

— Co zrobiłeś?

— Wezwałem paru chłopaków. Wzięliśmy dzieciaka, matkę i dupka, który był jej chłopakiem i dilerem. — Odrywam

spojrzenie od ściany i spoglądam na przerażoną Keirę, mając zamiar wyjawic, jak zajebicie brutalny potrafię być bez cienia wyrzutów sumienia. — Kazała dziecku tańczyć po zażyciu

kryształu, więc sama zasłużyła na tańczenie na szkle.

Pięść Keiry unosi się do ust, jakby usiłowała stłumić wymioty.

Nie winię jej.

— Sprawiedliwość ulicy to nie jest lekki klaps po łapach czy parę dni w więzieniu. To nawet więcej niż oko za oko. Jest brutalna, okrutna, bez wyrzutów sumienia. I taki właśnie jestem. Brutalny, okrutny i bez wyrzutów sumienia.

Obrzydzenie na jej twarzy sprawia, że przez chwilę żałuję, że nie urodziłem się kimś innym, że nie jestem człowiekiem, który

na nią zasługuje. Ale jest jak jest. Zostałem wykuty w ognjach piekła, w którym dorastałem. Przetrwałem na ulicach w jedyny

sposób, jaki znałem, wspinając się po szczeblach kariery w przestępczej organizacji Johnny'ego Morello.

Odwracam od niej wzrok, spodziewając się, że ucieknie w kierunku drzwi. Ona jednak zadaje mi cicho nieoczekiwane pytanie.

— Jak miał na imię ten chłopiec?

— Rubio.

Przyglądam się białemu prześcieradłu, które zaciskam w pięści,

starając się patrzeć gdziekolwiek, byle nie na nią. Nadal nie rzuca się do ucieczki.

— Co się z nim stało?

Zmuszam się do rozluźnienia uścisku i mówienia tonem wypranym z emocji.

— Dopilnowałem, by został adoptowany przez dobrą rodzinę, taką, która nigdy by go nie skrzywdziła, bo wiedzieli, jaka byłaby za to kara. Zapłaciłem, by poszedł do prywatnej szkoły.

Dostaje same piątki i namierzają go już szkoły sportowe do drużyny koszykówki. Może pójść, gdzie tylko zechce, i wie o tym.

Dłoń Keiry nakrywa moją. Unoszę gwałtownie głowę, by na nią

spojrzeć.

— Uratowałeś go — szepcze.

— Patrzyłem, jak jego matka podcięła sobie żyły — mówię brutalnie. Taki jestem. — Nie próbuj robić ze mnie bohatera, bo to, kurwa, ostatnie, kim jestem.

Keira spogląda na mnie kamiennym wzrokiem.

— Nie potrzebuję żadnego pieprzonego bohatera, Lachlan.

Potrzebuję mężczyzny, który nie boi się stanąć w obronie tych, którzy nie mogą sami się bronić. Możesz to sobie nazywać, jak

chcesz, ja nazywam to sprawiedliwością i honorem.

Mrużę oczy.

— Chyba nie rozumiesz.

Potrząsa głową i unosi swój uparty podbródek jeszcze wyżej, rzucając mi wyzwanie.

— Nie, to ty nie rozumiesz. Nie widzisz tego, ale ja tak. Jestem skłonna założyć się o wszystko, co mam, że ten dzieciak nie był

jedynym, którego ocaliłeś przed losem gorszym od śmierci. Ile jeszcze niewinnych istnień pomściłeś?

Osiemnaście lat wcześniej

Szef wysłał mnie na spotkanie ze starą gwardią — z dawnym szefem jednego z karteli narkotykowych, którego CIA umieściło

w ramach emerytury w przytulnej willi w Dzielnicy Ogrodów.

Jeśli komukolwiek się wydaje, że handel narkotykami narodził się wyłącznie po południowej stronie granicy, powinien

naprawdę otworzyć oczy na to, co się dzieje znacznie bliżej jego domu. Wojna z narkotykami to żart — to my ją zaczęliśmy i nigdy się nie skończy.

Miałem zostawić przesyłkę i odebrać inną. Wymiana gotówki za

informacje.

Rzeczą, której się nauczyłem od Johnny'ego Morello, jest to, że informacja jest bezcenna. Przez ostatnie dziesięć lat wspinałem się po szczeblach kariery w jego zbrodniczej organizacji. Gdy już się weszło w jej tryby, można było się wydostać jedynie w worku na zwłoki. Ale jako że i tak nie miałem dokąd pójść, byłem szczęśliwy, mogąc sprzątać gówno i piąć się w górę, szczebel po szczeblu.

Teraz byłem darzony zaufaniem — z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu Morello mnie sobie

upodobał. Wiedziałem o tym. Inni też o tym wiedzieli. I najwyraźniej wiedział o tym też ten stary człowiek, który sącył tequilę w swoim ogródku, jakby nigdzie mu się nie spieszyło i nie miał nic innego do roboty.

— Masz przesyłkę? — zapytałem go po raz drugi. Podobnie jak Morello, nieczęsto się powtarzałem.

— Usiądź. Denerwuje mnie, jak tak nade mną stoisz. — Wciąż mówił po angielsku z akcentem i zastanawiałem się, co też zaoferował władzom w zamian za to wygodne życie.

Usiadłem na krześle naprzeciwko niego. Bębniłem palcami po wełnianym materiale moich spodni od garnitur. Można by

pomyśleć, że w upale Nowego Orleanu będę się w nich poccił, ale krawiec Morella, Giorgio, używał tylko najdelikatniejszych, najłżejszych materiałów.

Jeśli ktokolwiek powiedziałby mi dziesięć lat temu, że częściej będę chodził w garniturze niż w poplamionych i podartych koszulkach, roześmiałbym mu się w twarz. Jednak to on miałby

rację, nie ja. Pięć lat temu, po tym jak ku satysfakcji szefa udowodniłem mu swoją lojalność, Morello wprowadził mnie do

kręgu swoich zaufanych pracowników, a Giorgio uszył mój pierwszy w życiu garnitur.

Nigdy nie sądziłem, że przyzwyczaję się do dotyku jedwabiu, jednak teraz to moja druga skóra. Teraz rozumiem, dlaczego mężczyźni, którzy noszą garnitury, zawsze wydają się bardziej pewni siebie i wyglądają, jakby mieli wszystko pod kontrolą.

Tak właśnie się poczułem, gdy założyłem swój pierwszy garnitur i spojrzałem na siebie w lustrze. Tego dnia Morello zatrudnił mi też nauczyciela, żebym przestał mówić jak dzieciak z ulicy, a zaczął brzmieć jak ktoś, kto nie zdobywał wykształcenia na ulicy w krwawej walce o przetrwanie.

— Wydaje się pan bystrym człowiekiem, panie Mount. Morello szykuje pana na swoją prawą rękę, prawda?

— Z całym szacunkiem, sir, przyjechałem tu po przesyłkę.
Mam

inne sprawy do załatwienia.

Stary Meksykanin potrząsnął głową.

— Nigdy się nie przyzwyczaję do waszych amerykańskich zwyczajów. W mojej kulturze różne rzeczy załatwia się inaczej.

— Tutaj nie mamy czasu na bezczynne czekanie. A przynajmniej nie w organizacji pana Morello.

Stary człowiek sięgnął po leżącą obok niego kopertę zawierającą informacje, za które płaciliśmy. Miały nam pozwolić przejąć kontrolę nad handlem narkotykami w mieście

i wyrugować kartel, przynajmniej na razie. Byłem dostatecznie bystry, by wiedzieć, jak to się skończy. Siła kartelu i tak miała rosnąć, aż w końcu musielibyśmy się z nimi dogadać. Morello prawdopodobnie nie zgodziłby się ze mną, czasem jednak jego arogancja nie pozwalała mu jasno dostrzec niektórych spraw.

Gdy wyciągnął do mnie kopertę, sięgnąłem po nią, jednak starzec nie wypuszczał jej z dłoni.

— Proszę mi powiedzieć, panie Mount, czy jest pan dobrym człowiekiem?

— A cóż to ma za znaczenie? — odparowałem pytaniem.

— Po prostu zaspokojenie ciekawości starego człowieka.

Spojrzałem w jego przymglone brązowe oczy i powiedziałem mu prawdę.

— Nie, nie jestem.

Z jakiegoś powodu wydawał się zadowolony z tej odpowiedzi i na jego twarz wypłynął uśmiech.

— Szanuję pańską szczerość. — Uśmiech zniknął tak samo szybko, jak się pojawił. — Ale nie szanuję pańskiego szefa.

Rządzi dzięki zastraszaniu i przemocy, a nie wzbudzając szacunek. Prawdziwa władza i utrzymanie jej wymaga wszystkich trzech elementów.

To, co powiedział, trafiło mi do przekonania, bo wiedziałem, że ma rację. Jednak nie pozwoliłem, by moja twarz zdradziła cokolwiek — wiedziałem, komu winien jestem lojalność, i nie był to stary Meksykanin.

— Pańskie sprawy z panem Morello nie dotyczą mnie.

Stary człowiek przechylił głowę w bok.

— A co, jeśli bym ci powiedział, że lubi młode dziewczynki?

Zacisnąłem zęby. Stary wiedział, gdzie uderzyć, by do mnie trafić.

— Jeśli tylko są chętne i w wieku dozwolonym prawem, to nie jest to moja sprawa.

Wiedziałem, co lubił Morello. Blondynki, im młodsze, tym lepiej.

Starąłem się jednak upewnić, że wszystkie są dorosłe i żadna nie wydawała się być zmuszana. Może i nie byłem dobrym człowiekiem, ale wszystko miało swoje granice.

— A gdyby jednak nie było to legalne, a one nie były chętne?

Wstałem z krzesła i spojrzałem na niego z wściekłością.

— Do rzeczy, starcze, bo nie mam czasu i ochoty na gierki w dwadzieścia pytań. — Ton szacunku zniknął z mojego głosu, tak

samo jak wyczerpała się moja cierpliwość.

Wskazał głową na mój garnitur.

— Twój krawiec ma córkę. Młodziutką blondyneczkę. Ile ma lat?

Fakt, że wiedział coś takiego, pomógł mi zrozumieć, dlaczego CIA obchodziło się z nim jak ze śmierdzącym jajkiem.

— Do czego pan zmierza? — Wyplułem te słowa. Nie podobał

mi się kierunek, w jaki zwróciła się ta rozmowa. Jakaś część mnie myślała, że po prostu próbuje namieszać mi w głowie, by wystawić moją lojalność na próbę. Może to był test. Może to było coś, co on i Morello uknuli razem.

— Jeśli choć trochę obchodzi cię ta mała, miej na nią oko. Bo najwyraźniej to, co legalne, nie wystarcza już panu Morello.

Sama myśl o tym, że Morello mógłby tknąć Gretę —

czternastolatkę, tak jak Hope, gdy Jerry próbował ją zgwałcić

— wprawiła mnie w taką samą wściekłość, jaką czułem tamtej nocy.

— Co ty o tym wiesz? I dlaczego mi to mówisz?

Stary człowiek wzruszył ramionami.

— Może nie podoba mi się, jeśli ktoś krzywdzi dzieci.

Słyszałem, że to nas łączy.

Nie mógł znać mojej przeszłości. To było niemożliwe.

Wyrwałem mu z dłoni kopertę i wetknąłem pod pachę.

— Dobrze się robi z panem interesy.

— Z panem również, panie Mount. Spodziewam się, że wkrótce

znowu się spotkamy.

Słowa starego Meksykanina prześladowały mnie przez kolejne dni.

Oddałem Morello kopertę, nie wspominając nic o oskarżeniach.

Zamiast tego czekałem i obserwowałem, mając nadzieję, że stary się mylił.

Gdy Morello wysłał Giorgia do Włoch, by osobiście wybrać nowe

materiały, dopadło mnie złowrogie przeczucie. Greta i Giorgio mieszkali na terenie posiadłości Morello. Giorgio był

wdowcem

i Morello zapewnił go, że Greta będzie miała opiekę podczas jego nieobecności.

Wciąż wysyłał mnie w różnych sprawach, przez co nie miałem szansy pilnować Grety tak, jak wtedy, gdy spałem pod drzwiami

Destiny, a potem pilnowałem Hope.

Chciałem, by stary Meksykanin się mylił, ale czułem, że miał rację.

Tak jak zaplanowałem, wróciłem wcześniej po załatwieniu jakiejś sprawy i wszedłem poprzez sieć wewnętrznych korytarzy, by dotrzeć do biura Morello. To było jedyne pomieszczenie, do którego nie dawało się zajrzeć przez wizjery

w ścianach i wszedłem tam bez pozwolenia, co mogło kosztować mnie życie.

Ale wiedziałem, że muszę to zrobić.

Nie chciałem wierzyć własnym oczom. Wielka dłoń Morello trzymała włosy Grety, gdy przerzucił ją przez biurko. Jego kutas był na wierzchu, a jej bluzka podarta. Jej okrzyki i jego kpiny wypełniły moje uszy, po czym krew mnie zalała.

Widziałem Hope i Jerry'ego, nie Gretę i Morello. Poczułem morderczy spokój i nie zastanawiałem się nad konsekwencjami

moich działań.

Wyciągnąłem pistolet z kabury, którą zawsze miałem na sobie i w milczeniu przeszedłem przez pokój. Czułem się, jakby w moich żyłach płynęła lodowata woda, gdy przycisnąłem lufę do

tyłu jego łysiejącej głowy, nim zdążył wykonać kolejny ruch.

— Zabierz z niej łapy — powiedział niskim, groźnym głosem.

— Co, do kurwy, wyprawiasz, dzieciaku? — zapytał Morello wściekłym głosem. — Wypierdalaj stąd albo sam cię zabiję!

— Zabierz z niej swoje łapy — powtórzyłem, podkreślając każde

słowo.

— Zginiesz, dzieciaku. A wiązałem z tobą takie nadzieje... —

Morello szarpnięciem odsunął Hope, to znaczy Grete, na bok.

Kątem oka widziałem jej zalaną łzami twarz zastygłą w wyrazie

lęku.

— Powiedz mi, że to jest pierwszy raz, gdy ją tknąłeś, a skończy się tylko na tym, że wpakuję ci kulkę w łeb.

— Pieprz się, mały. Nie waż się mnie przesłuchiwać. Zrobię sobie przycisk na biurko z twojego łba.

— Greta? — zapytałem, nie patrząc na nią, cały czas skupiając uwagę na Morello i mierząc do niego z pistoletu.

Szlochała tylko i nie odzywała się.

— Powiedz mi, Morello. Spraw, żebym uwierzył, że nigdy wcześniej jej nie tknąłeś, albo to *twój* łeb stanie się przyciskiem do papieru.

Mój szef wreszcie znieruchomiał, uświadamiając sobie w końcu,

że mówię poważnie.

— Ledwo ją tknąłem. Sama się prosiła. Przyszła do mnie, błagając o to. Chciała poznać, czym jest prawdziwy mężczyzna.

— Kłamię — wyszlochała Greta łamiącym się głosem. — Groził

mi, że mnie zabije, jeśli komukolwiek powiem.

— Ile razy? — spytałem niskim, śmiertelnie poważnym głosem.

— Za każdym razem, gdy tata wyjeżdża.

— Nie słuchaj tej głupiej cipy. Po prostu chce zwrócić na siebie uwagę.

Odciągnąłem kurek pistoletu i Morello zamilkł.

— Zanim z tobą skończę, będziesz żałował, że nie pociągnąłem

za spust od razu. Greta, wyjdź stąd. Idź do swojego pokoju i zamknij się na klucz. Nikogo nie wpuszczaj.

Dziewczyna wstała i rzuciła się w kierunku drzwi, szarpiąc za klamkę. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że są zamknięte.

Stary Meksykanin miał rację. Nie wiem, dlaczego chciał, bym zabił Morello, ale wiedział, że to zrobię. Wykorzystał mnie, ale to było najmniejsze z moich zmartwień.

Wciąż trzymając pistolet przy głowie Morello, sięgnąłem do kieszeni po sześciocalowy nóż sprężynowy. Wylał dla niego wiele krwi, a teraz miał przelać jego krew.

— Umrzesz powoli, ty kupo gówna.

— A ty będziesz następny, Mount.

Przycisnąłem guzik i ostrze wysunęło się na zewnątrz, po czym

wbiłem mu go w nerkę. Morello zakwiczał z bólu.

— Nie. Tu się mylisz, Morello. Bo przejmuję stery. Od dzisiaj ta organizacja należy do mnie. Każdy, kto się z tym nie zgodzi, zginie tak samo jak ty. — Wyszarpnąłem nóż i wbiłem mu go w

drugą nerkę. Krew już zaczynała plamić jego nieskazitelny garnitur.

To nie miało być ładne ani szybkie.

Gdy z nim skończyłem, jego odcięta głowa leżała na rogu

biurka, na pliku dokumentów. Reszta jego ciała siedziała naprzeciwko mnie na krześle dla gości, nie w fotelu szefa.

Następnie wezwałem wszystkich najważniejszych członków

organizacji i poinformowałem ich o zmianie władzy.

Nie da się przeprowadzić rewolucji bez rozlewu krwi, tak samo

jak dokonać zemsty.

14.

Keira

Teraźniejszość

Widzę po jego twarzy, że spodziewa się, iż odrzucę jego i wszystko, co reprezentuje. Jednak Lachlan Mount wcale nie zna

mnie tak dobrze, jak mu się zdawało... Najwyraźniej ja sama też

nie znałam siebie tak dobrze, jak myślałam.

Historia, którą opowiedziała mi Magnolia, sprawiła, że zrobiło mi się niedobrze. To, co opowiedział mi Lachlan, zemdlilo mnie

jeszcze bardziej, ale z zupełnie innych powodów.

Zupełnie się go nie boję. Ani trochę.

Wreszcie zaczynam rozumieć, kim naprawdę, na najbardziej podstawowym poziomie, jest Lachlan Mount. Nigdy nie będzie książkowym bohaterem, jednak jestem pewna, że Rubio

nazwałby go swoim wybawcą, tak samo jestem pewna, że zgodziłoby się z nim wielu innych.

Lachlan Mount żyje w zgodzie z własnym kodeksem moralnym i

nie przeprasza za swoje działania, jednak nie oznacza to, że brakuje mu szczytnych pobudek.

— Wymierzasz sprawiedliwość tak jak uważasz za stosowne, ale

nie sędzę, byś kiedykolwiek celowo skrzywdził kogoś

niewinnego.

— Nie okłamuj się i nie udawaj, że fakt, iż uratowałem parę dzieciaków, równoważy wszystko inne, co zrobiłem. Nie mogłabyś znaleźć duszy czarniejszej niż moja, choćbyś przekopła głębiny piekieł.

Naprawdę wierzy w to, co mówi. Widzę to na jego twarzy, ale sądzę, że się myli.

— Chcesz, żebym powiedziała, że się tobą brzydzę? To spojrzysz mi w oczy i powiedz mi, że poświęciłbyś mnie, by ocalić siebie.

Oczy Lachlana otwierają się szeroko ze zdumienia. Opanowuje

się po chwili i pyta:

— Co, u diabła, próbujesz udowodnić?

— Powiedz to. — Jestem tak stanowcza, jak mężczyzna obok mnie. — Spraw, żebym w to uwierzyła.

Jego twarz wykrzywia się w maskę obrzydzenia.

— Nie ma, kurwa, mowy.

Fakt, że na moją twarz wypływa triumfalny uśmiech, jest równie pokręcony, jak moje emocje w tym momencie, ale mam

to gdzieś.

— Umarłbyś dla mnie. Już mi to pokazałeś. Przeszedłbyś przez

grad kul, by ocalić mnie przed jedną z nich. Nie pozwoliłeś lekarzom zająć sobą, dopóki nie skończyli ze mną, mimo że potrzebowałeś pomocy o wiele bardziej niż ja. Jeśli chcesz, bym uwierzyła, że jesteś potworem, to musisz się bardziej postarać, bo jedyne, co widzę, to mężczyzna, który jest godzien, by stać *u mojego boku*.

Przez jego twarz przemyka wyraz szoku.

— Kurwa, przecież cię zastraszyłem. Nie mów o tym tak, jakby

to była jakaś pierdolona bajka o miłości, bo jest cholernie pewne, że tak nie jest.

Odwraca wzrok, więc naśladuję jeden z jego ulubionych gestów.

Sięgam i dotykam dłonią jego pokrytego kłującym zarostem podbródka, po czym odwracam jego głowę, zmuszając go, by na

mnie spojrzał.

— Nie chcę żadnej bajki. Myślałam, że wcześniej znalazłam księcia, i zobacz, jak to się skończyło. Chcę czegoś

prawdziwego, a ty jesteś najbardziej prawdziwym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu. Nie ukrywasz żadnego ze swoich grzechów. Ukrywasz motywy, jakie za nimi stoją, a to właśnie

one są tu istotne. — Urywam, widząc, jak na jego twarzy pojawia się najpierw niedowierzanie, a potem... chyba

nadzieja?

Nie uświadamia sobie, że niepotrzebna mu nadzieja, bo już ma mnie.

— Nie zastraszyłeś mnie. Być może na początku trochę się ciebie bałam, ale tak samo albo nawet bardziej cię pragnęłam.

Magnolia miała rację w paru sprawach. Na przykład mówiła, że

namieszasz mi w głowie i sprawisz, że rozum wypowie wojnę mojemu ciału. Jednak myliła się co do tego, co ma największe znaczenie. Powiedziała mi, że nie mogę pozwolić, byś zdobył

moje serce — ale prawda jest taka, że nie mogę pozwolić, byś go nie zdobył, bo żałowałabym tego do końca życia. Należę do

ciebie, czy tego chcesz, czy nie.

Lachlan zamyka na chwilę oczy. Gdy je znowu otwiera, mam wrażenie, że patrzę na innego człowieka.

— Dzięki Bogu, bo nie wiem, jakim cudem miałbym się zmusić,

by pozwolić ci odejść.

— Nie pozwoliłabym ci na to.

— Nie zasługuję na ciebie.

Wierzy w to, co mówi. Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się sprawić, by zmienił zdanie, jednak mam zamiar uczynić

wszystko, co możliwe, by pokazać mu, że się myli.

Pochylam się w jego stronę.

— Na szczęście ocena tego nie zależy od ciebie, tylko ode mnie, a ja już podjęłam decyzję.

Obejmuje mnie ramionami. Ostrożnie, uważając na nasze

obrażenia, prowadzi mnie z powrotem na łóżko i tuli do swojego poranionego ciała. Mój policzek na jego piersi. Jego podbródek na czubku mojej głowy.

Lachlan Mount może myśleć, że jest zimnym potworem, ale wsłuchana w równe bicie jego serca pod moim uchem zasypiam

jak dziecko.

15.

Mount

Oddech Keiry zwalnia i wyrównuje się, a ja odtwarzam w myślach jej słowa. Przez wszystkie moje grzechy nie zasługuję na tę kobietę, ale nie zamierzam z niej zrezygnować. Nie jestem honorowym człowiekiem, mimo że ona wydaje się dostrzegać we mnie coś, czego ja nie widzę. Do diabła, po tej historii, którą jej opowiedziałem, nie powinna spać tak spokojnie w moich ramionach, a jednak oto patrzę na nią. Może, ale tylko może, jest jakiś cień słuszności w tym, w co wierzy.

Odebrałem życie wielu ludziom. I wiem, że zanim sam odejdę, zabiję ich jeszcze więcej.

Jednak nie mogę zapomnieć o tym, co powiedziała:

Jesteś najbardziej prawdziwym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu. Nie ukrywasz żadnego ze swoich grzechów. Ukrywasz

motywy, jakie za nimi stoją, a to właśnie one są tu istotne.

Nie będę kłamał i twierdził, że za wszystkimi moimi działaniami stoją szlachetne motywy, jednak w większości przypadków mam

powód, który uważam za słuszny — nie, żebym kiedykolwiek uważał za stosowne komukolwiek się tłumaczyć, włączając w to

mnie samego. Nie odczuwam wyrzutów sumienia. Niektórych ludzi trzeba zabić i nie mam problemu być tym, kto zajmie się tą robotą.

Ze względu na Keirę żałuję, że nie jestem lepszym człowiekiem,

jednak za tą myślą nie idzie nic więcej. Gdybym był kimkolwiek

innym, niż jestem, nie trzymałbym jej teraz w ramionach.

Pokonałem gówniany los, który mi przypadł w udziale, i zaczynam wierzyć, że wszystko po to, bym mógł z nią być. Jest

moją nagrodą. Może początkowo ją zmusiłem, jednak teraz zaoferowała mi się dobrowolnie i nigdy tego nie zapomnę. Będę ją chronił nawet za cenę własnego życia i wszelkimi dostępnymi

dla mnie sposobami.

Nikt jej nawet nie tknie. Nigdy.

Zapadam w drzemkę, jednak jak zwykle śpię czujnie. Gdy drzwi

się otwierają, mam w ręku pistolet, zanim nawet uświadamiam sobie, że go wyciągnąłem spod poduszki.

J.

Opuszczam broń, widząc moją prawą rękę. Keira nadal cicho pochrapuje w moich ramionach.

— Mamy wyniki badań balistycznych kuli znalezionej w samochodzie.

— I?

— Poddźwiękowy pocisk kalibru pięć-siedem. — J. przechodzi przez pokój i podaje mi raport.

Kaliber należy do ulubionych w kartelach, ponieważ ta amunicja jest w stanie przebić się przez opancerzenie. To charakterystyczna broń. Nie da się jej z niczym pomylić, a w Nowym Orleanie jest jeden kartel, który ją sobie upodobał.

Pocisk poddźwiękowy oznacza, że chcieli to załatwić po cichu.

— Na pewno karabin na pociski pięć-siedem — mówię. — Strzał

został oddany z dachu. Zobaczyłem celownik laserowy i to był jedyny pierdolony powód, dla którego zdecydowałem się skrócić.

J. kiwa głową.

— Szkoda, że nie byłeś w stanie usunąć im się z drogi szybciej, szefie. Może wtedy lekarze nie musieliby wpompować w ciebie

tyle krwi.

— Pieprzyć moją krew. Przelali krew Keiry i za to wszyscy zginą. Ulice Nowego Orleanu spłyną krwią. Potwierdź, kto strzelał, zanim zaczniemy się mścić. Potem ich wystrzelamy.

Oczy J. rozszerzają się.

— Wszystkich?

Kiwam głową.

— Co do jednego, kurwa. Potwierdź tożsamość strzelca przed północą i zbierz oddziały. Spotykamy się na naradę wojenną o północy, by opracować plan działania, a potem ruszamy. Czas na polowanie.

Usta J. wyginają się w okrutnym uśmiechu.

— To znaczy ruszamy zabijać.

Kiwam głową.

— Idź.

— Się robi, szefie.

Jak tylko drzwi się zamykają, Keira wzdryga się w moich ramionach. Jej usta są zaciśnięte i blade.

— Co się stało? Co przegapiłam? Czy wszystko w porządku?

Całuję jej rozczochrane rude włosy. Ból zniekształca jej rysy.

— Nic. Wszystko będzie dobrze. Ale potrzebujesz więcej leków,

widzę to po twojej twarzy.

Otwiera usta by zaprotestować, ale kładę palec na jej wargach.

— To stało się przeze mnie. To ja wciągnąłem cię do mojego świata. Pozwól mi się sobą zaopiekować i to naprawić.

— Dobrze.

Zabieram palec i całuję ją w usta, czując, jak mój bok rozpala się bólem, jednak adrenalina, która krąży mi w żyłach, już go gasi. Nie obchodzi mnie, czy będę musiał zakleić szwy taśmą klejącą, by ich nie rozerwać w akcji. Nic nie powstrzyma mnie od zemsty.

To, co powiedziałem J., było prawdą. Za przelaną krew Keiry muszą wszyscy zapłacić życiem. W momencie, w którym

otworzyli do mnie ogień, złamali umowę, która pozwalała im sprzedawać narkotyki w moim mieście. Jeśli są bystrzy, to będą

przygotowani na atak, ale nie spodziewają się, że będzie tak brutalny.

A powinni.

Nie będzie litości dla ludzi, którzy sprawili, że Keira cierpi.

16.

Keira

Lachlan wychodzi z pokoju, by załatwić jakieś sprawy, i obiecuje, że szybko wróci. V. stoi na straży za drzwiami. Zostaję sama ze swoimi myślami, przynajmniej do czasu, aż ktoś nie przynosi mi bezprzewodowego routera, wzmacniacza sygnału i

torby z moim laptopem, odzyskanej z samochodu. Teraz mogę zacząć pracować.

Powinnam się zastanawiać, w jaki sposób Lachlan załatwił

sprawę wypadku z policją, ale bądźmy szczerzy — nic mnie to nie obchodzi. Moje myśli koncentrują się na czymś zupełnie innym.

Mojej najlepszej przyjaciółce.

Czy może byłej najlepszej przyjaciółce?

Co myślała Magnolia, gdy dała mój liścik Lachlanowi, a nie Brettowi?

Chcę wierzyć, że starała się mnie chronić, że zrobiła to, co uważała, że będzie dla mnie najlepsze. Jednak fakt, że mnie okłamywała, rodzi wiele pytań i wątpliwości.

Powiedziała mi, że jego kochanki znikają. Jak mogła chcieć, bym stała się jedną z nich? Uświadamiam sobie, że to jest jedno z tych pytań, które zapomniałam zadać Lachlanowi, jednak szczerze mówiąc, chyba nie muszę. Lachlan nie zabiłby

niewinnej kobiety i jestem przekonana, że nigdy by mnie nie skrzywdził. *Nigdy.*

Jednak Magnolia nie zna go tak jak ja. Jeśli sądziła, że istnieje choćby cień ryzyka... Jak mogła zrobić to, co zrobiła?

Jest mi bliższa niż którakolwiek z moich sióstr. Siostrom

wysyłałam kartki i esemesy na urodziny, dla Magnolii zawsze się staram znaleźć wyjątkowy prezent, tak samo jak ona dla mnie.

Kilka miesięcy temu zamówiłam w jej ulubionej restauracji wystawny obiad, który został przyniesiony do jej mieszkania.

Miała wtedy bzika na punkcie kimona, więc zrobiłam dla niej na

zamówienie srebrne szpilki do włosów.

Jak mogła tak łatwo zagrać moim życiem?

Nie mogę już dłużej leżeć w łóżku. Środki przeciwbólowe działają, więc już nie czuję się tak obolała jak poprzednio.

Pielęgniarka odłączyła mnie od kroplówki, gdy ostatnio do mnie

zajrzała — jak powiedziała: już jej nie potrzebuję. Teraz mogę chodzić w tę i z powrotem po pokoju, starając się wpaść na jakieś

wyjaśnienie

postępu

Magnolii,

które

miałoby

jakikolwiek sens.

Ale nic mi nie przychodzi do głowy.

Wskutek działań Magnolii przeżyłam najbardziej niesamowitą noc w życiu, ale z niewłaściwym mężczyzną. Albo, jeśli mam powiedzieć prawdę, z *właściwym* mężczyzną, ale potem wzięłam i wyszłam za *niewłaściwego*.

Pamiętam, jak zaskoczona była Magnolia, gdy powiedziałam jej,

co zrobiliśmy Brett i ja. Sądziłam, że będzie zachwycona moją impulsywną decyzją i będzie się ze mnie nabijała, że wreszcie zdecydowałam się wyjąć kij z tyłka, jednak ona tylko spojrzała na mnie zszokowana.

Magnolia nie jest głupia. To wiem na pewno.

Jak powiedział Lachlan, osiągnęła swoją pozycję dzięki bezlitosnej walce z konkurencją, jednak ja przecież nie jestem jej konkurentką. Jestem jej *przyjaciółką*. Czyżby to był przypadek traktowania najbliższych przyjaciół gorzej niż wrogów? Nie mogę w to uwierzyć.

Nadal nie mam żadnych odpowiedzi, gdy technik kończy konfigurowanie mojego sprzętu do pracy. Gdy wychodzi, V. spogląda na mnie z dezaprobatą i wskazuje głową łóżko, dając do zrozumienia, że powinnam tam wrócić.

Odwracam się w kierunku łóżka, na którym czeka mój laptop, jednak dla wszelkiej jasności stwierdzam głośno:

— Zamierzam usiąść tylko dlatego, że w ten sposób łatwiej jest pracować.

V. reaguje chrząknięciem, co było do przewidzenia, po czym wychodzi, zostawiając mnie znowu samą.

Patrzę na mój telefon i mój palec zawisa nad numerem do Magnolii. Zastanawiam się, czy zadzwonić do niej poprzez Wi-Fi i co też miałabym jej powiedzieć.

Właściwie to pieprzyć subtelności. Muszę jej zadać tylko jedno pytanie.

Dlaczego?

Klikam ikonkę i czekam, aż odbierze.

17.

Keira

— Dzięki Bogu, że nic ci nie jest, Ke-ke. Słyszałam, że ktoś próbował zastrzelić Mounta i była z nim kobieta. Odchodziłam od zmysłów, ponieważ nie odbierałaś pierdolonego telefonu.

W tonie Magnolii pobrzmiewa histeria, jednak zmuszam się do

zachowania lodowatego spokoju. Niczym Mount.

— Gdybym stała się przypadkową cywilną ofiarą, to kto byłby temu winien, Mags?

— Ci popieprzeńcy, którym najwyraźniej życie nie miłe!

— Gówno prawda. To *ty* mnie w to pakowałaś i chcę pieprzonej odpowiedzi, co ci odpierdoliło, że mój liścik do Bretta przekazałaś Mountowi.

Magnolia milknie.

— Co? Nie masz nic do powiedzenia? Sądziłaś, że nigdy się nie

dowiem?

— Ke-ke...

— Nawet nie próbuj zaprzeczać, Mags. Powiedział, że dałaś mu

liścik. Wystawiłaś mnie. — Nie uświadamiając sobie tego nawet, wstaję z łóżka i zaczynam chodzić po pokoju, ściskając telefon w drżącej dłoni.

Wisi między nami ciężka cisza, a materiał naszej przyjaźni trzeszczy w szwach coraz bardziej z każdą mijającą sekundą.

— Proszę, powiedz coś. Próbuję to zrozumieć, ale musisz mi wyjaśnić, dlaczego, Mags. — Mój głos załamuje się przy

ostatnim słowie. Mimo że za nic nie zmieniałabym tego, jak teraz wygląda moje życie, to ból zdrady i tak jest zbyt świeży.

—

Byłaś dla mnie jak siostra, a położyłaś mnie na srebrnej tacy człowiekowi, o którym mówiłaś, że jest czystym złem. *Co mam myśleć? Dlaczego to zrobiłaś?*

Gdy Magnolia się odzywa, w jej głosie nie ma żadnych emocji, chociaż w moim wnętrzu szaleje burza.

— Nie chciałaś słuchać głosu rozsądku w temacie Bretta

Hyde'a. Najbardziej trzeźwo myśląca, najbystrzejsza kobieta, jaką znałam, nagle zaczęła się zachowywać w kompletnie

bezrozumny sposób, jeśli chodzi o niego. Próbowalam cię od niego odciągnąć, ale nie chciałaś słuchać, byłaś nim kompletnie oczarowana, nie wiedziałam, jak cię uwolnić spod jego wpływu.

— Mogłaś mi powiedzieć, kim jest!

— A czy uwierzyłabyś mi? Za każdym razem, gdy próbowałam poruszyć ten temat, zaczynałaś nawijać o tym, że jest twoją bratnią duszą. Byłaś tego pewna. Kurwa, Keiro, byłaś tak szczęśliwa, a ja wiedziałam, że to wszystko jest kłamstwem, ale jak mogłam tak po prostu złamać ci serce i podeptać to wszystko? *Jesteś* dla mnie siostrą i musiałam znaleźć sposób, byś sama zobaczyła, że powinnaś wiać, gdzie pieprz rośnie.

— I zaaranżowanie seksu z mężczyzną, którego nigdy wcześniej

nie spotkałam, miało być na to sposobem? Czyś ty oszalała?

—

Obracam się na pięcie. Głos mi drży tak samo jak ręce.

— Nie da się długo przeżyć na ulicy, jeśli się nie rozwinie w sobie instynktu. I na pewno nie osiąga się takiej pozycji jak moja,

nie

mając

intuicji

graniczającej

z

pierdolonymi

umiejętnościami parapsychicznymi.

Chwytam się jedną ręką za włosy.

— Co to, u diabła, ma oznaczać? Unikasz odpowiedzi na pytania.

— Przestań łazić, Ke-ke, i siądź na tyłku. Próbuję ci wyjaśnić, dlaczego odważyłam się na życiowy zakład, stawiając na szali jedną z najcenniejszych osób w moim życiu.

Warczę, wkurzona tym, iż Magnolia wie, że chodzę po pokoju, mimo że nie może mnie widzieć. Siadam z powrotem na łóżku, jednak tylko dlatego, że głowa znowu zaczyna mi pulsować bólem.

— Powiedz mi więc. Powiedz mi, dlaczego ryzykowałeś nie tylko

moim życiem, ale też życiem mojej rodziny, przyjaciół, pracowników, moją firmą, *wszystkim*, tylko z powodu swojej pieprzonej intuicji, i dlaczego mnie okłamałeś. Żołądek mi się skręca na myśl o tym, ile kłamstw mi powiedziała... i że wierzyłam w nie jak w ewangelię.

— Powiedziałam ci: nie widziałas świata poza Brettem

Hyde'em. I patrzyłam, jak Mount zmienia kobiety jak rękawiczki, a żadna z nich nie była w stanie przyciągnąć jego uwagi na dłużej. W moich żyłach płynie krew kapłanek voodoo.

Może nie mam zdolności parapsychicznych, jednak gdy poczułam, jak silnie Mount zareaguje na ciebie, nie mogłam tego nie zrobić.

— Bawiłaś się moim życiem!

— Nie. — Opanowanie Magnolii pęka i w jej tonie słychać teraz

pasję. — Próbowałam dać ci życie przerastające twoje

najśmielsze wyobrażenia. Urodziłaś się, by być traktowana jak królowa. Jesteś uosobieniem dobra, lojalności i prawdy, a twoja siła prześwieca przez ciebie jak najjaśniejszy ogień, jaki kiedykolwiek widziałam. Każdy król potrzebuje królowej takiej jak ty, nawet jeśli nie zawsze to widzi. Wiedziałam

instynktownie, że gdy Lachlan Mount posmakuje tego, co masz

do zaoferowania, nie będzie się mógł oprzeć.

Tym razem zachowuję milczenie. Nie wiem, co jej powiedzieć. Z

jednej strony miała rację, z drugiej nie mogę się pogodzić z tym, jak z nami pogrywała. Magnolia nie czeka jednak na moją

odповідź, bo jeszcze nie skończyła.

— Miałam rację. Jednak ty musiałaś to wszystko spieprzyć, gdy

uciekłaś z tym gnojem, który nie zasługiwał nawet na to, by oddychać tym samym powietrzem co ty. Gdybym mogła

osobiście go zabić, to bym to zrobiła.

— A dlaczego nie zawracałaś sobie głowy wprowadzeniem mnie w swoje wspaniałe plany, Mags?

— Jak mogłam to zrobić? *Nigdy* byś się na to nie zgodziła.

Zawsze robiłam to, co dla ciebie najlepsze. Zawsze, nawet wtedy, gdy nie potrafiłaś tego dostrzec lub o tym nie wiedziałaś.

Oślaniam cię, gdy mogę. Popycham do przodu, gdy tego potrzebujesz. Chciałam, byś była najcenniejszym skarbem, jaki

posiadał w swoim życiu Mount.

— Skarbem! Własnością! To nie miał być związek. A co, gdyby

znudził się mną i wysłał mnie Bóg wie gdzie, jak pozostałe swoje kochanki?

— Powiedziałam ci, jak masz sobie z nim poradzić, i zrobiłaś to.

Miałam rację.

Przekonanie w głosie Magnolii brzmi tak prawdziwie, jak nic innego, co słyszałam. Naprawdę wierzy, że zrobiła to dla mnie i że to było kompletnie usprawiedliwione.

— Mogłaś się mylić!

— Ale się nie myliłam, prawda?

Zaciskam wolną rękę w pięść. W głowie mi pulsuje. Mam ochotę ją udusić tu i teraz za jej przekonanie o własnej słuszności i za to, że nie chce przyznać, iż igrała z ogniem i mogła spalić cały mój świat. Jakaś część mnie rozumie, że powinnam jej dziękować, jednak druga, ta, która zna ją od dzieciństwa, wciąż nie może jej wybaczyć kłamstwa.

— Czemu podtrzymywałaś kłamstwa? Czemu nie powiedziałaś

mi wszystkiego, gdy po mnie przyszedł?

— Zrobiłam to, co musiałam. Tak jak zawsze. Od ssania kutasów po brania w tyłek i poświęceń, które rozdzierały mnie na pół. I będę to robić nadal. Spróbuj mi powiedzieć, że żałujesz, iż to zrobiłam. Powiedz, że chcesz cofnąć czas, no dalej.

— Dobrze wiesz, że nie mogę tego zrobić, ale to nie sprawia, że twoje postępowanie było właściwe. Lata przyjaźni, a potem dowiaduję się od Lachlana, że okłamujesz mnie od miesięcy?

— Ach, więc teraz to dla ciebie Lachlan? Właśnie tym jednym słowem udowodniłaś, że wszystko, co planowałam, zadziało jak idealny mechanizm. Mówisz po imieniu do mężczyzny, który

budzi w tym mieście największy lęk. A dlaczego tak jest, Ke-ke?

Powiedz mi, że nie jesteś w nim zakochana. Spróbuj mnie przekonać tak, bym w to uwierzyła.

Mam ochotę powiedzieć mojej najlepszej przyjaciółce, żeby się

odpierdoliła, bo denerwuje mnie satysfakcja w jej głosie. Z drugiej strony jednak dostrzega prawdę aż nazbyt jasno.

— Nie powinnam ci nawet o tym mówić.

Słyszę w słuchawce głośny, lecz szorstki śmiech Magnolii.

— Och, daruj już sobie, Ke-ke, ponieważ nigdy cię nie przeproszę za to, co zrobiłam. Jesteś tam, gdzie powinnaś się była znaleźć: siedzisz na tronie obok mężczyzny, który rządzi tym miastem. Nie muszę czekać, aż to powiesz, bo słyszałam, jak porwał cię do Dublina. Wiem, że świata poza tobą nie widzi.

Może postrzegam to jak ktoś z zewnątrz, ale wiem, że miałam rację.

— I cel uświęca środki? To chcesz powiedzieć?

— Jasne, że tak.

Czuję w środku burzę emocji nie do opisania w obliczu takiej pewności siebie i zupełnego braku wyrzutów sumienia. Nie wiem, czemu w ogóle spodziewałam się po Magnolii

czegokolwiek innego. Nigdy nie przeprasza za to, kim jest, kim

była od zawsze i co robi. Jednak jest coś więcej. Jeśli chodzi o nią, *zawsze* jest coś więcej. Chcę wierzyć, że motywy Magnolii były tak czyste, jak twierdzi, ale znam ją lepiej niż własne siostry.

— Powiedz mi więc, Mags, powiedz mi, że zrobiłaś to tylko dla

mnie i sama nic z tego nie miałaś.

To sprawia, że milknie na całe trzy sekundy.

— Naprawdę chcesz w to wnikać, Ke-ke?

— Już ruszyliśmy ten temat, Mags. Żadnych więcej kłamstw.

Żadnych więcej ukrytych motywów. Jedyne sposoby, by ocalić choćby strzęp naszej przyjaźni po tym wszystkim, to żebyś mi teraz wszystko powiedziała.

— Nie możesz być po prostu szczęśliwa, że wreszcie masz prawdziwego mężczyznę, takiego, jakiego zawsze pragnęłaś?

Teraz już jestem pewna, że nie mówi mi wszystkiego.

— Już, Mags. Albo się rozłączę i już nigdy do ciebie się nie odezwę. — Samo wypowiedzenie tej groźby mnie osłabia.

Utrata jej to jakby stracić kończyńę, nawet teraz.

— Dobrze, ale nie waż się nawet traktować mnie po tym z góry.

Stawiam cię na pierwszym miejscu. Ale co w tym złego, że sprawienie, iż Mount zakochał się w mojej przyjaciółce, uczyniło moje życie trochę łatwiejszym?

A więc o to chodzi. Kręci mi się w głowie. Mimo że spodziewałam się, że miała jakiś ukryty cel, gdy to słyszę, mam wrażenie jakbym otrzymała cios od samego Hulka.

— Co, u diabła, masz na myśli?

— Rusz głową, dziewczyno. Powiedzmy, że twoja siostra wychodzi za księcia Anglii. Nie uważasz, że też byś na tym skorzystała?

Śmieję się, o ile tak można nazwać ten dziwny dźwięk, który wydobywa się z moich ust.

Teraz wszystko jasne. Jak kryształ, z którego zrobiona była nagroda, która potrzaskała się i dźgnęła mnie w bok.

— Właśnie próbowałam twierdzić, że to wszystko było dla *mojego* dobra. Że ustawiłam mnie na całe życie. Ale tak naprawdę od samego początku chodziło o *ciebie*. Byłam pionkiem w twojej grze.

— Naprawdę nie sądzisz, że w końcu zasługuję na trochę łatwiejsze życie? Widziałam i robiłam rzeczy, które nie byłyby w

stanie pomieścić ci się w głowie. Zamierzasz mnie potępiać za to, że dzięki twojej znajomości z nim mnie może być trochę lżej?

Czuję, jak wślizguje się we mnie śliskie niczym wąż poczucie winy.

— Powtarzałaś sobie, że nie masz wyrzutów sumienia z powodu

tego, co zrobiłaś, tego, jak zaryzykowałaś moim życiem, więc nie licz teraz na moje współczucie po tym wszystkim, co zrobiłaś i powiedziałaś.

— Nie bądź wredną suką, Ke-ke. Obydwie wiemy, że mnie to lepiej wychodzi niż tobie.

— To prawda, jesteś w tym lepsza.

Magnolia zasłania chyba dłonią słuchawkę i słyszę jej stłumiony okrzyk.

— Poczekaj chwilę, już idę! — Po czym znowu zwraca się do mnie. — Przyszedł mój klient. Muszę się teraz zająć *interesem*, bo tak właśnie zarabiam na życie. Chcesz mnie nienawidzić za

to, co zrobiłam? Proszę bardzo. Ale nie waż się myśleć, że nie zrobiłam tego z myślą o twoim dobru. Jesteś tam, gdzie powinnaś się znaleźć, u boku mężczyzny, który był ci

przeznaczony, i stało się to dzięki mnie. A teraz muszę kończyć.

— Mags...

— Nie, Ke-ke. Nie mam już czasu, by wysłuchiwać twoich żalów

do mnie. Jestem zajęta.

Połączenie zostaje przerwane. Opuszczam dłoń z telefonem, wpatrując się w niego, jakby nagle ożył. Mój oddech

przyspieszył, a krew wrze, gdy odtwarzam w myślach wyznania

Magnolii.

Jak to jest, że czasami ci, których, jak się nam zdaje, znamy najlepiej, są tymi, których tak naprawdę znamy najmniej?

Nie mogę zaprzeczyć, że instynkt jej nie mylił.

Tak czy siak, ta rozmowa pomiędzy mną a Magnolią jeszcze nie

jest skończona.

18.

Keira

Próbuję pogрузić się w pracy, ale nie jestem w stanie. Chodzę po pokoju w tę i z powrotem od półgodziny, nieustannie rozmyślając o tym, co Magnolia powiedziała i zrobiła. Nagle otwierają się drzwi. Odwracam się w tamtą stronę.

Staje w nich mężczyzna, z którym wyswatała mnie moja najlepsza przyjaciółka przy użyciu wszelkich dostępnych

środków. Mam ochotę potępić ją za kłamstwo i jestem na nią wściekła z powodu jej manipulacji, ale z drugiej strony z pewnym trudem zdobywam się na święte oburzenie, wiedząc, że Lachlan nie byłby teraz mój, gdyby nie jej interwencja.

Lachlan staje mi na drodze i ujmuje mnie za ramiona. W jakiś sposób ten prosty dotyk jego dłoni nieco uspokaja moje rozszalałe i chaotyczne emocje.

— Powinnaś odpoczywać, a widzę, że cię nosi jak diaboliczkę.

— Można tak powiedzieć.

— Rozumiem, że uzyskałaś odpowiedzi, na których ci zależało?

Kiwam głową.

— Jesteś w stanie z nimi żyć? — pyta cicho, jednak bez protekcyjności. Rozumiem, o co pyta.

Czy to zmienia sprawy między nami?

Spoglądam w jego ciemne oczy, które znam niemal tak dobrze jak własne. Wiem już, jak rozpalają się namiętnością, a gdy odcina się od swoich emocji, stają się zimne niczym lód lub bez wyrazu. Teraz to coś pomiędzy. Widzę w nich kielkującą nadzieję.

— To niczego nie zmienia.

Błysk ulgi pojawia się na krótko, że jest niemal niezauważalny, jednak zdążam go dostrzec, nim Lachlan przyciąga mnie do siebie, obejmując jedną ręką w talii, a drugą tuląc do siebie moją głowę. Jego usta muskają moją

skroń, po czym mówi stanowczo i cicho wprost do mojego ucha.

— To dobrze. Ponieważ teraz nie pozwolę ci już odejść, niezależnie od tego, jak i dlaczego się tutaj znaleźliśmy.

Rozkoszuję się mocnym i równym biciem jego serca i chłonę ciepło jego ciała.

Ten mężczyzna należy do mnie. Nic innego w tej chwili się nie liczy.

Gdy mnie wreszcie puszcza, dostrzegam w jego twarzy nową determinację.

— O co chodzi? — pytam, przygotowując się na coś nieprzyjemnego.

— Czas przenieść cię z powrotem do naszego mieszkania. V. zaprowadzi cię tam, jak tylko pielęgniarka cię zbada jeszcze raz, tak na wszelki wypadek.

Naszego mieszkania. Nie jego. Nie mojego. *Naszego.*

— Zdecydowanie wolę to niż tutaj... — Rozglądam się wokół po

śnieżnobiałych ścianach i sprzęcie medycznym. — I co teraz?

Co się dzieje? Wiem, że jest coś, czego mi nie mówisz.

Zaciska wargi i przygląda się mojej twarzy, jakby usiłował ją zapamiętać.

— Zawsze jest coś więcej, Keiro. Zawsze będzie. Czasem będę ci o tym mówił, a czasem nie. Ale dzisiejszy wieczór, a przynajmniej parę godzin, mamy dla siebie.

— Co to znaczy? — Jego wypowiedź brzmi jak jakiś tajny szyfr,

do którego nie mam klucza.

— Zobaczysz. Idź z V. Przyprowadzi mnie do ciebie, gdy będziesz gotowa. — Opuszcza głowę i zanim zdążę o cokolwiek

zapytać, całuje mnie szybko i mocno. — Do zobaczenia wkrótce,
diabliczko.

Na jego ustach igra uśmiech, gdy puszcza mnie i wycofuje się w kierunku drzwi, nie odrywając wzroku od mojej twarzy do ostatniej chwili, nim odwraca się i wychodzi.

„Co on kombinuje?” — zaczynam się zastanawiać, uradowana, że mogę oderwać myśli od wszystkiego innego.

Pielęgniarka daje mi kolejną dawkę środków przeciwbólowych i zadaje mi kilka pytań, by ocenić mój stan, po czym

bezceremonialnie zauważa, że najwyraźniej nie uderzyłam się w głowę tak mocno, jak się zdawało.

Bez protestu idę za V., gdy prowadzi mnie labiryntem

wewnętrznych korytarzy, który nie przestaje mnie zadziwiać.

Przechodzimy przez przejście zasłonięte sięgającym od podłogi

do sufitu obrazem i trafiamy na korytarz przed drzwiami naszego mieszkania.

— Przysięgam, że to najfajniejsze miejsce na świecie.

V. prawie się uśmiecha. *Prawie*. Dostrzegam lekkie drgnięcie kącika jego ust, gdy zatrzymujemy się przed lśniącymi czarnymi

drzwiami. Wskazuje mi głową nowe urządzenie obok nich.

Jakieś wyspecjalizowane ustrojstwo. Skaner odcisków palców?

— Co to takiego?

V. wskazuje na moją rękę, a potem na panel. Zgadując, kładę cztery palce na szybce. Światelko zmienia się na zielone i drzwi się otwierają.

— Oho, czyżbyśmy zwiększali środki bezpieczeństwa? — pytam.

V. znowu kiwa głową. — Czy ty możesz wejść do środka?

Znowu skinienie.

— Kto jeszcze? — V. unosi do góry dłoń i pokazuje trzy palce. —

A więc, Lachlan i...?

Oczywiście nie odpowiada. Stwierdzam, że nie ma to znaczenia,

skoro jest to ktoś, kogo Lachlan darzy zaufaniem.

Gdy wchodzę do środka, V. nie idzie za mną. Zamyka za mną drzwi i zakładam, że staje za nimi w charakterze strażnika.

Nasze mieszkanie. Niby to ten sam pokój, ale odbieram go teraz zupełnie inaczej. Nie jest już więzieniem... lecz

schronieniem. To tutaj Mount może się stawać Lachlanem i możemy się ukryć przed resztą świata.

Wystrój utrzymany w czerni, bieli i złocie nie wydaje mi się już dziwny, lecz znajomy i przynosi mi spokój — ponieważ to, jak Mount wytłumaczył mi ten schemat kolorystyczny, jest tak bardzo typowe dla *niego*, że nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Lachlan Mount jest mężczyzną innym niż wszyscy, których kiedykolwiek spotkałam, i chociaż nie jego pierwszego nazwałam moim, mam nadzieję, że nie będzie już nikogo po nim.

Obracam się powoli wkoło i dostrzegam liścik przypięty do pudełka na stoliku. Moją uwagę przykuwa moje imię, wypisane

znajomym charakterem pisma.

Co on teraz knuje?

Otwieram liścik i czytam, co jest napisane w środku.

Zabierz pudełko do sypialni.

Masz godzinę na przygotowania.

Zaufaj mi.

Gdyby nie te dwa ostatnie słowa, ten liścik nie odbiegałby od wszystkich poprzednich, w których zimno wydawał mi polecenia. Jednak to nowe zakończenie zmienia jego wymowę — i jest to odpowiednie, bo wszystko jest teraz inaczej.

Unoszę pudełko, podobne do tego, jakie znalazłam na łóżku w moim mieszkaniu, jednak moja reakcja jest teraz zupełnie inna.

Wtedy dzwoniłam do Magnolii, martwiąc się, że znajdę w środku część ciała kogoś bliskiego, a ona mnie uspokajała. *Bo miała dla nas plany*. Odsuwam tę myśl na bok, nie chcąc już dzisiejszego wieczoru się tym przejmować.

Dzisiejszy wieczór jest dla Lachlana i dla mnie. Dla nikogo innego.

Ważąc pudełko w dłoniach, przechodzę przez drzwi sypialni. Staram się odgadnąć, co jest w paczce, jednak zanim mogę na dobre zacząć spekulacje, zamieram w progu.

Co u licha?

Na łóżku leży rozpostarta suknia balowa. Gorset wyszywany jest kryształkami i cekinami i znam go aż za dobrze, bo to ta sama suknia balowa, którą miałam na sobie tej brzemiennej w skutki nocy na balu maskowym.

— Co on kombinuje? — pytam głośno w pustym pokoju i kładę

pudełko obok sukni.

Wspomnienia tamtej nocy atakują moje zmysły, gdy przeciągam

palcami po gorsecie sukni. Fale gorąca przeszywają moje ciało,

gdy po raz chyba tysięczny powracają do mnie pikantne szczegóły.

Unoszę wieko pudełka i odsuwam bibułę. Na wierzchu leży maseczka, którą wtedy nosiłam. Może powinnam być

zaskoczona, ale nie jestem. Skoro był w stanie zdobyć tę suknię, mógł zdobyć i maskę.

Kładę ją na łóżku i odgarniam kolejną warstwę bibułki, pod którą leżą majteczki, takie jak te, które zdarł z mojego ciała tuż przed tym, nim pokazał mi, do kogo ono należy, oraz para wspaniałych szpilek.

Ślina napływa mi do ust, ponieważ zaczynam dostrzegać, do czego to zmierza. Zrobimy to jeszcze raz. Nie wiem dlaczego, ale nie obchodzi mnie to. Gdybym miała wybrać jedną noc, którą chciałabym przeżywać raz po raz, to byłaby to właśnie tamta.

Gdy wydaję z pudełka bieliznę i nowe buty, które są o wiele bardziej seksowne i o wiele droższe niż te, jakie miałam na sobie wtedy, znajduję pod spodem liścik.

Nic nie mów. Weź wszystko.

To gra słów, nawiązująca do liściku, który wysłałam wtedy.

Czuję jak mój puls przyspiesza w przyjemnym oczekiwaniu.

Cokolwiek zaplanował, jestem gotowa.

19.

Keira

Staję przed wysokim lustrem w łazience i zawiązuję maseczkę — patrzę na zupełnie inną kobietę niż ta, która miała ją na sobie poprzednio.

Gdy wtedy zawiązywałam te jedwabne wstążki, byłam
niepokojna,

lecz

podniecona.

Pełna

nadziei,

lecz

przestraszona. Optymistycznie nastawiona, lecz z mnóstwem

wątpliwości. Nie wiedziałam, że mogę być aż tak pewna siebie i

nie ma to związku z jeszcze jednym pudełeczkiem, które znalazłam na blacie w łazience, mimo że zawierało kolejną niespodziankę.

Kwadratowe pudełko miało bok o długości około piętnastu centymetrów i było wysokie mniej więcej na siedem. Gdy je otworzyłam, znalazłam w środku na czarnym aksamicie tiarę, która pasowałaby księżniczce — nie, królowej.

Od pierwszego dnia byłaś królową. Najsilniejszą figurą na całej pierdolonej szachownicy.

Opuszczam rękę wzdłuż tułowia i przyglądam się swojemu odbiciu. Mimo kilku widocznych sińców i zadrapań naprawdę wyglądam dziś wieczorem jak królowa i jestem gotowa na mojego króla.

Na moją twarz wypływa uśmiech pełen pewności siebie.

Odwracam się od lustra i przechodzę przez *nasze mieszkanie*, aż docieram do drzwi i otwieram je.

V. cierpliwie czeka na mnie za drzwiami. Gdy się odwraca, jego

oczy rozszerzają się i po raz pierwszy autentyczny uśmiech zmiękcza jego twarde rysy. Nie mogę się nie zastanawiać, przed

jakim losem ocalił go Lachlan, ponieważ nie wątpię, że jego lojalność wypływa z doświadczeń, których nie umiem sobie nawet wyobrazić.

— Chyba nie najgorzej sobie poradziłam w godzinę, nie uważasz?

Nie wiem, dlaczego go pytam. Wiem już przecież, że chociaż jestem odrobinę poobijana, wyglądam świetnie. Rude włosy spływają mi w jedwabistych lokach na plecy, a tiara idealnie pasuje na moją głowę. A poza tym mam wrażenie, że nowo

zdobyta pewność siebie otacza mnie złotym blaskiem.

V. kiwa głową i wyciąga do mnie ramię jak prawdziwy

dżentelmen. Kładę dłoń na jego rękawie i V. idzie ze mną do olbrzymiego obrazu, który odsuwa się w bok po uruchomieniu mechanizmu. Wchodzimy do środka, V. prowadzi mnie za rękę w górę i w dół korytarzami, aż kolejne ukryte drzwi się otwierają,

ukazując

oświetlone

przyćmionym

światłem

pomieszczenie urządzone w złocie i bieli.

To... *sala balowa*, wyposażona w bardziej zdobione wersje kinkietów niż te, które oświetlały korytarze, jak również żyrandole mieniające się kryształowymi wisiorami. Pokój zalany jest romantycznym, ciepłym światłem. Nie ma wprawdzie

rozmiarów sali balowej z *Pięknej i bestii*, jest mniejszy, bardziej intymny. Przypomina mi wnętrze Roosevelt Hotel — złocenia i marmury rodem z innej epoki. Mogę sobie wyobrazić tancerki w strojnych sukniach, flirtujące z odzianymi we fraki

mężczyznami i pijące szampana.

V. opuszcza ramię i wskazuje na zasłony sięgające do sufitu.

Mają przynajmniej sześć metrów długości.

— Czy tam się ukrył? — pytam, wskazując je głową. Zakładam,

że skrywają jakiegoś rodzaju alkowę, jeśli to, co robimy, ma stanowić odtworzenie nocy balu.

V. potrząsa głową, jednak unosi palec.

— Jedna minuta? — pytam, usiłując zrozumieć jego uproszczony język migowy.

Znowu kiwa głową.

Moje serce, już bijące w przyspieszonym rytmie, rozpędza się bardziej, gdy w żyłach zaczyna mi krążyć adrenalina. Ruszam w

kierunku zasłon. Zerkam przez szparę i widzę tęczę kolorów z wykuszowego

okna

z

balustradą.

To

coś

w

rodzaju

wewnętrznego

balkonu,

wychodzącego

na

dziedziniec

oświetlony przez będący tej nocy niemal w pełni księżyc.

Witrażowe okna sprawiają, że to miejsce wygląda na żywcem przeniesione z bajki.

Gdzie jestem? Chwytam balustradę i nasłuchuję oddalających się kroków V. W równej mierze odczuwam niecierpliwość, jak i

zachwyt, gdy czekam, aż Lachlan dołączy do mnie.

Nie słyszę go. Nigdy nie słyszę jego nadejścia, jednak moja skóra zaczyna mrowić, wyczuwając go, gdy zasłona za mną na chwilę odchyła się, po czym zasuwą całkowicie.

Przygryzam wargę, by powstrzymać się od mówienia czegokolwiek, i zaciskam palce na balustradzie, by nie

odwrócić się.

Nie wykonuję jego poleceń ze strachu, lecz z zupełnie innego powodu.

Z miłości.

20.

Mount

Stojąc w ciemnym rogu, patrzę, jak idzie w przeciwny kąt sali balowej. Kryję się w ciemności, tam, gdzie prowadzę swoje życie. Należę do ciemności — i zawsze byłem z tego

zadowolony. Jednak Keira — ona należy do światła.

Muszę znaleźć jakiś sposób, by nam się udało. Nic innego nie wchodzi w grę.

Jej brak wahania, pewny krok i wyprostowane ramiona sygnalizują mi, że tego właśnie chce.

Nigdy się przede mną nie chowała. Nawet tego pierwszego wieczoru w bibliotece, gdy zrzuciła prochowiec i pokazała mi swój wyzywający tatuaż z henny.

Jednak teraz to coś innego. Keira Kilgore wreszcie stanęła pewnie na własnych nogach. Jest najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Ręce, które tak często jak moje

skalane były krwią, nie powinny jej dotykać, ale nie mam zamiaru z niej zrezygnować. *Nigdy.*

Przechodzę przez pomieszczenie bezgłośnie. Nauczyłem się tego dawno temu z konieczności i teraz stosuję to dla własnych

potrzeb. Ruchem nadgarstka odsuwam zasłonę i wchodzę do środka, tam gdzie nie ma cieni, nie ma bladego białego światła, lecz połyskuje tęczą barw.

Może właśnie to jest nasze miejsce.

Nie w cieniach. Nie w świetle. W miejscu wyjątkowym, przeznaczonym specjalnie dla nas.

Zasuwaam za sobą zasłony, zamykając nas w środku. Jej mięśnie

napinają się, ale nie tak, jakby miała ochotę uciec. Nie, to czyste oczekiwanie... przynajmniej tak zakładam, ponieważ tak właśnie sam się teraz czuję.

Mimo moich obrażeń nie czuję bólu. Nie, gdy na nią patrzę. Nie

powinienem jej brać dziś wieczorem — wiem o tym.

Powinienem poczekać, aż w pełni wyzdrowieje, ale teraz nie mam tego luksusu, by czekać.

Dzisiaj wieczorem muszę naprawić zło z przeszłości i wykuć nowe wspomnienie.

Podchodzę bliżej, przyciągany ognistymi rudymi włosami, które

pasują do jej temperamentu. Uwielbiam to, jak nieruchomieje w oczekiwaniu. Zamiast wracać do tamtej nocy, gdy myślała, że

jestem kimś innym, trzymam się teraźniejszości.

Dzisiaj dobrze wie, kim jestem.

Pokonuję dzielącą nas odległość i odgarniam jej włosy na bok.

Wypełnia mnie satysfakcja, gdy widzę koronę na jej głowie.

Zasługuje na wszelkie klejnoty i zapewne nie ma pojęcia, że osadzone w białym złocie szmaragdy są prawdziwe.

Koniec udawania. Koniec podróbek. Wszystko, od dzisiaj

poczynając, jest tak prawdziwe, jak to tylko możliwe.

Keira Kilgore jest *moja*.

21.

Keira

Moją odsłoniętą skórę pokrywa gęsia skórka. Gdy usta

Lachlana dotykają *właśnie* tego miejsca, tam, gdzie moja szyja spotyka się z ramieniem, z ust wyrывa mi się jęk. Sutki

napinają materiał gorsetu, łechtaczka pulsuje jak oszalała.

Wrażenia są jeszcze intensywniejsze z powodu kolczyka.

Nie wiem, jak to możliwe, że moje ciało tak szybko reaguje na niego, ale tak się dzieje. Ledwie mnie dotknął, a już cała płonę.

Gdy przesuwa zębami po ścięgnię na mojej szyi, palce zaciskają

mi się na poręczy. Zmuszam się, by jej nie puszczać. Kąsa płatek mojego ucha i odrzucam głowę do tyłu, opierając ją na jego ramieniu. To gest podporządkowania. Uległości.

Kosztuje każdego centymetra mojej odsłoniętej skóry, nim zadziera mi do góry spódnicę i obejmując mnie, sięga między moje nogi. W jego gardle wzbiera mruczenie, gdy odkrywa, że już jestem mokra.

Ten dźwięk kiedyś w równej mierze przerażał mnie i podniecał,

teraz wywołuje dreszcz jedynie rozkoszy. Lachlan dotyka mojego kolczyka i moje ciało drży z przyjemności.

Zapominam o jakimkolwiek bólu, także o bólu głowy, który dręczył mnie przez cały dzień. Nie wiem, czy mają na to wpływ

leki, ten mężczyzna, czy to, co już się dzieje z moim ciałem, ale jestem gotowa na wszystko, co zechce mi dać.

Jego dłoń wędruje w górę, aż palce odnajdują pasek stringów i rozdzierają je tak samo jak wcześniej — tyle że teraz jest jeszcze lepiej, bo dobrze wiem, co nastąpi potem.

Dłonie Lachlana nakrywają moje na barierce i mocno je

ściskają, tak jakby przypominając mi, że mam się nie ruszać.

Wciskam tyłek w twarde wybrzuszenie w jego kroczu jako znak zgody i sposób, by go zachęcić.

Jego dłonie puszczaają moje i po chwili jeden palec wsuwa się we mnie. Wrywa mi się kolejny jęk.

Słyszę zgrzyt rozporka, po czym główka jego kutasa trąca wejście do mojej szparki. Wsuwa się do środka odrobinę i nieruchomieje. Nie wiem, na co czeka, ale odwracam głowę, by

spojrzeć mu w oczy, rozświetlone różnobarwnym światłem w sposób, jakiego nigdy dotąd nie widziałam.

Może to znak, że widzę go w zupełnie nowym świetle.

W jego spojrzeniu błyska ogień, gdy swoimi wargami nakrywa moje. Wciąż nie mogę oderwać spojrzenia od jego oczu, gdy wchodzi we mnie centymetr za centymetrem, powoli, uważnie,

a jednak wypełniając mnie tak doszczętnie, że nie ma wątpliwości, do kogo należę.

Lachlan Mount ma moje ciało, serce i duszę.

22.

Mount

Inaczej niż tamtej nocy, która zmieniła życie nas obojga, tym razem biorę ją powoli, zupełnie bez pośpiechu i z większą troską niż kiedykolwiek wcześniej. Nie tylko z powodu obrażeń,

które oboje odnieśliśmy, ale ponieważ dzisiejszy dzień jest inny, niezależnie od tego, jak podobnie się wszystko zaczęło.

Wszystko się zmieniło.

Kiedy czuję, jak jej mięśnie zaczynają się zaciskać, pozwalam jej wreszcie, by uniosła i mnie poza krawędź rozkoszy.

W końcu wyciągam kutasa z jej ciała, odwracam ją do siebie, pozwalając jej spódnicy opaść w dół, podczas gdy sam zapinam

spodnie i unoszę spojrzenie ku jej zarumienionej twarzy.

Maseczka jej się przekrzywiła, jednak to nie ma znaczenia.

Sięgam za jej głowę i rozwiązuję jedwabną wstążkę.
Maseczka

opada na podłogę. Ja nie mam dzisiaj maski, a jej była tylko symboliczna.

Prostuję tiarę na jej głowie. Mimo że to przeze mnie ma teraz rozczochrane włosy, i tak wygląda jak królowa.

— Dziękuję — mówi.

— Za co?

— Za to, że zawsze dajesz mi właśnie to, czego potrzebuję, nawet jeśli sobie tego nie uświadamiam.

Biorę jej rękę, przeplatając jej drobne palce z moimi, i unoszę ją do ust, by ją pocałować.

— Jeszcze nie skończyliśmy. Daleko od tego.

Przyciągam ją do siebie bliżej i całuję. Nigdy mi się to nie znudzi. Nigdy nie całowałem przed nią innej kobiety i jest jedyną, jaką kiedykolwiek będę całował.

Żaden inny mężczyzna już nigdy jej pocałuje. Nie dotknie, nie skosztuje, nie poczuje, jak dochodzi.

Należy do mnie. A po dzisiejszej nocy nie będzie co do tego najmniejszych wątpliwości.

Gdy puszczam ją i znowu otwiera oczy, prowadzę ją w kierunku

zasłony. Zatrzymuję się przed nią i zadaję jej najważniejsze pytanie w moim życiu.

23.

Keira

— Ufasz mi? — pyta Lachlan, spoglądając na mnie z nową intensywnością.

Jak może jeszcze w to wątpić?

— Oczywiście.

Całuje moje palce, po czym opuszcza moją dłoń.

— Pochodzę z ciemności. Nigdy nie będę w stanie otworzyć z tobą życie. Bycie ze mną nigdy nie będzie normalne, nigdy nie będzie tym, co planowałaś w swojej przyszłości. Nigdy.

— Nie szkodzi. Nie chcę normalności. Chcę ciebie.

— Nie wiem, dlaczego pokładasz we mnie taką wiarę.

Chwytam go za klapę marynarki. Nie rozumie tego, jednak pewnego dnia to nastąpi.

— Nie ukrywasz tego, kim jesteś.

— Jestem diabłem w garniturze.

Potrząsam głową. Nie mógłby bardziej się mylić.

— Tak myślisz, ale ja potrafię spojrzeć głębiej i dostrzec, co ukrywasz pod powierzchnią. Jest w tobie piękno, którego nie można zobaczyć, dopóki nie spojrzysz ci się w oczy.

— Nie próbuj robić ze mnie rycerza w lśniącej zbroi, Keiro.

Zupełnie go nie przypominam.

— Może i nie jesteś nim, ale nie jesteś też diabłem. Jesteś trochę jak archanioł Michał, który wypowiedział wojnę szatanowi. Bronieś tych, którzy nie mogli sami się obronić.

Wkraczałeś i pomściłeś ich. Utrzymywałeś równowagę. Możesz

sobie myśleć, że jesteś zły, jednak jestem pewna, że usunąłeś więcej zła, niż spowodowałeś.

Jego ciemne oczy przez chwilę rozszerzają się ze zdumienia, po

czym Lachlan opanowuje się i rozsuwa zasłony.

Prowadzi mnie przez ukryte przejścia i korytarze, nie

puszczając ani na chwilę mojej ręki, aż zatrzymujemy się przed

podobnym urządzeniem jak to przy drzwiach naszego

apartamentu. Przyciska do niego dłoń i panel rozsuwa się, pokazując garderobę w naszym mieszkaniu.

— Pewnego dnia nauczę się tych wszystkich korytarzy.

Uśmiecha się, patrząc na mnie łagodnie.

— Pewnego dnia nauczysz się wszystkiego, diaboliczko.

Przejdźcie zamyka się za nami. Lachlan odwraca się do mnie.

— Obiecałem ci, że cię ochronię, i tak zrobię. Będę cię bronił za cenę własnego życia i wszystkiego, co mam. Mam dla ciebie dzisiaj jeszcze jedno pudełko, Keiro. — Ściska moją rękę i prowadzi mnie przez łazienkę do sypialni.

Moje serce przyspiesza, gdy jego dłoń dotyka klamki.

Powtarzam w myślach to, co powiedział.

Czy ma na myśli...

Zanim zdążam sformułować w myślach to pytanie, Lachlan otwiera drzwi do salonu, za którymi widzę dwóch mężczyzn.

Obydwaj ubrani są na czarno, a jeden ma białą koloratkę.

— Ojczy, Wasza Ekscelencjo. Jesteśmy gotowi.

24.

Keira

Dwa dni później

„Kontynuujemy naszą relację z wydarzeń w mieście. Liczba ofiar wśród członków znanego w Nowym Orleanie kartelu wciąż

rośnie. Policja nie udziela zbyt wielu informacji, ale chce się podzielić z naszymi widzami ostrzeżeniem:

Zostańcie w domach. Wychodźcie tylko, jeśli to będzie konieczne. Jak do tej pory liczba przypadkowych ofiar jest minimalna i władze pragną, by tak pozostało. Nie jesteśmy pewni, jak to rozumieć, ale mimo że ulice spływają krwią, mieszkańcy jednej z dzielnic twierdzą, że czują się bezpieczniej niż wcześniej, i nie odczuwają strachu.

Ulice spływają krwią, jednak nie mam z tego powodu poczucia

winy. To kwestia przyczyn i skutków, działań i ich konsekwencji, przywracania równowagi.

Wcześniej, zanim to jeszcze się zaczęło, byłabym kolejną przerażoną mieszkanką zastanawiającą się, co się dzieje w moim mieście, teraz jednak widzę to z innej — i mam

jaśniejszej — perspektywy.

Lachlan Mount nie terroryzuje miasta. Sprawia, że będzie bezpieczniejsze.

Nie skontaktował się ze mną. Od paru dni V. stoi na straży za moimi drzwiami w ciągu dnia, a w nocy, gdy ja jestem w sypialni, śpi w salonie, zapewne z jednym oknem otwartym.

Jestem w najbardziej bezpiecznym miejscu, jakie tylko jest możliwe, i pod opieką oddanego ochroniarza.

Teraz potrzebuję tylko, by Lachlan wrócił do domu.

Tymczasem usiłuję zajmować się pracą.

Telefon dzwoni o umówionej porze.

Temperance.

— Hej, wszystko w porządku?

— Tak. Wszyscy ci, którzy nie są tu niezbędni, pracują z domu,

tak jak prosiłaś. Restauracja jest nadal zamknięta, ochrona patroluje budynek, tak że czujemy się, jakbyśmy byli pod strażą Gwardii Narodowej. Nie wiem, skąd wzięłaś na to pieniądze, ale... cieszę się, że to zrobiłaś.

Przecieram dłonią twarz, zastanawiając się po raz kolejny, czy powinnam powiedzieć jej prawdę, jednak dochodzę do wniosku,

że im mniej wie, tym lepiej. Przynajmniej na razie.

— Jeśli choćby przez sekundę będziesz miała wrażenie, że ty lub

ktokolwiek

inny

w

destylarni

znajdujecie

się

w

niebezpieczeństwie, zamykamy całkowicie produkcję i wszyscy się ewakuują, zgodnie z planem.

— Szefowo, nie będziemy się zamykać. Tutaj w Seven Sinners nie jesteśmy mięczakami. Potrzeba o wiele więcej niż parę latających kul, by powstrzymać nas od produkcji whiskey. Poza

tym dostajemy coraz więcej zamówień i muszę odmawiać, bo nie ma możliwości, byśmy zaspokoili taki popyt.

Mój mózg, wypełniony zamartwianiem się o bezpieczeństwo

Lachlana do tego stopnia, że niemal wydeptałam ścieżkę w wykładzinie w sypialni, wreszcie przełącza się na tryb

biznesowy.

— Podaż i popyt. Musimy podnieść ceny.

Temperance milczy przez chwilę.

— Dlaczego o tym nie pomyślałam?

— Pomyślałabyś. Tylko jesteś trochę zajęta — mówię i obydwie

się śmiejemy, bo to niedomówienie roku.

Omawiamy, jak przeprowadzić podwyżkę cen, po czym Temperance przechodzi do kolejnego zagadnienia.

— Rozmawiałam z dyrektorem do spraw public relations z

Voodoo Kings. Martwi się, że impreza z okazji Mardi Gras będzie obciążona zbyt wielkim ryzykiem w tym roku z powodu zwiększonej przestępczości. Zaczęli już rozważać odwołanie imprezy, chociaż dzieli nas od niej kilka tygodni. Powiedziałam im, że zachowują się nieracjonalnie, i wydaje mi się, że udało mi się go przekonać, by nie podejmował decyzji pośpiesznie, jednak może powinnaś zainterweniować, tak dla wszelkiej

pewności?

— Nie mogą odwołać imprezy.

— Tak mu powiedziałam, ale jeśli to zrobią...

Gorączkowo usiłuję sobie przypomnieć zapisy umowy.

— Czekaj chwilę, muszę znaleźć, co zapisaliśmy w umowie na temat jej zerwania. Czy nie napisaliśmy, że w takiej sytuacji zadatek przepada, jeśli impreza zostanie odwołana po określonym terminie?

Pamiętam, że prawnicy coś na ten temat mówili, ale wtedy ledwo zwracałam na nich uwagę, bo bardziej przejmowałam się

tym, by w ogóle podpisać tę cholerną umowę, niż takimi szczegółami.

— Tak! Mamy coś takiego! — woła podekscytowana

Temperance.

Wyciągam kopię umowy i czytam zapisy drobnym druczkiem, po czym zerkam w kalendarz.

— Ten termin już upłynął. Jeśli teraz odwołają imprezę, tracą cały pięćdziesięcioprocentowy zadatek. — Czuję w żołądku ulgę, czystą, słodką ulgę. — Nie ma mowy, żeby chcieli zapłacić połowę kwoty za imprezę, której nie będą mieć, prawda?

— Nie ma mowy, szefowo. Czy mam do nich zadzwonić i im o tym przypomnieć?

Wciąż chodząc po pokoju, rozważam możliwości.

— Nie, ja do nich zadzwonię. Będę delikatna, powiem coś w rodzaju: „Strasznie bym nie chciała, żebyście stracili ten zadatek tylko z powodu drobnego zamieszania, które nie potrwa już długo”.

— Masz może jakiś wgląd w to, jak długo jeszcze potrwa to szaleństwo? — pyta Temperance.

— Oczywiście, że nie — mówię, nie do końca kłamiąc. — Ale mogę im powiedzieć z pełnym przekonaniem, że kiepsko wyjdą

na opieraniu poważnych decyzji biznesowych na irracjonalnych

lękach, i lepiej dla nich, jeśli nie stracą swojego zadatku.

— Pozwolę ci to z nimi załatwić, szefowo. Lepiej, żeby usłyszeli to od ciebie.

— Jasna sprawa. Co jeszcze?

— Jeff Doon pyta, czy poczyniliśmy postępy w kwestii otwarcia

destylarni dla zwiedzających. Oczywiście nie naciska, żeby to się stało już zaraz.

— Może to szczęście w nieszczęściu, bo nie jesteśmy jeszcze gotowi. Co jeszcze?

— To chyba wszystko na razie, nie licząc... — zawiesza głos.

— Co takiego?

— Czy nadal jesteś w bezpiecznym miejscu? Nie mogę przestać

się o ciebie martwić.

Rozglądam się po luksusowym mieszkaniu znajdującym się zapewne w najbardziej chronionym budynku w mieście.

— Jestem bezpieczna, przyrzekam.

— Czy chcesz mi powiedzieć coś jeszcze?

— Nie w tej chwili, ale niedługo wrócę. Jak mówiłam, jeśli uznałabyś, że jesteście zagrożeni, to upoważniam cię, żebyś powiedziała Louisowi, by natychmiast zamykał destylarnię i ewakuował budynek. Ochroniarze dopilnują, by pracownicy

dotarli bezpiecznie do domów i nikomu nic się nie stało.

— Nigdzie się nie wybieramy. Louis byłby tak samo skłonny do

porzucenia destylatorów jak noworodka na ulicy.

Nie mam pojęcia, czym sobie zasłużyłam na takie oddanie i lojalność pracowników, jednak jestem za to niezmiernie wdzięczna.

— Obydwoje dostaniecie za to premię. Dawaj znać, gdyby cokolwiek się zmieniło.

— Oczywiście, ty też.

Rozłączamy się. Dzwonię do pana Josepha, dyrektora do spraw

public relations w Voodoo Kings, i przypominam mu o karze umownej za zerwanie umowy. Po chwili protestów i

pokrzykiwań, jak również moich zapewnień, że wszystko będzie

dobrze, ulega wreszcie i zgadza się nie odwoływać imprezy.

To moje zwycięstwo dnia.

Jak tylko kończę rozmowę, znowu zaczynam chodzić niespokojnie po pokoju.

Nie mogę się powstrzymać.

Nie będę w stanie się zatrzymać, dopóki znowu nie zobaczę Lachlana, a z każdą mijającą godziną coraz bardziej martwię się o jego bezpieczeństwo.

25.

Mount

— Ilu jeszcze? — pytam Saxona, opuszczając celownik. W czasie krótszym niż siedemdziesiąt dwie godziny, udało nam się

uwolnić Nowy Orlean od niemal wszystkich członków bandy Eduarda.

— Czterech. Schowali się jak króliki w norze w tym budynku.

—

Snajper

wygląda
na
zniesmaczonego
tchórzostwem
przywódców kartelu.

— Wiedzą, że ich ścigasz, więc niczego innego się nie
spodziewałem.

Saxon przechyla głowę w bok.

— To prawda.

Keira porównała mnie do Michała Archaniola — co jest dość
niepokojące, biorąc pod uwagę moje poprzednie imię —
jednak

nie szukamy teraz boskiej sprawiedliwości. Tak, to zemsta za
każdą kroplę jej krwi, jaką ośmielili się przelać, ale też za to,
że kartel nie dotrzymał warunków naszej umowy. Gdy jest się
na moim stanowisku, nie wystarczy dla przykładu zabić
jednego człowieka.

Nie, trzeba zabić ich wszystkich, co do jednego.

A gdy ta frakcja zniknie w całym Nowym Orleanie, w siłę
urosną ich rywale i zawrę z nimi umowę na moich warunkach,
wypisanych krwią ich wrogów.

Dajemy tu coś do zrozumienia i nie jest to nic pięknego.

Jestem ubrany na czarno, tak samo jak Saxon. Mam na sobie
strój ochronny, a przy sobie więcej broni i amunicji niż
żołnierz piechoty morskiej ruszający do walki. Siedzimy na
dachu

budynku oddalonego o niecały kilometr od głównej siedziby
kartelu, prowadząc rozpoznanie, by dopaść ostatnich czterech
członków gangu.

Wysłałem do Meksyku jasny przekaz, że jeśli spróbują
przerzucić przez granicę więcej ludzi, uznam to za
zaproszenie, by wkroczyć do nich z armią. A gdy mówię

armią, to mam na myśli najlepszych ludzi, jakich wujek Sam ma do zaoferowania

z różnych swoich nazwanych literowcami agencji. Ta przeklęta

wojna narkotykowa mogła się zakończyć lata temu, ale obydwie

strony zbyt dobrze na niej zarabiają.

Obok nas pojawia się kolejna sylwetka i oboje z Saxonem w ułamku sekundy wymierzamy w nią broń.

Ransom unosi obydwie ręce do góry.

— Dalej, zastrzelcie mnie. Ciekawe, kto w takim wypadku będzie dla was ukrywał zwłoki, gdy już z nimi skończycie. Prasa dostałaby szału, gdyby wiedziała, ilu ciał policja nigdy nie znalazła.

Ransom mówi prawdę i obaj z Saxonem znowu kierujemy karabiny w stronę siedziby kartelu. Do tej pory zostawiliśmy jedynie tyle ciał, by pokazać, że sprawa jest poważna, i zyskać odpowiednią uwagę mediów.

— Dostajesz za to pieniądze, więc na czym polega problem?

— Nie jestem pieprzonym przedsiębiorcą pogrzebowym. Jestem

przemytnikiem. To marnotrawienie moich umiejętności. Możesz

być pewien, że po tym całym gównie moje stawki za pozbywanie się zwłok wzrosną.

Zerkam na Ransoma ponad ramieniem.

— Może masz ochotę chwycić za broń i przyłączyć się do nas, by przełamać monotonię?

Wyciąga długi groźnie wyglądający nóż.

— Wolę bliższe i bardziej osobiste spotkania. Który to generał powiedział, by nie strzelać, dopóki nie zobaczy się białek oczu przeciwnika?

To
bardziej
mi
odpowiada,
a
nie
to
długodystansowe gówno.

Saxon chrząka, co ma oznaczać, że Ransom powinien się
odpierdolić. Ci dwaj mogą ze sobą pracować, ale nie
przepadają
za sobą i nigdy nie przeoczą okazji, by sobie podokuczać.

— Widzę ruch — mówi Saxon, przesuwając palcem po
spuście swojego snajperskiego karabinu.

— Jak u diabła on jest w stanie zobaczyć...

Zanim Ransom zdąży dokończyć zdanie, Saxon pociąga za
spust. Obserwuję przez wizjer, jak czyjaś głowa zmienia się w
czerwoną mgłę.

— Dobry strzał — zauważam sucho, a Saxon zerka na mnie z
ukosa.

— Jak zawsze.

Pewność siebie Saxona jest jednym z powodów, dla których z
delikatnymi sprawami uderzam do niego. Wolałby już nigdy
dla

mnie nie pracować, tak by nie zostawiać po sobie śladów, ale
mam to w dupie.

Zatrudniam najlepszych i płacę im fortunę. Musi sobie jakoś z
tym poradzić.

Wiem, że pewnego dnia zniknie i dopilnuje, bym nigdy go nie
odnalazł, jednak będzie tak nie wcześniej, niż skończymy tę
robotę.

— A więc zostało trzech?

Saxon kiwa głową.

— Wysyłam ekipę. Czas sprawić, by to było bardziej osobiste.

26.

Mount

Gdy wciągnąłem Keirę do mojego świata, moim obowiązkiem stało się ją chronić — i pilnować, by nawet sobie nie uświadamiała, że pewne zagrożenia istnieją. Jeden z tych dupków naprawdę popełnił gruby błąd, strzelając do mnie, gdy była w pobliżu. Dziś wieczorem zapłacą mi za to i ta sprawa zostanie zamknięta.

Nie mam pojęcia, jak Ransom zdobył kombinację szyfru do bramy siedziby kartelu, jednak nic mnie to nie obchodzi.

Wjeżdżamy na dziedziniec i parkujemy pod arkadami. Wokół

panuje cisza.

Słyszę głos J. w krótkofalówce.

— Czysto, szefie. Wszystkich usunęliśmy. Cel znajduje się w pokoju dziennym. Skręć w prawo po przejściu przez korytarz.

Nie przegapisz tego.

Cel to Eduardo, ten, który siedział w moim biurze i zgodził się sprzedawać kokę, amfę i piguły na rynku narkotyków w Nowym Orleanie. Dostał więcej, niż na to zasłużył, jednak z jakiegoś powodu postanowił przekroczyć granice. Złamał zasady.

Zniszczył przymierze.

Teraz za to zapłaci.

Ten, który strzelał, był małą płotką, i już go załatwiliśmy. Przed śmiercią powiedział tylko tyle, że jego szef zlecił zamach. Teraz jego szef za to odpowie.

Z. otwiera drzwiczki opancerzonego escalade. Wsiadam i

ruszam w stronę drzwi. Po drodze zauważam nożyce do

przycinania żywopłotów, zapewne porzucone przez ogrodnika, który uciekł już parę dni temu, jak tylko zaczęły świstać kule. Z. idzie za mną. Wskazuję nożyce głową.

— Weź je.

— Jasne, szefie.

Wyciągam z kieszeni kubańskie cygaro i zapalam je. Biorę kilka machów, po czym daję znak, by Z. otworzył drzwi. Saxon, Ransom i zespół moich najlepszych ludzi osłaniają nas ze wszystkich stron, chociaż pewnie nie został tu już nikt, kto mógłby nam zagrozić.

Wchodzę do środka. Moje kroki niosą się echem w pustym, wykładanym marmurem holu. Skręcam w prawo, zgodnie z instrukcjami J.

Eduardo jest związany i przyklejony taśmą do krzesła, niemal się pieni z wściekłości, wypływając obelgi i groźby w dwóch czy może nawet trzech językach.

Nieważne, nic mnie to nie obchodzi.

— Zginiesz za to, Mount. Kurwa, umrzesz. Ty i wszyscy, których

kochasz.

Zaciągam się cygarem, patrząc na niego.

— To ty złamałeś zasady. Pozwoliłem ci przybyć do mojego miasta, zarobić obłądną kupę forsy, a ty śmiesz do mnie strzelać?

— Kurwa, nie strzelałem do ciebie — wrzeszczy, pryskając śliną

i ociekając potem z twarzy.

— Ale twój człowiek strzelał. Przyznał się do tego. Powiedział, że ty mu to rozkazałeś. — Mój ton jest wyprany z emocji, zimny jak lód, płynący mi w żyłach.

— Kłamał!

— Skąd mam wiedzieć, że ty nie kłamiesz? — Zerkam przez ramię na Z. — Wykorzystaj twórczo te nożyce.

Z. zbliża się do Eduarda, który wyzywa mnie od najgorszych.

Chwilę potem jego przekleństwa zmieniają się we wrzask bólu, a jego mały palec spada na podłogę. Zaraz za nim podąża palec serdeczny i słyszymy, jak ślubna obrączka, którą na nim miał, uderza o marmurową posadzkę.

— Pierdol się, Mount! Zginiesz za to! Niczego nie rozkazywałem!

Znowu kiwam głową Z.

Wrzask wypełnia pomieszczenie, jednak przed oczami widzę tylko

pobladłą

twarz

Keiry,

gdy

usiłowała

zachować

przytomność po wypadku.

— Nie zadziera się ze mną ani z moimi bliskimi.

— Niczego nie zrobiłem! Działał na własną rękę!

— W takim razie powinieneś mieć większą kontrolę nad swoją organizacją. To i fakt, że przelałeś krew mojej kobiety, sprawia, że twoje życie dobiega końca.

Spoglądam w jego ciemne oczy wypełnione nienawiścią, wściekłością i strachem. To, co mu teraz robię, to nic w porównaniu z tym, co on robił innym.

— Nie mam pojęcia, o czym, do kurwy, mówisz, Mount.

Znowu zaciągam się cygarem.

— W takim razie termin twojej przydatności minął.

Z. cofa się o krok. Daję mu znak głową.

— Skróć cierpienia tego dupka. Nie jest wart mojego czasu.

Odwracam się na pięcie i kieruję do głównego wyjścia, słysząc za sobą wrzaski, które w końcu przerywa dźwięk stłumionego wystrzału. Eduardo milknie na zawsze.

27.

Keira

Wydaje się, że terror, który panował na ulicach Nowego Orleanu w tym tygodniu, wreszcie się skończył. Nadal zaleca się, by mieszkańcy zachowywali ostrożność w swoich

codziennych poczynaniach, mimo że kule przestały świstać nad głowami. Policja nie wydała jeszcze oświadczenia, jednak spodziewamy się go lada chwila.

Z każdą kolejną mijającą godziną coraz bardziej się czuję tak, jakbym miała zaraz oszaleć. W wiadomościach można usłyszeć sprzeczne relacje na temat tego, co się stało, jednak ich ton wyraźnie się zmienił.

Skoro kule przestały świstać nad głowami, to gdzie, u licha, jest Lachlan?

W ciągu ostatnich trzech dni niemal wydeptałam ścieżkę w dywanie na drodze z pokoju dziennego do sypialni, jednak nawet nie udaję, że się tym przejmuję. Jedyne, czego chcę, to by Lachlan wrócił do domu cały i zdrowy.

Praca to jedyna rzecz, która utrzymywała mnie przy zdrowych zmysłach. Destylarnia wciąż pracuje pełną parą. Louis nie zgodził się jej opuścić, a pracownicy pozostali przy nim.

Przypomnieli mi, że w Nowym Orleanie jesteśmy twardzielami.

Temperance doskonale mnie zastąpiła, dzięki czemu byłam w stanie prowadzić interesy zdalnie. Jednak wkrótce muszę się pokazać, choćby po to, by podziękować moim pracownikom za ich oddanie firmie.

Odwracam się, by kolejny raz przemierzyć tę samą drogę, i zamieram w bezruchu, gdy słyszę pukanie do drzwi.

Chciałabym wierzyć, że to Lachlan, ale wiem, że nie. Skąd? On nie zawracałby sobie głowy pukaniem.

Jeszcze nie ma południa, a mnie już się kończy cierpliwość, co oznacza, że wszystko, co może oderwać moje myśli od czekania,

jest mile widziane. Idę w kierunku drzwi, otwieram je i widzę za nimi V. z lunchem.

— Wejdz — mówię. Wymija mnie w drzwiach, niosąc tacę.

Zamykam za nim. — Wiesz, gdzie on jest? Czy możesz mi przekazać *cokolwiek*?

V. stawia tacę na tym samym stole, przy którym jadłam przed ostatnie dni, i odwraca się do mnie przodem. Nie jestem w stanie odczytać wyrazu jego twarzy, zresztą jak zwykle.

— Czy możesz mi przynajmniej powiedzieć, czy nic mu nie jest?

Bo jeśli dowiem się, że jest inaczej i że to przede mną zataiłeś, urządzę ci piekło. — Dziko gestykułuję, jakby to miało go zachęcić do mówienia.

V. chrząka.

— Co to ma oznaczać? — mówię spanikowanym głosem, co dowodzi, jak bliska jestem tego, by się kompletnie załamać.

V. wskazuje na przykrytą tacę z jedzeniem.

— W tym momencie naprawdę w dupie mam jedzenie, V., po prostu mi powiedz. Czy z nim w porządku?

V. kiwa głową.

— To gdzie, u diabła, jest? Czy już po wszystkim? Muszę się *czegoś* dowiedzieć!

V. nie odpowiada, przez co moja frustracja rośnie.

Zaczyna się wycofywać w kierunku drzwi.

— Nie wychodź. Jeszcze nie. Tracę rozum. Czy możesz po prostu usiąść i poczekać ze mną?

Mruży oczy, jednak wraca do stołu i wskazuje na jedzenie.

— Usiądź. Zjem. Dobrze?

Kiwa głową i siada, po czym zdejmuję z tacy pokrywkę i popycha jedzenie w moją stronę.

Dłoń mi drży, gdy chwytam za widelec i zaczynam jeść, nie czując smaku potraw.

Powtarzamy ten sam proces kilka godzin później z obiadem.

Nadal nie ma śladu Lachlana Mounta.

Gdzie on, do diabła, się podział?

28.

Mount

Wyczerpany wchodzę do łazienki przylegającej do mojego biura i ściagam garnitur, pozwalając mu spaść na podłogę. Zerkam na swoje dłonie, odkręcam kurek i czekam, aż woda stanie się bardzo gorąca, by zacząć myć je mydłem.

Niezależnie od tego, ile razy to zrobię, i tak widzę na nich krew.

Ale nie czuję żadnych wyrzutów sumienia.

Robię to, co konieczne.

Strach. Przemoc. Szacunek.

Tak rządę moim imperium. Tak chronię moich ludzi. Po zemście, jakiej dokonaliśmy przez ostatnie kilka dni, nikt szybko nie zakwestionuje znowu mojego autorytetu i tylko ktoś pragnący śmierci ośmieliłby się przelać choćby kroplę krwi Keiry.

Udało się doprowadzić do finału wszystkie niezałatwione sprawy, zawrzeć nowe umowy i życie toczy się dalej.

Zakręcam wodę i chwytam ręcznik. Lustro jest całkowicie zaparowane. Osuszam ręce i przecieram szklaną tafłę dłonią.

Rzadko patrzę na swoje odbicie w lustrze. Nie potrzebuję widzieć, jak spogląda na mnie diabeł. Jednak tym razem widzę coś więcej i nie są to tylko ślady krwi na mojej niegdyś białej koszuli. Nie, widzę przed sobą człowieka, który ma w życiu cel.

Człowieka, który gotowy jest zalać ulice krwią, jeśli dzięki temu będzie mógł chronić to, co dla niego najważniejsze.

Przed nią miałem wszystkie dobra materialne, jednak nic do stracenia.

Teraz nie ma niczego, czego bym nie poświęcił dla jej bezpieczeństwa. *Cel*. To on oddziela siłę od słabości.

Keira powiedziała, że motywy działania mają największe znaczenie. Może ma rację. Nigdy nie zobaczę w lustrze kogoś szlachetnego i cnotliwego, jednak jeśli ona postrzega mnie w taki sposób, to mogę się z tym pogodzić — bylebym tylko mógł ją zatrzymać.

Zdejmuję z siebie pozostałe ubrania i wchodzę pod prysznic.

Szoruję się tak długo, aż jestem pewien, że nie pozostał na mnie ślad krwi, który byłby widoczny.

Zawsze będę brutalny. Bezlitosny, gwałtowny w chronieniu tego, co moje.

Nie musi poznać tej części mnie. *Nigdy*. Jednak mogę jej dać tę część mnie, której nikt inny nigdy nie widział, i mam nadzieję,

że to wystarczy.

Wślizguję się do garderoby przez ukryte przejście, jak zawsze w ciszy. Mieszkanie pogrążone jest w ciemnościach, nie licząc poświaty zza drzwi sypialni.

Moje stopy nie robią żadnego hałasu. Idę w stronę światła.

W jej stronę.

Leży na środku łóżka, pogrążona we śnie, z rudymi włosami związanymi w nieporządny kok. Zaciska telefon w dłoni, jakby czekała, aż zadzwoni.

Powinienem był zadzwonić. Powinienem był dać jej znać, że nic mi nie jest. Jednak wciąż jest to dla mnie coś nowego.

Mam nadzieję, że kolejnego razu nie będzie, ale okłamywałbym sam siebie, gdybym twierdził, że to możliwe. Zawsze będzie następny raz. Nowe zagrożenie. Kolejny człowiek, którego trzeba będzie zabić.

Patrząc jednak na kobietę leżącą w moim łóżku, uświadamiam sobie, że nie muszę wymierzać sprawiedliwości osobiście.

Muszę być tutaj. Z nią. Pilnować, by nie musiała zasypiać sama z ciemnymi obwódkami pod oczami.

Całym sobą pragnę ją zbudzić albo przynajmniej położyć się na łóżku obok niej. Zamiast tego siadam na fotelu w cieniu i obserwuję ją, kiedy śpi.

To mój przywilej i moja kara.

29.

Keira

Budzę się gwałtownie z koszmarne snu, w którym Lachlan nigdy do mnie nie wraca, bo jego krew spłynęła rynsztokami, a ciało nigdy nie zostało odnalezione. Koszmar.

— *Nie* — szepczę. — Nie, on musi wrócić do domu. — Obejmuję się ramionami i ściskam.

— Jestem w domu.

Odwracam głowę w kierunku, z którego dochodzi ten głęboki głos, z radością odkrywając, że mężczyzna, na którego czekałam przez ostatnie dni, siedzi w fotelu w rogu.

— Bogu dzięki. Myślałam, że nie żyjesz.

Wyskakuję z łóżka i biegnę w jego stronę. On wstaje. W przyćmionym świetle, widzę jego zaciętą, kamienną twarz. To nie Lachlan, to *Mount*.

— Żyję.

— Co się stało? Coś nie tak? Czy jesteś ranny? — Zatrzymuję się przed nim, patrząc na jego nieskazitelny garnitur. Tak naprawdę mam ochotę dotykać skóry na całym jego ciele, by upewnić się, że wszystko w porządku.

— Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

Traktuję to jako zezwolenie, by rzucić mu się w ramiona.

Obejmuje mnie i przytula do piersi. Nie krzywi się, więc mam nadzieję, że nie tylko oznacza to, że jego rana postrzałowa się goi, ale też, że faktycznie nie odniósł żadnych nowych obrażeń.

— Tak strasznie się o ciebie martwiłam. Następnym razem zadzwoń do mnie, wyślij mi esemesa lub batmanowski sygnał.

Cokolwiek. Chrząkanie i kiwanie V. nie wystarczą. Potrzebuję dowodów, że jesteś bezpieczny.

Jedna duża dłoń podpira tył mojej głowy.

— Batmanowski sygnał?

Wciągam w nozdrza jego znajomy zapach, rozkoszując się nim i nie przejmując się tym, czy brzmi jak wariatka.

— W sumie jesteś jak Batman, więc tak, taki znak byłby odpowiedni.

Jego pierś drży. Chyba się ze mnie śmieje, ale nie mam zamiaru sprawdzać.

— Wiesz, że ten sygnał inaczej działał, prawda?

— Nie kłóć się ze mną, Lachlan. To niemal równie złe, co zostawienie twojej żony samej w noc poślubną i niedawanie znaku życia.

Jego wargi dotykają mojej skroni.

— To mój pierwszy raz w roli męża. Jestem pewny, że jeszcze nie raz coś spieprzę.

Mrużę oczy i unoszę na niego wzrok.

— Zasada numer jeden. Daj żonie znać, że żyjesz, zwłaszcza jak już skończysz z mszczeniem się.

Żona. Wciąż nie mogę uwierzyć, że znowu jestem żoną, ale to prawda. Wypowiedziałam słowa przysięgi i to szczerze.

Jego ciemne oczy błyskają.

— A więc teraz ty ustalasz zasady?

Unoszę podbródek.

— Tak. Wysłałam za króla i czuję, że to daje mi pewną swobodę.

Tuli mnie mocniej do piersi.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że powiedziałaś „tak”.

Uwalniam jedną rękę i wyciągam ją, by pogłodzić go po świeżo ogolonym policzku.

— Oczywiście, że się zgodziłam. Jestem w tobie zakochana.

Na jego twarzy odbijają się emocje, każda kolejna bardziej żywa i intensywna niż poprzednia.

— Chyba nie mówisz poważnie.

Patrzę w jego ciemne, płonące oczy, które kiedyś napełniały moją duszę lękiem, jednocześnie rozpalając moje ciało. Teraz wzbudzają we mnie pewność.

— Sądysz, że przysięgałabym „dopóki śmierć nas nie rozłączy”,

gdyby było inaczej?

— Jesteś pod moją ochroną...

Kładę kciuk na jego ustach, przerywając mu.

— Mam *ciebie*. Tego chciałam. I jeśli mam spędzić resztę życia, udowadniając ci, że mówiłam to na poważnie, to tak zrobię.

— Nigdy nie pozwolę ci odejść. *Nigdy*.

Wypowiada swoją przysięgę z takim samym przekonaniem, jak ja swoją, i wiem, że wszystko będzie dobrze.

— Dobrze. Cieszę się, że się zgadzamy. A teraz zabieram cię z powrotem do łóżka. Musimy nadrobić naszą noc poślubną.

30.

Mount

Słowa nigdy nie miały dla mnie takiej mocy jak działania.

Przynajmniej do tej chwili i do czasu, gdy spotkałem tę kobietę.

Jestem w tobie zakochana.

Za każdym razem, gdy powtarzam te słowa, ogień, który krąży mi w żyłach, rozpala się bardziej, karmiąc się zaborczymi instynktami, jakie w stosunku do niej odczuwam.

Nie zasługuję na miłość. Nie tylko na jej miłość, ale na miłość w ogóle. Jednak to nie oznacza, że jej nie przyjmę. Nie zachowam — na zawsze. Będę ją ochraniał i pielegnował.

Kłamałem, oszukiwałem, kradłem i zabijałem. Zrobiłbym to wszystko jeszcze raz, zwłaszcza gdyby to miało pozwolić mi dotrzymać przysięgi, którą złożyłem w obecności kapłana i urzędnika.

Nie ma niczego, czego bym dla niej nie zrobił.

Idę w stronę łóżka i kładę ją na nim, jakby była najcenniejszym darem. Jednak ta delikatność nie potrwa długo. Adrenalina, która płynie mi w żyłach po ostatnich dniach, nie zniknie z mojego organizmu tak po prostu.

Chcę pieprzyć moją kobietę. Posiąść ją. Zanurzyć się w niej, aż oboje będziemy krzyczeć z rozkoszy.

W jakiś sposób ona to wie.

Gdy się odzywa, jej głos jest silny i czysty.

— Mogę przyjąć wszystko, co masz do dania. Więc lepiej daj mi wszystko, co masz.

W moim gardle wzbiera warczenie. Zrywam z siebie marynarkę

i ciskam ją na bok. Keira rzuca się na mnie tak samo gorączkowo. Guziki fruwają na boki, gdy rozrywa moją koszulę. Moje dłonie wędrują do spodni, ściągam je z siebie i stoję przed nią nagi, gotowy zerwać z niej ubrania, tak jak ona zrywała moje.

Jednak Keira unosi w górę palec i wskazuje na mnie.

— Gdybyś nie miał na świecie niczego poza tym, co teraz masz na sobie, pragnęłabym cię tak samo i kochała tak samo.

Nie wiem, jak mam powiedzieć te słowa, bo nigdy w życiu tego nie robiłem, ale wiem, że dla niej nauczę się tego.

Wkrótce.

— Potrzebuję cię. Teraz.

31.

Keira

Lachlan zmienia się w zwierzę i zdziera ze mnie jedwabną koszulkę nocną. Jego usta pożerają moje. Wbijam paznokcie w jego ramiona, tak jak tej pierwszej nocy na stole w jadalni.

Dzisiejszego poranka mojej uczucia są równie intensywne, jednak mają zupełnie inne podłoże. Lachlan zabiera moje dłonie ze swoich ramion i przyciska mnie do materaca, całując moje ciało ostrożnie, tak by nie urazić gojących się ran. Sam też ma na sobie bandaż, jednak nie sprawia wrażenia, jakby odczuwał jakikolwiek ból.

Pada przede mną na kolana i rozsuwa moje uda.

— Już mokra dla mnie.

Otwieram usta, by odpowiedzieć, jednak zamiast tego wrywa mi się z nich jedynie jęk, gdy jego wargi dotykają mojego koleczka. To nie fair, że ma nade mną taką przewagę, jednak nie mogę na to narzekać.

Lachlan sprawia, że raz za razem krzyczę z ekstazy, a moje palce szarpiają go za włosy, próbując przyciągnąć jego głowę do

mojej twarzy. Gdy nasze usta znowu się spotykają, czuję swój smak na jego wargach i podoba mi się to.

— Moja kolej.

Potrzęsa głową.

— Nie, nie, nie mogę czekać.

Chwyta za moje uda i ustawia się w wejściu do mojej pochwy z wyrazem zaborczego pożądania na twarzy. Nie waha się, i nie chcę, by było inaczej.

Jedno pchnięcie. Tyle potrzebuje, by mnie wypełnić. Wbija się we mnie raz za razem, aż jego twarz zmienia się w wyrazie rozkoszy, a moje wewnętrzne mięśnie zaciskają się wokół niego.

— Kocham cię, Lachlanie Mounce!

32.

Mount

Straciłem rachubę, ile orgazmów miała Keira, jednak gdy bezwładnie osuwa się obok mnie, przyciągam do siebie jej ciało i przykrywam nas oboje. Może i nie mieliśmy szans na noc poślubną, ale wynagrodzę jej to.

Nie mogę przestać myśleć o tym, co powiedziała, ba, co wykrzyczała.

Kocham cię.

Nigdy nie wiedziałem, co oznacza słowo *kochać*. Gdy się wyrosło bez miłości i nigdy jej nie doświadczyło, to nie potrafi się tego zrozumieć.

Wiedziałem już, że przyjąłbym za nią kulę, umarł dla niej, żył dla niej.

Jeśli to jest miłość, to może wreszcie zaczynam ją rozumieć. Nie mam wątpliwości, że rozgryzłem przynajmniej jej część — nigdy

nie chcę tego stracić. Nie chcę stracić jej.

I jestem pewny, że już nigdy więcej nie chcę widzieć jej krwi na swoich dłoniach.

Wtula się we mnie mocniej. Całuję ją w skroń, przyciskając do siebie.

— Nigdy więcej cię nie tkną.

Moje oczy wreszcie się zamykają, jednak zamiast odpocząć, walczę z koszmarami, w których ktoś chce mi ją odebrać.

Nie wiem, ile minęło czasu, gdy budzę się gwałtownie. Oczy

Keiry otwierają się w momencie, gdy siadam na łóżku.

— Co? Co się stało? — Natychmiast przytomnieje i sięga do szafki nocnej, gdzie ukryty jest naładowany pistolet.

Ta kobieta jest dla mnie idealna.

— Nic. — Chwytam ją za rękę i zatrzymuję ją, zanim chwyci rewolwer. — Wszystko w porządku.

Wypuszcza z płuc powietrze.

— Czy możemy spróbować budzić się bez ataku serca następnym razem? Byłoby świetnie.

Jakiś dźwięk wyrywa mi się z gardła i uświadamiam sobie, że to śmiech lub coś w tym rodzaju.

— Popracuję nad tym.

— Świetnie.

— W międzyczasie spakuj torbę. Czas wyjechać z miasta.

Oczy Keiry rozszerzają się.

— Dlaczego? Sądziłam, że już jest bezpiecznie.

— Jest. Ale chcę cię mieć tylko dla ciebie. Gdzieś daleko, bez żadnych rozproszeń.

— Miesiąc miodowy?

— Możesz to nazwać, jak chcesz, ale czas się urwać. Samolot będzie zatankowany i gotowy w ciągu godziny.

Keira przygryza wargę.

— Wiem, że to źle zabrzmiało, ale proszę, musisz zrozumieć moje stanowisko.

Przygotowuję się wewnątrz, zastanawiając się, co u licha, mogło przywołać ten wyraz na twarz mojego diabła.

— Co takiego?

— Nie mogę teraz wyjechać. Przez ostatnie dni byłam tu zamknięta i próbowałam stąd prowadzić moją firmę, która teraz przechodzi gwałtowne zmiany. A wcześniej wyjechałam z kraju na prawie tydzień, nie planując tego. A potem przyszła

nagroda, milion zamówień... W tej chwili w destylarni panuje szaleństwo. Naprawdę, naprawdę muszę iść do pracy.

W pierwszym odruchu mam ochotę zagłuszyć jej protesty i powiedzieć jej, że to śmieszne. Nie musi pracować. Już nigdy nie musi pracować. Mam dość pieniędzy, by zapewnić nam

oboju luksusowe życie. Jednak pohamowuję tę instynktowną reakcję.

— Aha, więc tak to jest ożenić się z prezesem.

Kiwa głową.

— Tak. To dla mnie ważne i potrzebuję, byś to zaakceptował.

— W takim razie musimy wypracować kompromis.

Keira przechyla głowę i unosi brwi.

— Wiesz, co to słowo oznacza?

Moje usta drgają i mam wrażenie, że chcą się uśmiechnąć.

— Tylko w twoim przypadku.

— W takim razie słucham twojej propozycji.

Słyszając jej ton, przyciskam ją do łóżka.

— Najpierw ci przelecę. Potem włożę ci w tyłek korek, byś była gotowa na mnie później.

Jej biodra unoszą się i ocierają o mnie. *Tak, to idealna kobieta dla mnie.*

— Czy to wszystko?

— Potem V. zawiezie cię do pracy, zostanie tam z tobą i wrócisz do domu, jak tylko opanujesz sytuację. Masz dwa dni, a potem wyjeżdżamy z kraju, by być Lachlanem i Keirą na jakiejś plaży,

gdzie w promieniu kilometrów nie będzie żadnej innej ludzkiej istoty.

Na jej usta wypływa cudowny uśmiech.

— Mogę przystać na te warunki.

— To dobrze, bo i tak nie masz innego wyboru.

— Sądziłam, że to kompromis.

Wzruszam ramionami.

— Prawie.

Kiedy wreszcie wiele godzin później pozwalam jej wyjść z łóżka,

mam jakieś złe przeczucia. Może z powodu wydarzeń

ostatniego tygodnia, a może chodzi o coś innego. Gdy Keira szykuje się do wyjścia, wychodzę na korytarz. V. obraca się twarzą do mnie.

— Chroń ją choćby za cenę własnego życia.

33.

Keira

Gdy wchodzę do budynku, kieruję się wprost do mojego biura, mając nadzieję, że dotrę do piwnicy, zanim ktoś zauważy mojego nowego ochroniarza.

Nie wiem, dlaczego Lachlan kazał trzymać się V. tak blisko, ale nie mam zamiaru tego kwestionować. Moje życie się zmieniło.

Wypowiadając słowa przysięgi, miałam świadomość, że wkraczam w zupełnie inny świat i że będę musiała znaleźć jakiś sposób, by pogodzić go z moim.

Temperance wita mnie w drzwiach do biura. Spogląda na V., a potem na mnie.

— Szofer już nie zostaje w samochodzie?

— Wejdzmy do środka. Muszę ci wyjaśnić parę rzeczy.

V. zostaje tuż za drzwiami, dając nam możliwość porozmawiania

w spokoju. Zamykając drzwi, zdaje sobie sprawę, że jego obecność wywoła jeszcze więcej pytań ze strony moich pracowników. I to jest właśnie to, o czym muszę porozmawiać z Temperance.

Nic nie uchodzi uwagi mojej asystentki. Jej spojrzenie wędruje do mojej lewej dłoni. Nikt nie byłby w stanie przegapić olbrzymiego owalnego diamentu osadzonego na cienkiej, wysadzananej diamentami obrączce z różowego złota. Diament musi mieć z pięć karatów. Nie miałam czasu ani ochoty pytać Lachlana, skąd zdobył tak niezwykle pierścionek w tak krótkim czasie, byłam zbyt oszołomiona faktem, że się pobieramy. No ale w końcu to Lachlan Mount — wystarczy, że rozkaże, by coś się stało.

Całe to wydarzenie wciąż wydaje mi się surrealistyczne, podobnie jak ciężar obrączki na palcu. Tym razem jednak to uczucie wydaje się właśnie takie, jak powinno być.

— Oho, ho, szefowo. Co za pierścionek! Okradłaś sklep z biżuterią i ukrywałaś się, dopóki sprawy trochę nie przycichły?

— Niezupełnie. — Kąciki moich ust unoszą się w uśmiechu, co dzieje się często, gdy zerkam na lśniący klejnot.

— Kiedy wielki dzień?

Zaciskam usta, niemal nie wierząc, że jej to mówię.

— To... już się stało.

Przenosi spojrzenie na moją twarz i otwiera usta ze zdziwienia.

— I nie dostałam zaproszenia na wesele? — Unosi dłoń do góry.

— Żartuję, ale... Poważnie? Ty... Wiedziałałam, że nie mówisz mi

wszystkiego, ale to duża sprawa. I nie mówię tu jedynie o wielkości pierścionka.

— Powiedzmy... że to była decyzja chwili.

— A kim jest ten szczęściarz?

— Kiedyś go poznasz.

Pada na fotel naprzeciwko mnie.

— Nie wiem nawet, co teraz powiedzieć.

Żałuję, że nie ustaliłam z Lachlanem, co mogę mówić ludziom, a czego nie mogę, jednak na razie wolę zachować ostrożność.

— Wiem, ale chciałam tego.

— Jesteś pewna? Nikt nie przystawił ci broni do głowy? — pyta i nie słyszę w tym pytaniu żartu.

Myślę o urzędniku i księdzu, którzy słyszeli naszą przysięgę, i dokumentach, które podpisaliśmy.

— Nie. To wszystko było z mojej wolnej woli.

— Ale kiedyś mi wszystko opowiesz, tak?

— Tyle, ile będę mogła.

Temperance wciąga powietrze i patrzy na mnie przez dłuższą chwilę w milczeniu, nim je wypuszcza.

— Dobrze. To ty tu rządzisz. A więc, czym chcesz się zająć najpierw?

Przechodzimy do omawiania spraw służbowych i widzę, jak bardzo Temperance zasłużyła sobie na awans. Zdaję sobie sprawę, że nie ma mowy, bym dała radę uporać się ze wszystkim w zaledwie dwa dni.

Muszę więc znowu nakłonić Lachlana do negocjacji... Na szczęście mam pomysł, jak to zrobić.

34.

Keira

— Sądziłem, że zgodziliśmy się, że to ty będziesz przychodziła do mnie, *żono*.

Sposób, w jaki wypowiada to słowo, sprawia, że dreszcze przechodzą mi wzdłuż kręgosłupa, gdy Lachlan wysiada z

windy i rusza w moją stronę.

— Plany się zmieniają, *mężu*. Usiądź. — Wskazuję na najbardziej pożądany stół w restauracji Seven Sinners, na którym stoi najlepsze jedzenie w Nowym Orleanie i oczywiście najlepsza whiskey. — Mam więcej pracy, niż sobie to uświadamiałam, i jako że przez to nie możemy pojechać na nasz miesiąc miodowy... pomyślałam, że może docenisz kolację z widokiem. Nie potrafię gotować, więc to najlepsze, na co mnie stać.

Lachlan unosi jedną brew.

— Jak to nie umiesz gotować?

— Nigdy o to nie pytałeś. Mam nadzieję, że nie jest to dla ciebie zbyt ważne, bo teraz już jesteś na mnie skazany.

Jego śmiech odbija się echem w pustej restauracji.

Postanowiłam nie otwierać jej aż do jutrzejszego wieczora, jednak wyblagałam, by Odile przyszła dzisiaj specjalnie dla mnie. Jestem jej teraz winna gigantyczną przysługę, a sądząc po tym, jak pożerała V. wzrokiem, gdy wszedł za mną do kuchni, chyba domyślałam się, o co poprosi.

Moja sprytna cajuńska kucharka nie będzie się przejmowała tym, że on nie mówi. Ma dość do powiedzenia, by udźwignąć obydwie strony konwersacji.

— Całe szczęście, że obydwójce zatrudniamy kucharzy, bo inaczej umarlibyśmy z głodu — mówi Lachlan, odsuwając dla mnie krzesło, na którym siadam.

W czasie, gdy obchodzi stół dookoła, by zasiąść na swoim, pytam:

— Ty też nie potrafisz gotować?

— Nic, co byłoby warte zjedzenia.

— Całe szczęście, że dziś wieczór zajmę się wami obojgiem. —

Odile przechodzi przez pomieszczenie tanecznym krokiem, niosąc ostatnie moje zamówienie — niewielki tort na srebrnej tacy.

Nie powiedziałam jej, że to mój tort weselny, ponieważ Bóg wie, że miałyby wtedy milion innych pytań. Jakimś cudem przeoczyła moją obrączkę i jestem za to wdzięczna losowi.

Przede

wszystkim

chcę,

by

mężczyzna,

który

siedzi

naprzeciwko mnie, wyjaśnił mi, jak mam wytłumaczyć znajomym, że ni stąd ni zowąd znowu jestem mężatką, i komu w ogóle mogę powiedzieć prawdę. Mówił mi wcześniej, że nasz związek nie będzie normalny, jednak muszę ludziom *coś* wyjaśnić. Nawet nie chcę myśleć o mojej rodzinie.

— Dziękuję, Odile.

Odile opiera dłonie na biodrach.

— Czy mogę wam jeszcze coś podać, zanim pójde do domu?

— Nie, to wszystko, dziękuję. Jest idealnie.

Przesuwa spojrzeniem po mnie i po Lachlanie.

— *Bon appétit.*

— Oboje to doceniamy, pani Bordelon.

Nie wiem, dlaczego zaskakuje mnie, że Lachlan zna jej nazwisko, jednak zdecydowanie szokuje to Odile.

Unosi podbródek.

— Jeśli chodzi o mnie, to nie potrzebuję wiedzieć nic więcej, niż tylko to, że będzie ją pan dobrze traktował, sir.

Przygryzam wargę, zastanawiając się, co powie.

— Masz moje słowo.

— W takim razie życzę wam obojgu udanego wieczoru i ruszam

do domu.

Uśmiecham się do niej, gdy odsuwa się od stolika, nie odrywając wzroku od stojącego przy windzie V.

— V. odprowadź panią Bordelon do jej samochodu. Masz już wolne na dziś wieczór.

Twarz Odile rozjaśnia się w odpowiedzi na ten rozkaz Lachlana i niemal rzuca się w kierunku milczącego mężczyzny.

— Nie masz pojęcia, co właśnie uwolniłeś.

Lachlan wraca spojrzeniem do mnie.

— Nie sądzisz, że poradzi sobie z V.?

Zerkam na Odile, która już do niego trajkocze, gdy wchodzią razem do windy.

— Nie jestem pewna, czy on poradzi sobie z *nią*.

Śmiech Lachlana ponownie odbija się echem w pomieszczeniu.

Chciałabym słyszeć ten dźwięk jak najczęściej

Gdy przestaje się śmiać, zerka na tort i na mnie.

— Czy ona wie?

Potrząsam głową.

— Powiedziałam najważniejsze rzeczy Temperance, jednak nikomu innemu. Nie jestem pewna, co mogę im powiedzieć.

— Co będzie dla ciebie najłatwiejsze. Cokolwiek lub nic. Nie musisz nawet nosić obrączki, jeśli boisz się, że to zrodzi zbyt wiele pytań.

Przyciskam dłoń do piersi, obejmując ją drugą, tak jakbym bała się, że Lachlan może zechcieć zabrać mi obrączkę.

— Nie zamierzam jej zdejmować.

Przez jego twarz przemyka pełen satysfakcji uśmiech.

— To dobrze, bo podoba mi się jej widok na twoim palcu.

— Ale ty nie masz obrączki. Chociaż pewnie nie mógłbyś jej nosić, prawda?

— Dlaczego?

— Czy to nie rodziłoby zbyt wielu pytań?

— Nikt oprócz ciebie nie ma prawa mnie przepytować. —

Lachlan uśmiecha się jeszcze szerzej, co odwzajemniam.

— Nie będę za to przepraszać.

— Nigdy tego nie oczekiwałem.

Uśmiecham się jeszcze promienniejsze, po czym sięgam po stojącą przede mną whiskey i unoszę szklaneczkę w górę.

— Za nas — mówię, gdy on sięga po swoją.

— Za nas — powtarza.

— I za nasze imperium — dodaję, zwracając wzrok za okno, gdzie słońce właśnie chowa się za horyzont Nowego Orleanu, a na niebo wschodzi księżyc.

— Za to zdecydowanie warto wypić.

Stukamy się szklaneczkami, po czym wychylamy je do dna.

Odstawiam naczynie na stół i spoglądam mu prosto w oczy.

— A jeśli chodzi o ten korek analny... Kiedy właściwie mam być

na to gotowa??

Restauracja znowu rozbrzmiewa śmiechem. Stwierdzam, że śmiech Lachlana Mounta jest jednym z moich ulubionych dźwięków na świecie.

— Wkrótce, diaboliczko, wkrótce.

Gdy pochłaniamy stojące przed nami pyszności, rozmawiając o wszystkim, co nam tylko przyjdzie do głowy, z każdą chwilą nabieram większej nadziei na przyszłość.

Można powiedzieć, że już drugi raz wyszłam za mąż pod wpływem impulsu, chociaż myślę, że tym razem okoliczności były zupełnie inne. Wierzę też, że to małżeństwo przetrwa.

Nie tylko dlatego, że stoi za nim siła Lachlana Mounta, ale też ponieważ oboje zdajemy sobie sprawę ze stojących przed nami wyzwań i jesteśmy gotowi razem się z nimi zmierzyć.

On zaoferował się, że pomoże mi w każdy możliwy sposób, poświęcając mi swój czas, swój talent, swoją fortunę. Teraz ja muszę sprawić, by uświadomił sobie, że jest tak samo zakochany we mnie jak ja w nim.

Odkrawam dwa małe kawałki tortu i układam je na niewielkich talerzykach, które przeniosła Odile, a następnie przesuwam jeden z nich po stole w kierunku Lachlana.

— Wiesz, co się z tym robi?

Marszczy brwi.

— Z ciastem? Zjada się je.

Uśmiecham się.

— To nie jest *po prostu* ciasto.

Na jego twarzy pojawia się błysk zrozumienia.

— Ach, rozumiem. Tak właśnie chcesz mnie namówić, bym pozwolił ci tu zostać i pracować, zamiast żebym cię porwał na jakąś bezludną wyspę.

— Nie. — Przechyliłam głowę. — Ale skąd wiedziałeś, że mam taki zamiar?

Jego uśmiech jest niemal tak samo urzekający jak jego śmiech.

— Bo kochasz to miejsce i nie wyjedziesz, dopóki nie będziesz pewna, że wszystko idzie gładko.

On naprawdę przenika moje myśli i uczucia do głębi. Widzi nie tylko to, co na zewnątrz, co mu pokazuję, lecz jest w stanie wejrzeć w moje serce.

— Czy to dla ciebie problem?

Potrząsa głową.

— Dobrze wiedziałem, w co się pakuję, i od początku nie miałem nic przeciwko temu.

— W takim razie miałaś nade mną przewagę, bo ja nie miałam pojęcia. — Urywam, zastanawiając się, jak dobrze wyjaśnić to, co chcę powiedzieć. Lachlan czeka w milczeniu, jakby spodziewając się najgorszego. Jednak nie ma się czego obawiać. — Jesteś najbardziej skomplikowanym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam.

Otwiera usta, by coś powiedzieć, jednak ja mówię dalej.

— Ale oczywiście to nie jest nic złego. — Kiwam głową w kierunku ciasta przede mną. — Nie wyszłabym za ciebie, gdybym nie była w tobie zakochana. I myślę, że zaczęłam się w tobie zakochiwać, gdy wreszcie pozwoliłeś mi zobaczyć prawdziwego siebie. W Dublinie. Wtedy dopiero poznałam *Lachlana*, a nie tylko Mounta.

— Jeden nie istnieje bez drugiego.

— W takim razie dobrze, że mam obydwu. — Wstaję i podnoszę

swój talerzyk z ciastem. — I niech to będzie oficjalne.

Lachlan wstaje, trzymając swój talerzyk.

— Myślałem, że jest oficjalne, skoro przysięgaliśmy w obecności kapłana i urzędnika.

— Och, jesteś typowym facetem. Nie jest oficjalne, dopóki nie ma tortu i tańca. — Idę w jego stronę.

— Tańca? — pyta, unosząc jedną brew.

— Bezwarunkowo taniec musi być.

Skubie moje palce, gdy bierze kawałek ciasta, jednocześnie karmiąc mnie swoim kawałkiem. Czekoladowe ciasto Odile z whiskey i bitą śmietaną rozpływa mi się w ustach.

— Cholera, pyszne — mówi Lachlan, a ja się zgadzam.

— Po tańcu możesz zjeść więcej.

Wyjmuje talerzyk z mojej dłoni i odkłada obydwu na stół z brzękiem.

— Przed tańcem jeszcze musi nastąpić jedna rzecz.

— Co takiego?

Lachlan bierze mnie w ramiona.

— Mogę całować pannę młodą tak długo, jak zechcę.

Policzki aż bołą mnie od śmiechu.

— Jakoś to przeżyję.

Jego wargi dotykają moich i czuję, jak w moim wnętrzu eksploduje bańka szczęścia.

35.

Mount

Ignoruję telefon, gdy zaczyna wibrować w mojej kieszeni pierwsze trzy razy, jednak gdy robi to po raz czwarty, Keira chichocze i idzie znowu zmienić muzykę.

Wyciągam aparat z kieszeni, wkurzony, że ktokolwiek ośmiela się zakłócać najbliższą przyjęciu weselnemu imprezę, jaką mam szansę mieć. Tylko Keira i ja, tańczący w świetle świec w restauracji z widokiem na księżyc przebijający się przez grubą szybę.

Widzę, że dzwoni J.

— Co niby dzieje się takiego, że nie możesz się tym zająć?

— Szefie, dostaliśmy wiadomość, że dziś wieczorem gliny zamierzają zrobić wjazd na kasyno, i uznaliśmy, że będziesz chciał o tym wiedzieć.

Kurwa.

— Dzisiaj? Kogo, do cholery, nie mamy na liście płac? Kto się ośmielił?

— Najwyraźniej w mieście jest więcej dobrych gliniarzy, niż komukolwiek z nas się wydawało.

— Zamknij kasyno i załatw to.

— Czy chcesz się tym zająć osobiście, czy ja mam się z nimi spotkać?

Keira wychyla kolejną szklaneczkę whiskey, nucąc pod nosem i wybiera utwory na liście, pozwalając mi spokojnie

porozmawiać. Mam ochotę zostać tu z nią na zawsze, ale tak właśnie wygląda moje życie. Nie zawsze mogę zdecydować,

kiedy gliny postanowią najechać na moje lokale.

Muszę jednak dać im do zrozumienia, że nie są tam mile widziani.

— Jadę.

— Jesteś pewien? Bo...

— Zaczynij działać, niedługo będę.

— Dobrze, szefie. Już się robi.

Keira odstawia pustą szklaneczkę na stół, a w jej spojrzeniu widzę troskę.

— Coś się stało? Co się dzieje?

— Nic, czym musiałabyś się martwić, ale muszę pojechać

załatwić parę spraw. — Wyciągam do niej rękę, a ona splata swoje palce z moimi. — Wrócimy do naszego miesiąca

miodowego, nie martw się.

— Jesteśmy teraz zespołem. Możesz mi powiedzieć, jeśli coś się dzieje.

Zaciskam zęby. W jej głosie pobrzmiwa oczekiwanie, jednak moją instynktowną reakcją jest chronić ją przed wszystkim, co możliwe.

— Zawsze będą rzeczy, o których nie będziesz musiała wiedzieć.

— Jednak o pewnych sprawach *możesz* mi powiedzieć. Gdybym to ja otrzymała teraz telefon, który tak bardzo zmieniłby moje zachowanie, jak zmieniło się twoje, to nie pozwoliłbyś mi wyjść bez jakiegoś wyjaśnienia, Lachlan. A poza tym teraz nikt nie mógłby mnie zmusić, bym zeznawała przeciwko tobie.

Ma rację. Szanuję ją i jej pragnienie wiedzy. Poza tym nie jest to jakaś kwestia życia i śmierci, którą musiałbym zachować dla siebie, więc postanawiam się jej zwierzyć.

— Gliniarze planują zrobić najazd na kasyno, więc muszę się upewnić, że do czasu, gdy się tam pojawią, nie będzie tam żadnego kasyna.

Unosi brwi.

— Powinni być szczęśliwi, że oczyściłeś dla nich ulice miasta.

— Domyślam się, że to ich sposób na pokazanie mi, że nie są zadowoleni z mojej pomocy.

— Czy to się zdarzało wcześniej?

Kiwam głową.

— Raz, zaraz po tym, jak przejąłem władzę. Sprawdzali mnie i doszliśmy wtedy do porozumienia, które obowiązywało przez długi czas. Teraz przyszedł czas na kolejną próbę, ale nie spodziewam się kłopotów.

— Dobrze. Tylko tyle potrzebowałam wiedzieć. Idź i załatw swoje sprawy.

Rozglądam się dookoła. Nie mam ochoty zostawiać jej tu bez opieki V., ale sam dałem mu wolny wieczór.

— Kto jeszcze jest w budynku?

Keira spogląda na zegarek.

— O tej porze? Tylko Temperance. Powiedziałam jej, że nie wolno jej zostawać po moim wyjściu, jednak stwierdziła, że nie wyjdzie przede mną.

— Zadzwońię po V. i poczekam, aż przyjedzie, a potem...

Wzdycha teatralnie.

— Idź. Załatw, co trzeba. Nic mi nie będzie.

— Nie zostawię cię bez ochrony.

— Mam w biurze cały arsenał. Każdy, kto próbowałby mnie dorwać, padnie trupem, zanim przejdzie przez drzwi. Jestem pewna, że Temperance też potrafi sobie radzić.

Mimo że w jej głosie brzmi pewność, wciąż nie podoba mi się myśl, by zostawić ją tu bez V.

— Wyślę wiadomość do V. Nawet nie myśl o opuszczeniu

budynku bez niego.

Keira całuje mnie w usta.

— Nie martw się o mnie. Idź.

Zanurzam dłoń w jej włosach i całuję ją głębiej, nim się odsunę.

— Dziś w nocy: ty, ja i żadnych więcej zakłóceń.

— Zgoda.

Idę w stronę windy, czując jednak ten sam niepokój, który towarzyszył mi dziś rano. Wysyłam wiadomość do V., by jak najszybciej wracał do Seven Sinners.

36.

Keira

Nie zdążam nawet dojść do mojego biura, gdy mój telefon zaczyna dzwonić.

Temperance.

— Właśnie idę na dół — mówię. — Co się dzieje?

— Alarm pożarowy w magazynie. W tej chwili dostałam telefon,

bo moje nazwisko było pierwsze na liście do powiadomień, odkąd wyjechałaś do Dublina. Musimy tam iść. Już dzwoniłam po straż pożarną i są w drodze.

Jasna cholera.

— Lecę — wrzeszczę do słuchawki, po czym się rozłączam i pędzę w kierunku mojego biura.

Temperance już jest w korytarzu.

— Jedziemy, ja prowadzę.

— Dobrze, bo ja nie mam tu żadnego cholernego samochodu. —

Swoją drogą będę musiała porozmawiać o tym z Lachlanem, właśnie na wypadek tego typu nagłych sytuacji.

Biegniemy na parking i wskakujemy do chevroleta tahoe należącego do Temperance.

— Nie możemy stracić magazynu. To byłoby... — Temperance

jest tak samo przerażona jak ja.

— Wiem, że nie możemy. Mielibyśmy przesrane. To nie może być prawda, to na pewno fałszywy alarm.

Temperance pędzi jak szalona, zupełnie jakby uciekała z miejsca przestępstwa kradzionym samochodem, kierując się w stronę przedmieść. Nasz magazyn to wysoki nijaki budynek, na który nikt nie zwróciłby uwagi, chyba że wiedziałby, co jest w środku.

Gdy Lachlan wyznał mi, że ma skrzynkę Spirit of New Orleans, która została z niego ukradziona, wiedziałam, że muszę wzmocnić ochronę. Jednak ze względu na wszystko, co działo się potem, jeszcze nie miałam szansy się tym zająć.

Oczywiście, że coś takiego musiało się stać właśnie teraz.

— Mój ojciec się mnie wyrzeknie, jeśli cokolwiek się stanie z tą whiskey.

Temperance zerka na mnie, na chwilę odrywając wzrok od drogi.

— Zapomnij teraz o swoim ojcu. Co, u diabła, powiemy tym wszystkim dystrybutorom, z którymi podpisaliśmy kontrakty na wielkie sumy?

Resztę drogi przebywamy w pełnym niepokoju milczeniu, po czym zatrzymujemy się przed ogrodzeniem z drutu kolczastego, które okala magazyn. Widzę płomienie strzelające z jednego z okien na najwyższym piętrze, jednak nie ma nigdzie wozów strażackich.

— Jasna cholera!

Temperance wbija kod do bramy. Po chwili żwir pryska spod opon, gdy zajeżdża na parking i zatrzymuje samochód.

— Gdzie straż? — pytam.

— Nie wiem! Dzwoniłam do nich. Dyspozytor mówił, że zaraz tu będą.

Nie słyszę żadnych syren. Żołądek mi się ściska.

— Zadzwoń jeszcze raz. Teraz. Ja pędzę po gaśnicę.

Chwyta mnie za ramię, zanim zdążam otworzyć drzwiczki.

— Oszalałaś? Nie możesz tam wejść.

— To moje dziedzictwo. Nie mogę patrzeć, jak idzie z dymem, nie próbując zrobić niczego, by to powstrzymać!

Wyskakuję z samochodu i pędzę w stronę bocznego wejścia do budynku.

Trzymam w zaciśniętej dłoni telefon i właśnie mam zadzwonić do Lachlana, gdy coś ciężkiego uderza mnie w głowę.

Czuję ostry ból, po czym wszystko staje się czarne.

37.

Mount

Gdy przyjeżdżam na miejsce, kasyno jest już częściowo opustoszałe, chociaż nie całkowicie. Będziemy jednak gotowi, zanim gliny tu przyjadą. Będę musiał przeprowadzić z nimi rozmowę, która nie powinna być potrzebna. Nim stąd wyjdą, nikt nie powinien mieć żadnych wątpliwości, że miasto nadal należy do mnie.

Wysłałam wiadomość do V.

MOUNT: Masz ją?

V.: Jeszcze nie, jestem w drodze.

MOUNT: Daj znać, gdy się z nią spotkasz.

V.: Tak jest.

Pomagam przesuwać stoliki, załadowując kolejne ciężarówki, które wyjadą z miasta w różnych kierunkach, aż pot zaczyna mi ściekać za kołnierz.

Nie dostałem jeszcze wiadomości od V., a minęło prawie czterdzieści minut. Coś jest nie tak.

MOUNT: Masz ją?

V.: Tu jej nie ma. Szukam i nie mogę jej znaleźć.

Całe życie przeżyłem dzięki instynktowi i powinienem był go posłuchać. Coś jest naprawdę nie tak.

MOUNT: ZNAJDŹ JĄ NATYCHMIAST.

Następnie dzwonię do J.

— Czy nie przeoczyliśmy kogoś? Kogokolwiek? — Nie muszę precyzować, o co mi chodzi.

— Nie szefie. Mamy wszystkich. Co do ostatniego.

— Mamy pewność? Bo jeśli się mylisz...

— Nie mylę się. Co, u diabła, się dzieje?

— V. nie może znaleźć Keiry w destylarni. Coś jest nie tak.

— V. nie potrafiłby znaleźć drogi wyjścia z papierowej torebki.

To wielki budynek. Pewnie sam się zgubił.

Lekceważący ton J. od razu mnie wkurwia i nawet nie zadaje sobie trudu, by odpowiedzieć, tylko się rozłączam.

38.

Keira

Budzę się z rękoma związanymi za plecami. Ohydny smród wypełnia mi nozdrza.

— O, Boże, co to jest?

— Pierdolona suko, nie chcesz umrzeć, co?

Otwieram oczy, koncentrując wzrok na snopie światła z latarki i blondynce, która trzyma ją w ręku. Jej włosy w świetle księżyca są niemal białe. Nigdy w życiu jej nie widziałam.

— Kim ty, u diabła, jesteś? — wykrztuszam z siebie. Ohydny zapach sprawia, że obawiam się, iż za chwilę zwymiotuję wszystko, co zjadłam dziś wieczorem.

— Jestem jedyną, która go rozumie. Tylko ja mogę z nim być.

Jestem jego przeznaczeniem.

— O czym, do licha, mówisz? — Usiłuję wstać, jednak moja ręka

natrafia na coś, co kruszy się i zapada pod ciężarem.

Na chwilę odrywam wzrok od kobiety i spoglądam w dół na to, co oświetla światło jej latarki.

— O mój *Boże!* — Leżę na stosie zwłok: szkieletów i trupów w różnych stadiach rozkładu. Wszystkie mają na sobie kobiece stroje.

Światło księżyca wkrada się do środka przez pęknięcia w suficie i widzę, że jestem w mauzoleum.

Nie. Nie, to nie może się dziać naprawdę. Mam koszmary.

Żółć podpływa mi do gardła, gdy kobieta unosi pistolet w moją stronę.

— Gdy chce się coś zrobić dobrze, zawsze trzeba to zrobić samemu.

Pociąga za spust w chwili, gdy próbuję się podnieść i uskoczyć w tył. Kula przeszywa mój bark, czuję palący ostry ból, który odbiera mi dech w piersiach. Padam w bok na coś miękkiego.

Światło latarki podskakuje, gdy kobieta odwraca się, by wyjść, jednak zanim zamknie drzwi, widzę w świetle twarz leżącą tuż obok mojej.

To Magnolia.

O, Boże. Nie.

— Coś ty, do kurwy, zrobiła, ty popierdolona suko? — wrzeszczę.

— To ty jesteś popierdoloną suką. On najpierw był mój i zawsze będzie mój. To był twój błąd, ale już nie popełnisz ich więcej.

Żadna z was nie dostała drugiej szansy — mówi kobieta i światło znika. Zostaję w ciemności z moją najlepszą przyjaciółką, krwawiąc po postrzale.

— Pomocy! — wrzeszczę, aż zaczyna brakować mi sił i znowu ogarnia mnie czerń.

39.

Mount

— Gdzie jesteś, do cholery? — pytam J. — Gliniarze nawet się nie pokazali. Kto, u diabła, był źródłem tego przecieku? Bo jeśli to była ściema, to polecą głowy.

— To wiarygodne źródło. Już jadę. Będę za pięć minut, szefie.

V. nadal nie może odnaleźć Keiry. Samochód Temperance zniknął. J. jest w drodze, a ja odchodzę od pierdolonych zmysłów.

Naszyjnik. Nadajnik GPS. Keira wciąż ma go na sobie.

Wyciągam telefon, by uruchomić aplikację, która ładuje się tak wolno, iż mam wrażenie, że trwa to milion lat.

Brak sieci. Zapomniałem, że tutaj w kasynie nie ma zasięgu ani internetu.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Wybiegam z kasyna i pędzę korytarzem do mojego biura. Gdy tam docieram, równocześnie próbuję uruchomić aplikację na telefonie i na komputerze. Udaje mi się to wreszcie w momencie, w którym do biura wchodzi J.

— To nie ma żadnego pieprzonego sensu — szepczę. Znam to miejsce. Odwiedzam je co najmniej dwa razy w roku. Ale to musi być jakiś błąd.

— Czy V. ją znalazł, szefie?

— Nie. V. jej, kurwa, nie znalazł. Ja to właśnie zrobiłem i masz mi natychmiast powiedzieć, co się, do cholery, dzieje.

Spoglądam na J., na jej jasnobłond włosy spływające na ramiona, chociaż zazwyczaj wiąże je w ciasny kok.

— Uspokój się, Mikey. Wszystko będzie dobrze.

— Nigdy mnie tak, kurwa, nie nazywaj. Wiesz, by tego nie robić, J.

Siedemnaście lat wcześniej

Mój pager zawibrował i zobaczyłem na wyświetlaczu dobrze znany mi numer, a po nim cyfry 911.

Kurwa, w co też Hope znowu się wpakowała? Wiedziałem, że ma problemy. Wszyscy mieliśmy problemy z powodu tego, przez

co przeszliśmy.

W dniu, w którym Hope Jones weszła po schodach do domu zastępczego rodem z piekła, wiedziałem, że nic już nigdy nie będzie takie samo. Instynkt mi to podpowiadał.

Pierwszym człowiekiem, jakiego w życiu zabiłem, był ten skurwiel

Jerry,

który

wyciągnął

kutasa,

by

zgwałcić

czternastoletnią Hope. Miałem nadzieję, że zabranie jej z tego domu, zanim zdołał ją tknąć, wyprowadzi ją na lepszą drogę i faktycznie tak się stało — na jakiś czas.

Przez te lata, które spędziłem na ulicy, niewiele mogłem zrobić poza obserwowaniem, czy Hope i Destiny nie sprawiają wrażenia, jakby w nowym domu doświadczały przemocy.

Obserwowałem je i starałem się nad nimi czuwać, najlepiej jak potrafiłem. Gdy Morello wprowadził mnie do swojej organizacji,

moje życie stało się jego własnością. Stopniowo zdobyłem więcej wolności i władzy. Dzięki temu dopilnowałem, by Hope skończyła szkołę średnią i stała się prawną opiekunką Destiny.

Płaciłem ich rachunki przez lata i to nie tylko dlatego, że Hope studiowała. Czułem się za nie odpowiedzialny. Nie da się tak długo kimś opiekować, a potem o nim zapomnieć.

Przynajmniej ja nie potrafiłem.

Może na tym polegał problem. Powinienem zmusić Hope, by wzięła większą odpowiedzialność za swoje pieprzone życie. Od lat uczyła się w college'u i wciąż nie miała dyplomu, jednak ja nie nalegałem, by zamiast tego poszła do pracy na pełny etat.

Głównie dlatego, że chciałem, by miała czas dla Destiny. Hope niekoniecznie była najlepszym wzorem do naśladowania, ale i tak była lepsza niż to, czym ja byłem otoczony, gdy dorastałem.

Poza tym Destiny była piekielnie bystra. Miała przed sobą przyszłość i oboje z Hope pragnęliśmy ją chronić.

Wyszedłem z mojego biura, tego samego, w którym zakończyłem nędzny żywot Morello za to, że ośmielił się tknąć dziewczynkę tak samo, jak Jerry ośmielił się tknąć Hope. W jednej kieszeni miałem mosiężny kastet i zapalniczkę zippo, w drugiej sprężynowy nóż, a pod garniturem dwa pistolety kalibru 45. Już nie zdarzało mi się, bym był nieadekwatnie uzbrojony, przystępując do walki.

Tak naprawdę nawet już nie musiałem brać osobistego udziału w walce. Ale tym razem nie chodziło o coś, co miałem ochotę delegować. Hope i Destiny zawsze były dla mnie sprawą osobistą.

Zajęło mi zaledwie dziesięć minut, by dotrzeć do domu, który kupiłem Hope. Ze środka dobiegał brzęk tłuczonych naczyń i krzyk mężczyzny.

Destiny chowała się pod schodami na zewnątrz, kołysząc się w przód i w tył. Miała niemal osiemnaście lat, jednak teraz, skulona i przerażona, przypominała mi tę pięciolatkę, którą kiedyś poznałem.

— Co się dzieje, do kurwy? — zapytałem.

— Nie wiem. On jest... naprawdę wkurzony. Hope zbudziła go przypadkiem i zupełnie mu odwaliło. Weszła między nas i ja uciekłam. Mikey, już jej nie słyszę od dłuższego czasu. Boję się

— zachlipała Destiny. — Dlaczego jej nie słyszę?

Biegłem już w górę, pokonując po dwa schody na raz. Byłem zanadto skupiony na sytuacji, by jej przypominać, że nie

powinna mnie tak nazywać. Michael Arch zginął, gdy miał trzynaście lat.

Wpadłem do środka przez frontowe drzwi z wyciągniętą bronią i omiotłem wzrokiem pokój.

Nie byłem jednak jedyną osobą w tym domu, która posiadała broń. Za kuchenną wyspą stał mężczyzna i zrzucał na podłogę talerz za talerzem. W prawej dłoni trzymał rewolwer.

— Pieprzona suka. Powinnaś już się nauczyć, by nie hałasować, gdy śpię. — Zrzucił na ziemię kolejny talerz.

Destiny miała rację. Nie słyszałem Hope i nie zamierzałem oddawać strzału, dopóki nie upewniłbym się, gdzie jest, mimo że niczego nie pragnąłem bardziej, niż wpakować gnojowi

kulkę w łeb za to, jak nastraszył Destiny.

— Odwróć się, dupku.

Zatoczył się pijacko, unosząc stary rewolwer, którzy wymierzył we mnie, trzymając go kolbą w bok w gangsterskim stylu.

Pieprzony idiota.

— Kim, do kurwy, jesteś?

— Gdzie, do diabła, jest Hope?

— To nie twój zaszraniony interes.

Unióś drugą rękę i odciągnął kurek i wtedy zauważyłem, że z pistoletu skapuje coś ciemnego.

Krew. Dość się jej w życiu naoglądałem, by z łatwością ją rozpoznać.

— Odłóż ten pierdolony pistolet i to już albo cię nie zastrzelę.

Będę cię obdzierał żywcem ze skóry, podczas gdy ty będziesz błagał o litość.

— Nie mów do mnie w ten sposób. Jesteś gorszy niż ta wyszczekana suka, jednak udało mi się zamknąć jej pysk.

Ruszyłem w jego stronę i z każdym krokiem czułem narastający smród starego potu, niemytego ciała i alkoholu.

— Co ty, kurwa, wyprawiasz?!

Pociągnąłem za spust mojego rewolweru, zanim skończył zdanie. Wrzasnął, wypuszczając pistolet z okaleczonego, bezwładnego kikuta, który kiedyś był jego dłonią. Pistolet uderzył o ziemię i wypalił. *Kurwa mać. To nie powinno być możliwe.*

— Kurwa mać, strzeliłeś do mnie! — wrzeszczał, wymachując okaleczoną ręką i obficie brocząc krwią, po czym spojrzał w dół. — I do niej!

Moje serce, czarna bryła węgla w piersi, przestało na chwilę bić.

— Co takiego?

Rzuciłem się za blat i znalazłem Hope leżącą twarzą do dołu, zwiniętą w kłębek, tak jakby chroniła się przed kopnięciami z jego strony. Potłuczone talerze pokrywały podłogę, krew kapiała z niewielkich skaleczeń na jej rękach i nogach. Ale to nie było wszystko.

Destiny wpadła do domu, trzymając w dłoniach kij bejsbolowy.

Pieprzony Louisville Slugger. Nie ten sam, którego ja użyłem, ale i tak podobny do narzędzia mojego pierwszego morderstwa.

— Nie pozwól mu jej znowu skrzywdzić! — krzyknęła od drzwi,

gotowa się rzucić w obronie swojej starszej siostry.

Nie wiem, czy to moja obecność dała jej odwagę, czy też musiała to już robić wcześniej. Słowo *znowu* odbiło się echem w mojej głowie. Nie mogłem oderwać wzroku od ogromnej dziury w piersi Hope i od jej mokrych od krwi włosów. Jej głowa wyglądała, jakby uderzył ją w nią pistoletem. Z obydwu ran płynęła krew, rozlewając się wokół jej ciała. Jej pierś nie poruszała się.

— Zadarłeś z niewłaściwymi kobietami, dupku.

Wystrzeliłem i większa część jego drugiej dłoni zniknęła.

Destiny rzuciła się w stronę kuchni. Chwyciłem ją w pasie, próbując ją powstrzymać od zobaczenia tego, na co patrzyłem ja.

Nie chciałem, by zobaczyła martwe ciało swojej siostry.

Nie miałem wątpliwości, że Hope nie żyje.

Jedyne, czego nie byłem pewny, to kto ją zabił — czy ten gnój, który teraz wił się na podłodze obok niej z dwoma krwawymi zakończeniami rąk, czy ja, wytrącając mu strzałę z ręki.

Sama ta możliwość sprawiała, że żołądek mi się skręcał.

Tak cholernie mi przykro, Hope.

Na chwilę się rozproszyłem i zwinna Destiny zdołała wyślizgnąć

się z moich objęć.

— Desi, nie! — Chwyciłem ją znowu, gdy jej bosa stopa wylądowała na odłamku szkła. Wziąłem ją na ręce i

przycisnąłem jej twarz do piersi.

— Puść mnie!

— Nie, nie musisz tego widzieć.

— Ale Hope...

— Hope nie żyje, Desi. Tak bardzo mi przykro. — Głos mi zachrypł od emocji, jakich nie czułem od lat.

— Nie! — krzyknęła, gdy wyniosłem ją z domu, czując, jak jej łyzy moczą mi koszulę. Jej krzyki przekształciły się w łamiący serce szloch. — Proszę, nie. Nie, nie.

Destiny omdlała mi w ramionach, jednak gdy zaniósłem ją do samochodu i posadziłem na przednim siedzeniu, znowu się

ożywiła i zaczęła mnie drapać, próbując się dostać z powrotem do domu i do Hope.

Chwyciłem jej chude ramiona i potrząsałem, by zwróciła na mnie uwagę.

— Nie wracasz tam, rozumiesz mnie?

— Mikey...

— Mount — poprawiłem ją odruchowo, bo najwyraźniej nie

potrafiła zapomnieć o przeszłości. Cóż, żadne z nas nie miało nigdy zapomnieć dzisiejszego dnia.

— Hope...

Spojrzałem w jej załzawione oczy.

— Opanuj się, Desi. Już. Hope nie ma.

— Nie może być martwa. — W głosie Destiny brzmiał taki ból, że poczułem, iż moje własne stwardniałe serce rwie się na kawałki. Pociągnęła nosem i objęła ramionami swoje kolana, zwijając się w kulkę na przednim siedzeniu i kołysząc w przód i w tył.

— Cholernie mi przykro, ale tak właśnie jest. Ale ty żyjesz i teraz musimy stąd wypierdalać. Zajmę się tobą, tak samo jak zawsze to robiłem, Desi. Rozumiesz?

Nie przestając się kołysać, skinęła głową. Przestała płakać i przygryzła wargę. Była niesamowicie silna, skoro już jako nastolatka tak szybko potrafiła odciąć się od swoich uczuć.

— Proszę, nie zostawiaj jej tam z nim — błagała. — Proszę.

— Nie martw się, nie zostawię jej. Nigdy jej nie zostawiłem. Czy możesz być silna dla mnie?

— Tak, tylko ją zabierz.

— Oddychaj, Desi.

Znowu skinęła głową. Nadal się kołysała, jednak teraz wzięła głęboki oddech.

Zamknąłem drzwiczki i ruszyłem w kierunku szopy znajdującej się obok. W ciągu niespełna trzydziestu sekund znalazłem pojemnik z benzyną. Wbiegłem do domu, wszedłem na górę i polałem benzyną wszystko, oprócz narzuty na łóżko, którą zerwałem z niego. Zbiegłem na dół po schodach i uważnie owinałem w nią ciało Hope.

Gnojek leżący obok niej stracił już przytomność. Nigdy nie miałem się dowiedzieć, co dokładnie się tam wydarzyło przed moim przybyciem, jednak teraz to już nie miało znaczenia.

Wyjąłem zippo z kieszeni, wziąłem na ręce ciało Hope i ruszyłem do drzwi. Zanim zatrzasnąłem je za sobą, zapaliłem

zapalniczkę i rzuciłem ją na podłogę salonu. Benzyna zaczęła się palić. Ruszyłem do auta, czując na plecach żar pożaru.

Przez okno samochodu widziałem przerażoną twarz Destiny.

Uniosłem ciało Hope wyżej, otworzyłem tylne drzwiczki i ułożyłem ją na siedzeniu.

— Nie waż się tam patrzeć, Desi.

Gwałtownie odwróciła się do przodu, gdy zamknąłem tylne drzwiczki, po czym obszedłem samochód, zasiadłem za kierownicą i przekręciłem kluczyk w stacyjce.

— Nie będziesz już chodzić na Uniwersytet Stanowy Luizjany, Desi. Wyjedziesz dużo dalej z tego miasta.

Słyszałem z oddali dźwięk syren i wcisnąłem mocniej gaz, pędząc po popękanej ulicy i zostawiając za sobą płonący dom.

Destiny pociągnęła nosem, opanowując swój smutek tak samo, jak ja tłumilem swój.

— Chcę zostać z tobą.

Nie patrząc na nią, przejechałem przez skrzyżowanie, ignorując znak stopu.

— Nie. Nie ma takiej możliwości. Wybierz, jaką chcesz uczelnię, a załatwię, byś się tam dostała. Ale nie możesz tu zostać. Chcę, byś znalazła się tak daleko ode mnie, jak to możliwe.

Prawie już dojeżdżaliśmy do Dzielnicy Francuskiej, gdy Destiny wreszcie się odezwała.

—

Słyszałam,

że

MIT

ma

naprawdę

dobry

wydział

informatyczny.

Odwróciłem się i spojrzałem na nią. Twarda jak sam skurwysyn.

Kolejny kwiat, który wyrósł między pęknięciami chodnika.

— W takim razie pójdziesz na MIT.

Nigdy więcej nie rozmawialiśmy o Hope. Zanim wysłałem

Destiny na MIT, próbowałem z nią poruszyć temat siostry, ale Destiny całkowicie zamknęła się w sobie, jakby coś w niej pękło jak w zabawce.

Nigdy jej nie powiedziałem, że pochowałem Hope w mauzoleum

poza miastem i że pilnowałem, by w rocznicę swoich urodzin i śmierci miała zawsze świeże kwiaty.

Nie powiedziałem też Destiny, że nigdy nie wybaczyłem sobie tego, co się stało tego dnia. Że nie potrafiłem ich ochronić, nie dotarłem tam wcześniej, że nie wiedziałem, czy to ja zabiłem Hope.

Skupiłem się na przyszłości i upewnianiu się, że los Destiny jest zabezpieczony. Tylko tyle mogłem zrobić.

40.

Keira

Teraźniejszość

Walczę z ciemnością i otwieram oczy. Ból przeszywa całe moje ciało i jest o wiele gorszy niż po wypadku samochodowym.

Jedynym źródłem światła w krypcie jest księżyc w pełni, który prześwieca przez pęknięcia w murze w jednym z rogów. Nie wystarcza, by dokładnie oświetlić potworny widok wokół mnie, jednak wciąż czuję smród rozkładu.

— Mags? — Głos mi się łamie. Szykuję się na ból i wyciągam rękę, by jej dotknąć. — Mags, nie możesz być martwa. Proszę.

Ostatnie nasze słowa padły w gniewie i nie mogę z tym żyć.

O ile w ogóle jeszcze będę żyć.

Obawiam się, na co natrafią moje palce. Ostrożnie przeciągam nimi po jedwabnym materiale jej kimona, aż wreszcie natrafiam na skórę na jej szyi.

Wciąż jest ciepła.

— Mags! — Tym razem krzyczę jej imię, jednak nie ma żadnej odpowiedzi.

Nie wiem, ile czasu potrzeba, by ciało ostygło po tym, jak ucieknie z niego życie, ale nie chcę wierzyć, że właśnie to nastąpiło w tym przypadku.

— Nie możesz być martwa, Magnolio Marie. Nie zgadzam się na to.

Lewe ramię pulsuje mi z każdym uderzeniem serca, mówiąc mi, że krew ucieka z mojego ciała. Muszę zatamować krwawienie, jednak najpierw chcę się dowiedzieć, czy Magnolia żyje.

Odnajduję tętnicę szyjną i zamykam oczy, starając się wyprzeć własny ból. Modlę się w duchu, by odnaleźć oznaki życia.

Na początku nie czuję nic. Potem jednak... *Jest*. Nitkowaty... To chyba jest to słowo, którego używają w programach o pogotowiu ratunkowym, prawda? Ale ona żyje.

— Mags! Obudź się, do cholery! — Sięgam ręką do jej twarzy, pragnąc, by coś odpowiedziała, ale nie robi tego.

Siedzę w cichym grobowcu, otoczona ciałami kobiet, które jak sądzę, są zaginionymi kochankami Lachlana. Może jest wśród nich nawet Richelle LaFleur.

Ale jak to możliwe?

Lachlan Mount, człowiek, za którego wyszłam, nigdy nie zabiłby niewinnej kobiety. Ale ta blond suka? Brzmiała jak kompletna wariatka.

Kim, do diabła, ona w ogóle jest?

— Zostań ze mną, Mags — szepczę. Oddzieram lewy rękaw bluzki, by przyłożyć go do ramienia. Krew przedostaje się przez materiał w ciągu kilku sekund.

Wykrwawiam się. Nie wiem, skąd to wiem, ale tak jest.

Jeśli umrę, Magnolia umrze razem ze mną. Nie mogę znieść tej myśli.

Próbuję odepchnąć się i wstać, zdeterminowana, by znaleźć jakąś drogę wyjścia dla nas obu, jednak ból przeszywa moje ciało, a przed oczami zaczynają mi tańczyć czarne plamki.

Osuwam się z powrotem w dół, w okropną płataninę ciał, które odpowiadają chrzęstem i mlaskaniem.

Nie, muszę spróbować jeszcze raz. Moje zapasy sił topnieją z każdą chwilą, gdy ból zalewa mi zmysły.

Czuję, że znowu osuwam się w nieświadomość, ale przedtem mam jeszcze jedną składną myśl.

Lachlan spali to miasto do gołej ziemi, jeśli cokolwiek mi się stanie.

41.

Mount

Znam miejsce, które wskazują koordynaty GPS, aż za dobrze.

To nie ma sensu... albo może ma go zbyt wiele.

To niemożliwe.

Odsuwam się od biurka i wyciągam pistolet z szuflady.

— Co robisz? — pyta J., moja prawa ręka.

— Zamierzam odnaleźć moją żonę.

— Ożeniłeś się z tą dziwką?

Te słowa sprawiają, że nagle wszystko staje się jasne jak słońce.

Spoglądam na twarz J.

— Uważaj na to, jak o niej mówisz, do kurwy nędzy, i powiedz mi, co do cholery zrobiłaś. — Wymierzam w nią pistolet.

J. wróciła do mnie po czterech latach studiów z podwójnym dyplomem z MIT. W weekendy i w czasie wolnym od nauki brała udział w szkoleniu z zakresu sztuk walki, które zazwyczaj zarezerwowane jest dla profesjonalnych pracowników ochrony.

Gdy zażądała miejsca w mojej organizacji, powiedziała o sobie,

że jest sprawdzona w boju. Twierdziła też, że Nowy Orlean to jej dom, a ja jestem jej jedyną rodziną.

Powiedziałem jej, że jeśli pozwolę jej zostać, nikt nigdy się nie dowie, kim jest. I że tak samo jak wszyscy inni w mojej organizacji, będzie funkcjonować jedynie pod jednoliterowym kryptonimem. Była to pierwsza litera jej nazwiska — Jones.

— Jak mogłeś się z nią ożenić? — Jej wrzask odbija się od ścian.

— Co zrobiłaś, J.?

— Mów do mnie Destiny, do cholery!

Kołysze się na piętach w przód i w tył. Wygląda jak ta skrzywdzona dziewczynka, którą wtedy znalazłem pod

schodami, ale nie mogę teraz o tym myśleć. Teraz instynkt podpowiada mi, że to ona stoi za tym wszystkim.

— Jeśli w ciągu najbliższych dwóch sekund nie powiesz mi, co zrobiłaś z Keirą, zabiję cię, tak jak stoisz, i nasza przeszłość cię nie uratuje.

Na jej twarzy odbija się niedowierzanie i poczucie zdrady, po czym jej spojrzenie kamienieje.

— Zrobiłam to, co musiałam.

— Jeśli tknęłaś ją choćby palcem, to przysięgam na Boga...

— Co? Zabijesz mnie, Mikey? Po wszystkich tych latach?

Stała nam na drodze. One wszystkie stały nam na drodze, więc zajmowałam się nimi, jak tylko ci się znudziły, tak by nie zostawiać spraw niezakończonych. A potem ta pierdolona

burdelmama przesadziła i podsunęła ci kobietę, która nie była dziwką. Przynajmniej na początku. Powinna wiedzieć, że nie może cię oszukiwać. Nikt nie może tego zrobić i przeżyć.

— Coś ty jej zrobiła? — warczę.

— Nie miałeś jej pokochać. Miałeś pokochać tylko mnie! Więc pogrzebałam ją tak samo jak inne!

Mój ryk wypełnia pokój, gdy pociągam za spust. Kula trafia w jej rękę. J. krzyczy, gdy z jej dłoni zaczyna tryskać krew.

Do pokoju wpada D., spoglądając raz na mnie, raz na J.

— Szefie?

— Zamknij J. Nie trać jej z oczu nawet na chwilę albo zabiję was oboje. Z. i ja jedziemy odnaleźć moją żonę i módlcie się, żeby jeszcze żyła.

42.

Keira

Tracę poczucie czasu. Co chwilę budzę się i walczę, by nie stracić na nowo przytomności. Krzyczę, aż odbiera mi głos. Nie jestem w stanie znaleźć żadnych ran na ciele Magnolii.

Przytulam się do niej. Żadna z nas nie wytrzyma już długo.

Ryk silnika zwraca moją uwagę na świat znajdujący się poza tym grobowcem, w którym miałam umrzeć.

Krzyczę i przyciągam głowę Magnolii do swojej piersi. Moje palce natrafiają na coś ostrego.

Jej długie szpilki do włosów.

Wyszarpuję jedną z nich i mocno zaciskam ją w prawej dłoni.

Jeśli ta suka postanowiła tu wrócić, to czeka ją śmierć.

Moje myśli są splątane, a ciało reaguje bólem, gdy próbuję wstać.

Pode mną trzaskają kości, znowu dławię się od smrodu rozkładu. Nie zapomnę tego do końca życia, niezależnie od tego, ile mi go zostanie.

— Pomocy! — krzyczę łamiącym się głosem. Tracę równowagę i

padam do przodu, lądując twarzą na jakimś truchle. Srebrna szpilka wypada mi z dłoni.

Zawiasy drwi skrzypią metalicznie, gdy ciężkie drewniane skrzydło przesuwa się.

Mój plan zakładał, że wstanę ze sterty zwłok i dziabnę tę opętaną sukę prosto w serce, ale straciłam moją jedyną broń.

— Trzymaj się. Trzymaj się, do cholery. Nie waż mi się umierać, Keiro!

To głos Lachlana.

Czy znowu śnię?

Nie jestem już stanie rozróżnić rzeczywistości od koszmarów.

Przynajmniej do momentu, gdy unoszę głowę i oślepia mnie światło latarki.

— Keiro!

— Lachlan?

Wyciąga dłoń i chwyta moją.

— Nie umieraj mi, diaboliczko. Nie teraz. Ani nigdy.

Mrugam, a jego spanikowane spojrzenie przeszywa mnie do głębi. Czuję, że znowu zapadam się w ciemność, czarne plamki tańczą mi przed oczami i jestem w stanie wykrztusić tylko jedną prośbę.

— Mags. Uratuj też Mags.

43.

Mount

Strach. To uczucie, którego nie znam od lat, a teraz chwyta mnie w swe szpony niczym demon z piekła, gdy widzę, jak oczy

Keiry uciekają do tyłu. Ściągam ją ze stosu martwych ciał w mauzoleum Hope.

Nie mogę zrozumieć, co widzę. To, kurwa, niemożliwe. J. nie mogła tego zrobić. *A może jednak mogła?*

Zdzieram z siebie marynarkę, tamując nią płynącą krew Keiry.

Mags. Keira powiedziała jej imię, nim zemdląła, więc krzyczę na Z.

— Sprawdź, czy madam tu jest. Ja dzwonię na pogotowie.

W ciągu trzydziestu lat ani razu nie byłem w szpitalu ani nie wzywałem policji na pomoc. Jednak dla Keiry zrobiłbym wszystko.

Głos operatorki brzmi dla mnie jak głos robota, ale może to przez krew, która szumi mi uszach. Uciskam ranę na ramieniu

Keiry.

Muszę zachować spokój. Jedna część mnie ogarnięta jest

paniką, że moja żona wykrwawi się zaraz na moich rękach, druga spokojnie recytuje koordynaty GPS i rzuca groźby, w razie gdyby pogotowie nie dotarło na czas. Gdy dyspozytorka każe mi pozostać na linii, rozłączam się i dzwonię po wsparcie.

V. odbiera połączenie, jednak nie odzywa się.

— Mam ją i nie zamierzam jej stracić. — Podaję mu lokalizację tak samo, jak przed chwilą pogotowiu.

Rozłączam się, gdy Z. wychodzi z grobowca, trzymając w ramionach bezwładne ciało Magnolii.

— Nie żyje?

— Żyje, ale ledwo — odpowiada, kładąc ją na ziemi obok Keiry i badając puls.

— *Kurwa!*

Pierwszy raz w życiu modłę się, by syreny były głośniejsze i pomoc nadeszła szybciej, bo cały mój świat wali się wokół mnie.

Krew Keiry w świetle księżyca wygląda na niemal czarną, gdy plami trawę wokół jej ciała, choć nie przestaję uciskać rany.

— To się nie dzieje naprawdę! Musisz przeżyć, do cholery! Nie zostawiaj mnie, do kurwy! Kocham cię!

44.

Mount

Sądziłem, że system opieki zastępczej lub życie na ulicy to piekło. Myliłem się. Piekłem jest poczekalnia w szpitalu, gdy siedzi się w niej, nie wiedząc, czy jedyna kobieta, jaką się w życiu kochało, przeżyje czy umrze.

Oferuję wszystko, co mam — włącznie z moim parszywym życiem — Bogu, diabłu i każdej sile wyższej, która mnie słucha, byle tylko ona *przeżyła*.

Dlaczego nie weźmiecie mnie? To ja jestem gnojkiem, który nie zasługuje nawet na to, by mógł dotknąć kogoś takiego jak ona.

Może niektóre dusze są tak czarne, że nawet piekło ich nie chce.

Padam na kolana i po raz pierwszy od trzydziestu lat czuję, jak łzy spływają mi po policzkach, gdy zaczynam się modlić.

45.

Keira

— Obudź się, skarbie. Po prostu otwórz dla mnie oczy. Proszę, Keiro. — Głos przenika do mojej świadomości.

Moje powieki są ciężkie. Wciągam powietrze, jednak czuję ogromny ciężar w klatce piersiowej.

— Uch.

— Keiro! Skarbie! Wróć do nas, proszę.

Czyjaś dłoń chwyta moją i ściska. Zmuszam się, by otworzyć oczy, jednak obraz, który dostrzegam, jest nieostry.

Mam ochotę spytać, co się stało, jednak zamiast tego bełkoczę.

— Coszstało?

— Wszystko w porządku. Wyzdrowiejesz, Keiro. Wszystko dobrze.

Gardło mnie boli. Bark mnie boli. Głowa mi pęka. *Właściwie wszystko mnie boli.* Mam wrażenie, że już nigdy nie będę miała ochoty się poruszyć.

Przysięgam, że już wcześniej się tak czułam.

Białe ściany. Zapach środków odkażających. Pikanie urządzeń.

Czy ja śnię?

Głos w mojej głowie wrzeszczy, bym się obudziła, do diabła.

Mrugam dwa razy i wreszcie zaczynam widzieć wszystko ostrzej.

Jednak twarz, którą widzę przed sobą, nie jest tą, którą spodziewałam się zobaczyć.

Unoszę się na szpitalnym łóżku, obracając głowę w lewo i w

prawo. Tym razem nie widzę obok siebie drugiego pustego łóżka.

Próbuję się zmusić do wydobycia kolejnych dźwięków z obolałego gardła, jednak kończy się jedynie na schrypniętym jęku.

Gdzie on jest? To pierwsza myśl, która przychodzi mi do głowy.

Gdzie jest Lachlan?

Jednak na głos mówię co innego.

— Mama?

— Dzięki Bogu. Nigdy więcej nas tak nie strasz. — Jej zielone oczy, odrobinę ciemniejsze niż moje, wypełniają się łzami.

Wygląda, jakby się postarzała o lata, odkąd ją ostatnio widziałam.

— Słodki Jezu. Dzięki ci, Panie. — Słyszę głęboki głos mojego ojca i po chwili on sam pojawia się w moim polu widzenia.

— Tata? — To nie ma sensu. *Jak moi rodzice się tu dostali?*

I gdzie jest Lachlan? — Jak...?

— Ciii, skarbie. Nic nie mów. Byłaś pod narkozą przez długie godziny, musieli cię operować. Mówili, że gardło będzie cię bolało po intubacji. Jezu Chryste, gdy dostaliśmy telefon od firmy

ochroniarskiej

po

uruchomieniu

alarmu

przeciwpozarowego, a potem nie odbierałaś telefonu... a potem kilka godzin później Millie zadzwoniła, że przywieźli cię tu samą karetką...

Samą?

— Złamaliśmy wszystkie możliwe przepisy, próbując tu dotrzeć jak najszybciej — mówi dalej mama łamiącym się głosem. —

Powiedziała, że nie wiadomo, czy przeżyjesz.

Millie? Czuję ociężałość umysłu, gdy rozglądam się po pomieszczeniu, szukając twarzy, którą potrzebuję zobaczyć, jednak wiem, że tu jej nie znajdę.

Millie. Kuzynka mojej mamy, która pracuje jako pielęgniarka na pogotowiu. To wyjaśnia, skąd moi rodzice dowiedzieli się o tym... Ale „przywieźli mnie tu samą”?

— Co się stało? — pytam znowu, czując jak mgła wywołana lekami, jakimi mnie naszprycowali, zasnuwa mi myśli. —

Gdzie...?

— Zostałaś postrzelona — mówi mój ojciec. — Załoga karetki, jak i sama karetka, która cię tu przywiozła, gdzieś zaginęli. Co, u diabła, ci się przydarzyło, dziewczyno? — W głosie mojego ojca słyszę gniew i lęk. Od wielu lat nie widziałam, by okazywał tak silne emocje.

Gdy przełykam ślinę i czuję piekące wargi, moja mama rusza do działania.

— Woda. Potrzebujesz wody. — Przykłada mi do ust zgiętą słomkę, zanim zdążam odpowiedzieć.

Pociągam łyk wody, która przynosi ulgę mojemu rozpalonemu gardłu.

— Postrzelona?

— Cii, kochanie. Wszystko w porządku. Teraz nie musisz się niczym martwić. Po prostu... odpoczywaj. Jesteśmy szczęśliwi, że znowu zobaczyliśmy twoje piękne oczy. Zadzwońię po pielęgniarkę.

— Muszę się dowiedzieć, kto u diabła skrzywdził moją małą dziewczynkę, tak by wyjąć strzelbę, łopatę i załatwić tę sprawę

— mówi szorstko mój ojciec i to przywraca mnie nieco do przytomności.

— Nie mam pojęcia — mamrocę i przymykam oczy. Powieki nadal mi ciążą.

— Powiedz cokolwiek. Imię. Miejsce. Kolor włosów. Sam ich wytropię.

— Ciii, Davidzie. Przestań.

— Nie mów mi, że mam przestać, Kath. Ktoś postrzelił moją małą dziewczynkę.

Mam zamknięte oczy. Moi rodzice sprzeczą się przyciszonymi głosami. Płuca nabierają powietrza w kolejnych płytkich

oddechach. Skupiam się na tym, bo nic innego nie ma sensu.

Moje wspomnienia są mgliste, jeszcze gorzej niż tego poranka, gdy obudziłam się w Dublinie.

Dublin.

Zatańcz ze mną, Lachlan. Zatańcz ze mną w Dublinie.

— Gdzie on jest? — chrypię niczym ropucha z bagien.

— Kto? — dopytuje się mój ojciec. — Człowiek, który to zrobił?

Próbuję potrząsnąć głową, jednak poruszanie nią sprawia, że robi mi się słabo. *Czy moja głowa jest zabandażowana?*

Próbuję podnieść rękę, by sprawdzić, lecz moje ramię jest zbyt ciężkie... Nie, jest przywiązane.

— Co się stało? — pytam znowu, patrząc na temblak obwiązany wokół mojego ramienia.

— Tego właśnie usiłujemy się od ciebie dowiedzieć.

Ciała. Magnolia. O mój Boże.

— Mags?

— Czy ona miała coś z tym wspólnego? — Głos mojej mamy unosi się o oktawę. — Czy jest w to jakoś zamieszana?

Na szczęście nie muszę odpowiadać, bo w tym momencie otwierają się drzwi i do pomieszczenia wchodzi kilka osób.

— Pani Kilgore, cieszę się, że się pani obudziła. Jak się pani czuje? — pyta kobieta o blond włosach i spinam się.

Blond. Mój oddech przyspiesza.

— Kim pani jest? — pytam zdyszana.

— To lekarka, kochanie. Była tu przez cały czas. A to Millie.

Czuwała razem z nami przy tobie bez przerwy.

Wpatruję się w blondynkę, czując, jak moje ciało wchodzi w tryb walki lub ucieczki... a właściwie to bardziej ucieczki. *Czy to ona?* Moje wspomnienia wciąż są fragmentaryczne, więc nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Moje dłonie zaciskają się w pięści, ale nie mam żadnej broni. Niczego, co zapewniłoby mi bezpieczeństwo.

To lekarka. Tak powiedziała moja mama, ale nie mogę nikomu ufać. Nie teraz. *Gdzie jest Lachlan?*

Spoglądam poza blondynkę, spodziewając się napotkać wpatrzone we mnie ciemne oczy, ale widzę jedynie pulchną, uśmiechniętą brunetkę.

— Dobrze widzieć, że się obudziłaś, Keiro — mówi Millie.

— Czy możesz powiedzieć, jak się czujesz? — pyta lekarka.

— Zmęczona. Obolała — odpowiadam krótko. To, że jej nie ufam, to jedno, ale też mam wrażenie, że mój mózg nie funkcjonuje prawidłowo.

— Wyobrażam sobie. Zostałaś postrzelona, doznałaś też urazu głowy. Czy pamiętasz, co się stało?

Potrząsam głową, po raz kolejny przekonując się, że to zły pomysł. Kręci mi się w głowie i przypomina mi się poprzedni raz, gdy się obudziłam w szpitalnych warunkach.

— Nic nie pamiętam — mówię jej. Nie muszę się nawet wysilać,

by zabrzmiało to przekonująco. Mój głos brzmi słabo i chrypliwie.

— Czy ona cierpi na amnezję? — wypala moja matka.

— Możliwa jest częściowa utrata pamięci związana z urazem głowy.

Chcę powiedzieć mamie, że nie mam amnezji, tylko nie potrafię połączyć fragmentów wspomnień dryfujących mi w głowie w spójną całość, ponieważ bez pewnego mężczyzny, który

powinien tu być, nic nie ma sensu. Zwijam lewą dłoń w pięść, kładę ją sobie na piersi i nieruchomieję, spoglądając w dół.

Nie mam obrączki. Unoszę prawą rękę do szyi. Ani naszyjnika.

Lekarka rozmawia z moimi rodzicami, jednak nie słucham ich wcale, bo w mojej czaszce zaczyna się tłuc przerażająca wątpliwość.

Czy ja to sobie wszystko wyobraziłam? Czy dlatego go tu nie ma? Czy Lachlan Mount to wytwór mojej wyobraźni?

Nie, to niemożliwe. Jest prawdziwy. To, co nas łączy, jest prawdziwe. *On nie jest duchem. Jest rzeczywisty. Prawda?*

Rozglądam się po pokoju, czując szum krwi w uszach, która zagłusza wszystko poza moimi myślami.

— Co się stało? — pytam znowu i wszyscy wokół mnie milkną.

— Tego właśnie naprawdę chcielibyśmy się dowiedzieć, Keiro —

mówi lekarka. — Nie zmuszaj się do niczego, odpoczywaj.

Niektóre

wspomnienia

powinny

wrócić,

gdy

pozwołisz

umysłowi odprężyć się i odpocząć.

— Jest pani pewna? — W głosie mojej mamy brzmi panika, jednak ja też potrzebuję odpowiedzi.

Lekarka milknie na chwilę.

— Możliwe, że nie będzie pamiętała wszystkiego. Musimy poczekać i zobaczymy.

— Poczekać? Zobaczymy? Ktoś postrzelił moją córeczkę!

— Davidzie! — syczy moja mama i ojciec milknie.

Wszyscy zaczynają się krzątać wokół mnie. Mierzą mi ciśnienie,

liczą oddechy, pobierają krew... i pozwalam sobie znowu zamknąć oczy.

Gdy budzę się następnym razem, moja mama nadal jest przy mnie, jednak nie widzę taty. Tym razem mniej mi się kręci w głowie, jednak nadal jestem zdezorientowana, ponieważ mężczyzny, którego pragnę zobaczyć, wciąż nie ma w pokoju.

Nie mogę o niego zapytać. Moja mama nie wie nawet, że Lachlan Mount istnieje.

Ale ja wiem. Jest prawdziwy. Jestem tego pewna. Więc gdzie on jest?

— Skarbie, napij się jeszcze wody. — Mama znowu przykłada mi

do ust zgiętą słomkę i pociągam łyk płynu. — Twój tata odchodzi od zmysłów.

— Przepraszam.

— Ciii, to nie twoja wina. Nie prosiłaś, by ktoś do ciebie strzelał, jestem tego pewna. Jednak policja czeka i ma mnóstwo pytań, na które nie znamy odpowiedzi. A poza tym...

— Co? — pytam, patrząc jej w oczy

— Pożar w magazynie. Znaleźli twoją asystentkę...

— Temperance! Czy nic jej nie jest?

Jak, u licha, mogłam o niej zapomnieć?

— Ciii, nie denerwuj się. Nic jej nie jest. Ktoś uderzył ją w głowę. Strażacy znaleźli ją nieprzytomną we wnętrzu budynku, gdy wyważyli drzwi.

— O mój Boże. — Serce obija mi się o żebra, gdy myślę o tym, co mogło się jej stać. — Ale nic jej nie jest? — Czuję palące łyzy. To wszystko moja wina. Temperance mogła zginąć i to byłaby moja wina.

— Wszystko w porządku, nawdychała się dymu, ale na

szczęście dotarli do niej na czas. Zatrzymali ją na noc na obserwację, ale następnego ranka wypuścili ze szpitala i od tej pory czuwała razem z nami.

Następnego ranka? *Ile czasu minęło?*

— Jak długo jestem w szpitalu?

— Spałaś i budziłaś się przed dwa ostatnie dni, skarbie.

— Dwa dni?

Moja mama kiwa głową.

— Czekala przy twoim łóżku razem z tatą i ze mną. To dobra przyjaciółka.

Przyjaciółka. To słowo uruchamia kolejne wspomnienie w moim umyśle.

— Magnolia — wyrzucam z siebie. — Czy ona... czy ona... —

Nie mogę mówić dalej, lecz pamiętam jej gładką skórę i słaby puls pod moimi palcami.

Wargi mojej mamy drżą.

— Jest w śpiączce, Keiro. Nie wiadomo, czy przeżyje.

Zaciskam oczy.

— Nie, nie, nie. Ona nie może... My... Muszę z nią porozmawiać. Ona nie może...

— Ciii, wszystko w porządku. My też się za nią modlimy. Jest pod opieką lekarzy. Ja też do niej zaglądałam, wiedziałam, że tego byś pragnęła.

Niezależnie od tego, co Magnolia zrobiła, nie mogę pogodzić się z tym, że ostatnie słowa, jakimi zwróciłam się do mojej przyjaciółki, pełne były gniewu. Rozdarcie emocjonalne, które odczuwam, sprawia, że łzy napływają mi do oczu i mam ochotę błagać, by ktoś powiedział mi, gdzie jest Lachlan, lecz wiem, że nie mogę tego zrobić.

Do pokoju wchodzi mój tata, a za nim Temperance. Za nimi idzie dwóch funkcjonariuszy policji.

— Keira! — Temperance biegnie do mojego łóżka, wymijając po

drodze mojego ojca. — Och, dzięki Bogu, obudziłaś się.

— Tak bardzo cię przepraszam — mówię jej.

— Za co? To nie była twoja wina.

Tutaj się myli. Mimo że moje ciało jest obolałe, a mózg nie funkcjonuje jak trzeba, wiem, że to w stu procentach moja wina. Nic by nie groziło Temperance, gdyby nie ja.

— Pani Kilgore, czy może pani odpowiedzieć nam na kilka pytań?

— Nie teraz, panowie. — Do pokoju wchodzi pielęgniarzka.

Kieruje się w moją stronę, znowu gotowa mnie szturchać i nakłuwać, czy co tam jeszcze ze mną robili przez ostatnie kilka dni. — Musicie pozwolić jej odpoczywać.

— Z całym szacunkiem, droga pani, potrzebujemy, by
odpowiedziała na kilka pytań, byśmy mogli dalej prowadzić śledztwo.

Temperance rusza w ich stronę.

— Nie sądzicie, że macie dość roboty, by wspólnie ze strażą
pożarną rozstrzygnąć, kto wywołał pożar w naszym magazynie?

Bo o ile mi wiadomo, na razie nie macie na to odpowiedzi. Albo
kto uderzył mnie w głowę? Może najpierw tym się zajmiecie?

— Proszę pani, to nie nasza wina, że wasze kamery nie działały
prawidłowo.

— Co? Jak? — pytam.

— Przykro nam, proszę pani, ale nie wiemy — mówi jeden z
policjantów. — Ustalono, że to było podpalenie, ale nie wiemy
nic o motywie.

— To lepiej się tym zajmijcie, bo jak już mówiłam, my nie
mamy

z tym nic wspólnego — mówi Temperance ostrym tonem. —

Potrzebujemy każdej cholernej beczki, by móc zrealizować

zamówienia, które już mamy. Jeśli więc sądzicie, że motywem mogła być chęć wyłudzenia ubezpieczenia, to czas wrócić do szkoły policyjnej.

— Nic takiego nie sugerowaliśmy...

— Oczywiście, że nie — wtrąca się mój ojciec — Bo ani żaden z Kilgore'ów ani żaden pracownik Seven Sinners nigdy nie pozwoliłby, by cokolwiek się stało z tą whiskey. To nasza krew.

Nasze dziedzictwo. Nasze korzenie. — Mój ojciec kiwa z uznaniem głową Temperance, tak jakby stanowili zespół.

Czuję znowu ukłucie winy, bo wiem, że to ja wywołałam cały ten

ciąg wydarzeń. Żadne z nich nie wie...

— Przepraszam, tato...

Odwraca się, by spojrzeć na mnie.

— To nie jest twoja wina. Ktokolwiek za tym stoi, zapłaci za to.

Dopilnujemy tego.

Mrugam, znowu czując napływające do oczu łzy. Człowiek, który mógłby odpowiedzieć na każde z tych pytań, zniknął.

Czy ta blondynka stała za tym wszystkim? Przypominam sobie jakieś fragmenty spotkania z nią. *Jego przeznaczenie*. Kim ona w ogóle jest?

— Pani Kilgore, pani Ransom, nie chcemy sugerować, że miały panie z tym cokolwiek wspólnego, jedynie szukamy odpowiedzi,

tak samo jak wy.

— Nie pamiętam. — Wszyscy patrzą na mnie, gdy wypowiadam

to kłamstwo. — Nic nie pamiętam. Przykro mi bardzo. Żałuję, że nie mogę pomóc.

Czuję, jak w środku rozdieram się na pół. Stare walczy z nowym i nie wiem, komu mam być wierna. Niezależnie od tego, co się stało i dlaczego, wyjaśnienie tego gliniarzom nie pomoże.

Teraz polegam na innej sprawiedliwości. *A przynajmniej tak będzie, jeśli on kiedykolwiek wróci.*

Zaciskam oczy, znowu czując, jak w czaszce kołacze mi się to samo pytanie. *Gdzie on jest?*

— Zostawię wizytówkę na wypadek, gdyby cokolwiek sobie pani

przypomniała — mówi jeden z policjantów i nie potrafię odczytać jego tonu.

Czy jestem tak kiepskim kłamcą? Czy domyśla się prawdy?

Mój ojciec żegna się z nimi i odprowadza ich do drzwi. Próbuje poskładać w całość, co się wydarzyło. Otwieram oczy i spoglądam na Temperance. Muszę z nią porozmawiać sam na sam, jednak nie sądzę, by moja mama nam to umożliwiła.

— Nic ci nie jest? — pytam Temperance.

Moja asystentka i zastępca kręci głową.

— Nic mi nie jest. Pochodzę z twardej rodziny. Potrzeba więcej niż jedno uderzenie w głowę, by mnie wykończyć.

— Twój brat...

Temperance mruży oczy znacząco.

— On wszystkim się zajmie.

Czy to właśnie robi Lachlan? Czy dlatego go tu nie ma?

Temperance zerka na moją pozbawioną biżuterii lewą dłoń, a potem spogląda mi w oczy.

— Czy chcesz, żebym jeszcze z kimś się skontaktowała?

— Czy masz mój telefon? — Kolejne wspomnienie do mnie wraca. Właśnie zamierzałam zadzwonić do Lachlana, gdy wszystko pochłonął mrok.

— Nie. Czy pamiętasz, gdzie go zgubiłaś?

Nigdy wcześniej utrata telefonu nie wiązała się z tak poważnymi konsekwencjami. Bez telefonu nie jestem w stanie skontaktować się z moim mężem. Nie znam jego numeru.

— Miałam go w magazynie — mówię jej, czując rosnącą panikę.

— Nikt nie mówił, by go znaleźli, ale mogę zadzwonić do kogo tylko zechcesz w twoim imieniu.

Przygryzam wargę.

— Doceniam ofertę, ale... naprawdę potrzebuję swojego telefonu.

Temperance kiwa głową, a na jej twarzy odbija się zrozumienie.

— Zapytam strażaków. Może znaleźli go i zachowali jako dowód

i zapomnieli o tym wspomnieć.

— Dziękuję.

— Co jeszcze mogę zrobić?

— Możesz ją zostawić, by odpoczęła — mówi szorstko mój ojciec, pozbywszy się policjantów. Najwyraźniej jego szacunek dla Temperance szybko się wyczerpał.

— Tato, przestań. Temperance jest moim zastępcą. Jest niesamowita. Bądź dla niej miły.

— Zastępcą? — Spogląda na nią. — Myślałem, że jesteś sekretarką.

— Przestańcie — mówię słabym głosem. — Nie mam teraz na to siły.

— Davidzie, potrzebuję więcej kawy — mówi moja mama.

— Ale właśnie przyniosłem ci...

— Więcej. Już.

Mój ojciec mamrocze coś i odwraca się do wyjścia.

Moja mama patrzy na mnie przepraszająco.

— Przykro mi, skarbie. Jest zdenerwowany.

Temperance wyciąga dłoń i splata palce z moimi.

— Czy chcesz, żebym tu została, czy mam stać na stanowisku?

— Powinnaś być w domu i odpoczywać.

— Szefowo, wiesz, że to nie wchodzi w grę. A poza tym mam jedynie guza na głowie. Nikt do mnie nie strzelał. Nic mi nie jest.

— Nie mogę cię prosić, żebyś pracowała. Nie ma mowy.

Uśmiecha się.

— Nie musisz mnie prosić i tak bym to zrobiła. Jeśli

czegokolwiek byś potrzebowała, po prostu do mnie zadzwoń.

Gdy puszcza moje palce, mam ochotę błagać ją, by znalazła Lachlana i przyprowadziła go do mnie, jednak nigdy nawet jej o nim nie powiedziałam. Jediną osobą z mojego świata, która o nim wie, jest Magnolia, a ona leży gdzieś tu w szpitalu w śpiączce. Przez tę pieprzoną blond sukę.

Kim ona była? Czy dlatego zniknął? Czy zrobiła mu krzywdę?

Sama myśl o tym mnie obezwładnia, nie mogę się pozbierać.

Czy on nie żyje?

Nie, nie, nie.

Nie zgadzam się, nie mogę w to uwierzyć.

Lachlan Mount jest nadczłowiekiem. Nawet kula nie mogła go powstrzymać. Nie powstrzymała go wcześniej.

To dlaczego go tu nie ma? Jestem rozdarta między gniewem a rozpaczą, mogłabym oddać duszę za to, by zobaczyć jego twarz i upewnić się, że nic mu nie jest.

Nie zostawiłby mnie. *Nigdy.*

Znowu czuję coraz większe zmęczenie, jednak muszę zadać mamie istotne pytanie.

— Czy miałam jakichś innych odwiedzających, mamó? — Gdy kiwa głową, czuję kielkującą nadzieję. — Kogo?

— Och, prawie wszyscy, których znamy tu w mieście, przychodzili pytać o ciebie. Twój tata nie pozwalał im tu wejść, ale mieliśmy tu całą procesję.

— Czy był ktoś... ktoś, kogo nie znałaś?

Marszczy brwi.

— Co masz na myśli, skarbie?

Mam straszną ochotę zapytać ją o to, ale nie mogę. Zamiast tego tchórzę i zamykam oczy, udając, że znowu zapadam w sens. Serce mi pęka.

Gdzie on jest?

46.

Keira

— *Zatańcz ze mną, Lachlan. Zatańcz ze mną w Dublinie.*

Jego twarz, zazwyczaj tak surowa, dziś wieczorem jest inna.

Gdy bierze mnie za rękę i wciąga między tańczących

Irlandczyków, uśmiech zmienia jego twarz w najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek widziałam.

— *Jesteś piękny — oznajmiam. Jestem pijana i jest mi wszystko jedno.*

— *Mężczyźni nie są piękni.*

— *To kłamstwa, wszystko kłamstwa, bo ty jesteś.*

Obraca mnie wkoło, gdy udajemy, że znany ten irlandzki taniec, po czym znowu przyciska do swojego twardego ciała.

— *Możemy się zgodzić, że się nie zgadzamy.*

— *Spoko, ale i tak ja mam rację.*

Jego uśmiech rozjaśnia całe pomieszczenie. Przysięgam, że mógłby nawet rozświecić atramentowoczarne niebo. Pochyla się i jego wargi muskają moje ucho.

— *Nie masz racji, ale i tak jesteś bezcenna.*

— *Cicho, oboje znamy moją cenę. Znalazłeś ją — mówię bez zastanowienia, bez żadnych zahamowań, co wynika z ilości spożytego alkoholu.*

Odsuwa się gwałtownie i patrzy na mnie ze śmiertelnie poważną twarzą.

— *Nie mów tak, bo to głównie prawda. Nie mógłbym cię kupić, choćbym wydał wszystkie swoje pieniądze.*

— *Ale...*

— *Żadnych ale. Cokolwiek sobie myślisz, daję słowo, że się mylisz.*

Myślę, że jestem w poważnych tarapatach, bo serce tłucze mi się jak oszalałe, gdy człowiek, który kiedyś mnie przerażał, patrzy na mnie ciepło i z podziwem.

— *Uważaj, Lachlan. Przecież nie chciałbyś się do mnie przywiązać.*

Jego wargi zawisają tuż nad moimi ustami.

— *Za późno.*

Budzę się gwałtownie, spodziewając się znaleźć obok siebie potężne męskie ciało, ale nie ma go.

— Gdzie on jest?

— Pani Kilgore, dobrze się pani czuje? — Pielęgniarka, która stoi z moją kartą, odkłada ją i podchodzi do łóżka. Ma blond włosy i natychmiast się spinam.

— Ja... Ja... — urywam, bo sama nie wiem, co mam powiedzieć.

Ale na pewno nie, że *dobrze* się czuję.

— Czy ból się nasila?

— Nic mi nie jest.

— Nie brzmi pani dobrze. — Zmierza w kierunku kroplówki, ale

jej nie ufam. Nie ufam *żadnej* z osób, które widziałam w tym pokoju, nie licząc Temperance i moich rodziców.

Lachlan, gdzie u diabła jesteś? Potrzebuję cię.

— Mamo? Powiedz jej, że nic mi nie jest. Nie potrzebuję więcej leków, chcę być przytomna. — Mój głos jest słaby, ale to jedyna obrona, jaką mam, przed nieznaną mi blondynką.

Moja mama budzi się.

— Co? Co się dzieje?

— Chciałam tylko zmienić dawkę jej leków, a potem zabrać ją na badanie.

— Badanie? — Moja mama prostuje się na rozkładanym fotelu po mojej prawej. — Jakie badanie? Co się dzieje?

Pielegniarka zerka na moją mamę, a ja rozglądam się dookoła w poszukiwaniu broni, tak na wszelki wypadek. Taca z

niezjedzonym posiłkiem wciąż leży na stoliku obok łóżka.

Blondynka tłumaczy coś o jakimś badaniu neurologicznym, a ja dyskretnie sięgam wolną ręką po nóż do masła i chowam go pod kołdrą. To niewiele, ale lepsze niż nic.

Czuję chłód metalu pod moją dłońią i przypominam sobie, jak trzymałam szpilkę do włosów Magnolii, tę, którą kazałam dla niej zrobić na zamówienie. Miałam zamiar dziabnąć tę blond sukę, gdyby wróciła. Tylko nie pamiętam jej twarzy.

— Wszystko w porządku, pani Kilgore. Słowo daję, że to rutynowe badanie i zaraz przywiozę ją tu z powrotem. —

Pielegniarka majstruje coś przy stojaku z kroplówką, która coś pompuje w moje żyły, i zwalnia hamulec.

— Pójdę z wami.

Moja mama wstaje z fotela i zastanawiam się, czy jej instynkt opiekuńczy wyrasta z tych samych pobudek co mój niepokój.

Jeśli pielegniarka to ta szalona suka, która próbowała mnie zabić, to nie chcę, by moja mama była w pobliżu. Zwłaszcza gdybym miała zabić tę wariatkę nożem do masła.

— Zaraz wrócimy. Nie ma sensu, żeby szła pani tymi wszystkimi

korytarzami, zwłaszcza że i tak ostatecznie musiałyby pani poczekać za drzwiami — tłumaczy pielegniarka. Widząc, że moja mama wciąż się waha, dodaje: — Przysięgam, że wszystko będzie w porządku.

Jej uspokajający ton działa mi na nerwy i szykuję się do walki.

Milczę, nie chcąc dawać mamie powodu, by poszła z nami.

Gdy wreszcie kiwa głową i z powrotem siada na fotelu, widzę, że jej powieki opadają niemal natychmiast.

— Mamo, wszystko w porządku. Zaraz będę z powrotem.

Powinnaś się zdrzemnąć — Sama nie wierzę w to, co mówię, ale

chcę ją uspokoić.

— Kocham cię, skarbie.

— Ja też cię kocham, mamu.

Mama już chrapie, gdy pielęgniarka wywozi mnie z pokoju.

Korytarze szpitala są ciche i opustoszałe, co wzmacnia moją czujność.

— Gdzie jedziemy?

— To tylko rutynowe badanie głowy, mocno pani oberwała.

Mam na końcu języka pytanie, czy od niej, ale wtedy straciłabym element zaskoczenia, jeśli to rzeczywiście ona.

Moja paranoja wzrasta z każdym metrem, o który oddalamy się od mojego pokoju i mamy. Wreszcie nie mogę już tego znieść.

Zaciskając w dłoni nóż, obracam głowę, ignorując pulsujący ból.

— Kim jesteś i gdzie, do diabła, mnie zabierasz?

Przechodzi w bok, by wcisnąć srebrny dysk otwierający podwójne drzwi, które rozsuwają się przed nami.

— Nie ma powodów do paniki, Keiro. Przysięgam, wszystko będzie dobrze. — Obraca mnie w stronę otwartych drzwi, za którymi widzę tylko ciemność.

— Jeśli spróbujesz mnie choćby tknąć, to klnę się Boga, że...

Unosi dłoń w obronnym geście.

— Nie ma powodu do gróźb. Nie skrzywdzę cię. Nie chcę umierać. Dam wam obojgu kilka minut sam na sam. — Wpycha moje łóżko do ciemnego pokoju i cofa się.

Wam obojgu?

Moje oczy przyzwyczajają się do ciemności. Słyszę skrzypienie butów oddalającej się pielęgniarki, a potem wśród cieni pomieszczenia dostrzegam jego twarz.

47.

Mount

Coś metalowego uderza o podłogę, gdy Keira wybucha płaczem.

Jezu Chryste, jej łzy mnie zabijają.

— Gdzieś ty był? — pyta pośród szlochów, gdy padam na kolana obok jej łóżka.

Po jej policzkach płyną strumienie łez, jest ich tak dużo, że nie nadążam z ich wycieraniem. Wyszarpuje twarz spomiędzy moich dłoni, gwałtownie zaczerpując powietrza.

Przez ostatnie dni usychałem z tęsknoty. Mogłem ją widywać tylko, gdy wieźli ją na badania i z powrotem, a potem gdy wracała do swojego pokoju, znowu traciłem ją z oczu.

Przeklinałem szpital za to, że kamery bezpieczeństwa znajdują się tylko na korytarzach.

— Obserwowałem cię. Byłaś chroniona. Jesteś bezpieczna, przysięgam.

— Ale gdzie, u diabła, byłeś?

Czuję, jak na dźwięk jej załamującego się głosu przeszywa mnie poczucie winy. Doprowadziłem tę silną, dumną kobietę na skraj załamania. To wszystko moja вина.

— Nie mogłem być tutaj. Twoja mama i tata przyjechali, zanim skończono cię operować, więc musiałem się wycofać i udawać, że to mnie nie zabija, tak czekać, by się dowiedzieć, czy przeżyjesz, czy nie.

— Ale...

— Gdy wezwali twoją rodzinę na górę, nie mogłem tam iść. Nie

mogłem wyjaśnić żadnemu z nich, kim u diabła jestem. Kim do cholery jestem dla ciebie i że też jestem teraz częścią rodziny.

— Samo wspomnienie o tych chwilach bezradności jest prawie tak okropne jak ich przeżywanie.

— A więc mnie zostawiłeś? Samą? Na wiele dni? Bym się zastanawiała, czy ta pierdolnięta blond suka zabiła i ciebie?

Wiem dobrze, kogo ma na myśli, gdy mówi o pierdolniętej blond suce.

— Nie byłaś sama. Nawet przez pieprzoną sekundę, Keiro.

Gdyby było inaczej, natychmiast znalazłbym się przy tobie.

— Jak to możliwe, że ty — Lachlan Mount — z całą swoją nieskończoną władzą, nie mogłeś dać mi żadnego znaku, że nic ci się nie stało?

Mrugam, gdy wreszcie dociera do mnie, dlaczego jest taka zdenerwowana. Przez cały ten czas martwiła się o mnie.

— Nie sądziłem, że potrzebujesz takiego znaku.

— Odchodziłam od zmysłów, zastanawiając się, czy żyjesz! Czy nie oszalałam, czy to wszystko było prawdziwe!

— Keiro...

Łzy płyną z jej oczu jeszcze szybciej.

— Nic już nie ma sensu. Nie rozumiem, co się stało. Musisz mi coś wyjaśnić. Kim ona była? A Mags — ona próbowała zabić też

ją. I wszystkie te kobiety...

Przerywam jej, przykładając jej palec do ust. Chciałbym jej wszystko wyjaśnić, ale teraz nie mogę.

— Nie tutaj, Keiro. Nie teraz. Jeszcze nie.

— A kiedy? Muszę wiedzieć.

Ujmuję w dłonie jej twarz, jeszcze raz próbując zetrzeć z niej łzy.

— Wystarczy tych łez, diaboliczko. Jedyne, na czym musisz się skupić, to żeby wyzdrowieć. Pozwól im się sobą zająć.

— Nie! Potrzebuję odpowiedzi i potrzebuję mojego cholernego męża.

— Keiro, ja nie mogę...

— Nie mów mi, że jest cokolwiek, czego nie możesz zrobić, Lachlanie, bo i tak ci nie uwierzę.

Mówi to z takim przekonaniem, że żałuję, iż nie jestem innym człowiekiem. Nie zasługuję na taką wiarę od nikogo. Zwłaszcza teraz.

— I tu się mylisz. Gdybym mógł wszystko, cofnąłbym czas, by nic z tego się nie wydarzyło.

48.

Keira

Jego słowa przeszywają mnie mocnej niż kula, która rozszarpała mi ramię. Żołądek mi się zaciska.

— Wszystko? Ty... — Mrugam, ledwo widząc przez łzy.

Jego twarz marszczy się w wyrazie bólu, który odzwierciedla mój własny. Drzwi się otwierają i wraca pielęgniarka.

— Mam wyjść? — pyta, wyczuwając napięcie między nami.

— Nie, zabierz ją z powrotem — mówi Lachlan. — Na pewno jej

rodzina się o nią zamartwia, gdy nie może jej widzieć.

Otwieram usta, by coś powiedzieć. *Cokolwiek*. Ale to już nie jest Lachlan. To Mount.

Zamykam usta, ale potem stwierdzam „pieprzyć to”. Jeśli to ma być ostatni raz, gdy go widzę, to mam zamiar bez ogródek mu powiedzieć, co myślę i czuję.

— Jeszcze nie skończyłam. *My* nie skończyliśmy.

Spogląda mi w oczy.

— To ja o tym decyduję.

Otwieram usta, słysząc słowa tak podobne do tych, które wypowiedział tamtej nocy w jadalni — pierwszej nocy, gdy zostawiłam ślady paznokci na jego plecach.

Odwracam głowę i spoglądam przez ramię na pielęgniarkę.

Ciało protestuje, reagując bólem mimo leków.

— Proszę wyjść.

— Pani Kilgore...

— Wypierdalaj! Natychmiast.

Pielęgniarka się cofa i drzwi zamykają się jeszcze raz.

Odwracam się i spoglądam na mojego męża.

— Nie skończyliśmy, rozumiesz mnie? *Przysięgałam* i każde słowo powiedziałam szczerze.

Jego twarz zmienia się z granitowej maski w wyraz zdumienia.

— Chcesz powiedzieć, że ja nie?

— Chcesz to wszystko wymazać? Zakończyć?

Wsuwa gwałtownie dłoń we włosy, patrząc na mnie z rozpaczą.

— Jezu pierdolony Chryste, Keiro, nie to miałem na myśli, ale kurwa, powinienem. Gdybym miał choćby cię przyzwoitości, cofnąłbym to wszystko, włącznie z tym razem, gdy pierwszy raz cię dotknąłem. — Brzmi, jakby musiał siłą wydobywać słowa z gardła. — Ale nawet gdybym miał taką moc, nie zmieniłbym tego, co jest między nami. Ani jednej sekundy. Jeśli to czyni ze mnie najbardziej egoistycznego skurwiela na całej ziemi, to niech tak będzie.

— To co w takim razie miałeś na myśli? — Łzy płyną mi jeszcze

szybciej, częściowo dlatego, że nic już nie rozumiem, częściowo ponieważ nie mogę znieść udręczonego wyrazu jego twarzy.

— Że cofnąłbym czas, by oszczędzić ci choćby sekundy bólu.

Wróciłbym do momentu, gdy jedliśmy ciasto i tańczyliśmy. Do czasu przed tym, gdy prawie przeze mnie nie zginęłaś.

W każdym jego słowie brzmi poczucie winy. Nie cierpię tego. To

nie jest jego wina. Nie zgadzam się, by niósł na sobie takie brzemie.

— To nie ty pociągnąłeś za spust, tylko *ona*.

— Ale powinienem był to powstrzymać. Powinienem był wiedzieć.

Wyciągam dłoń, by dotknąć jego ramienia i zaczerpnąć od niego siły. Chciałabym przejąć jego ból, tak jak on pragnąłby cierpieć zamiast mnie.

— Wiem, że jesteś nadczłowiekiem, ale nawet ty nie możesz wiedzieć wszystkiego.

Mięśnie jego szczęk zaciskają się, gdy pochyla się, by ująć mój policzek.

— Powiedziałem, że zapewnię ci bezpieczeństwo, i nie zrobiłem tego. Będę musiał z tym żyć do końca życia.

Wtulam twarz w jego dłoń i całuję ją.

— Jeśli tylko będziesz ze mną przez resztę swojego życia, to jakoś sobie z tym razem poradzimy.

— Keiro... — moje imię brzmi w jego ustach jak modlitwa.

— Muszę tylko wiedzieć jedno.

— Co? — pyta, tuląc moją twarz tak, jakby nigdy nie chciał jej wypuścić.

— Czy teraz jestem bezpieczna?

Kiwa głową.

— Tak. Całkowicie. Wszystkim się zająłem.

Mam ochotę zadać mu jeszcze tuzin pytań, ale jak mówił — to nie czas na to. Ograniczam się więc do najważniejszego.

— Co się stanie, gdy wypiszą mnie ze szpitala?

Lachlan mruży oczy, wpatrując się we mnie z żarem.

— Wrócisz do mnie do domu, tam, gdzie twoje miejsce.

49.

Keira

Mój wypis ze szpitala jest gotowy. Spędziłam tu pełnych siedem dni i powinnam nie móc się doczekać, aż stąd wyjdę, ale nie do końca tak jest.

— Kochanie, jesteś pewna? — Mama ściska mnie za ramię, gdy mój wózek zatrzymuje się w progu prywatnego pokoju. Jestem gotowa się założyć, że płaci za niego mój mąż.

— Wiem, że nigdy nie lubiłaś Mags, ale...

Jej chwyt wzmacnia się.

— To nie to, że jej nie lubiłam. Nie chciałam tylko ryzykować, że wstąpisz na tę samą drogę.

Przełykam ślinę na te słowa. *Jak mogę powiedzieć mojej matce, że stoję na końcu drogi, która jest nieskończenie bardziej niebezpieczna niż ta, którą podąża Magnolia?* Jestem królową grzesznego imperium i planuję spędzić resztę życia u boku jego króla.

Nie mogę jej też powiedzieć o tym, że Magnolia jest w pełni odpowiedzialna za to, gdzie się znalazłam, i że za nic w świecie nie chciałabym zmienić swojej pozycji.

Dłonią, której nie więzi temblak, nakrywam jej dłoń.

— Kocham cię, mamó. Dziękuję za wszystko.

— Ja też cię kocham, skarbie.

— A teraz potrzebuję kilku minut sam na sam z Mags. Ja...

muszę jej coś powiedzieć i potrzebuję przestrzeni.

Puszcza moje ramię i cofa się.

— Dobrze. Będę tuż za drzwiami, a tata zajmie się całą resztą spraw.

Pielęgniarka pcha mój wózek do pokoju i ustawia go obok łóżka Magnolii, a następnie wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Ciemne włosy mojej przyjaciółki skryte są pod bandażem, który zakrywa jej całą głowę. Nikt nie potrafił mi niczego powiedzieć o tym, w jakim jest stanie, poza tym, że jest monitorowana i

znajduje się pod najlepszą możliwą opieką. Nie obudziła się jeszcze i nikt nie wie, czy kiedykolwiek to nastąpi.

Sięgam wolną dłonią i ujmuję jej wiotką rękę.

— Magnolio Marie Maison, to cała ty. — Przełykam łzy. —

Wywołujesz taki zamęt, by zwrócić na siebie uwagę, po czym zostawiasz nas wszystkich w zawieszeniu, byśmy się zastanawiali, co się dzieje.

Pikanie monitorów jest jedyną reakcją na moją nieudolną próbę żartu.

Ściskam jej palce.

— Mags, proszę. Musisz się obudzić. Jesteś wojowniczką. Jesteś najtwardszą kobietą, jaką znam, i nie pozwolisz, by to cię pokonało. Rozumiesz mnie? Nie zgadzam się, byś się miała poddać.

Pikanie monitorów nie zmienia się. Nic nie wskazuje na to, że Magnolia usłyszała choćby jedno słowo. Jednak wiem, że

badania dowodzą, iż ludzie w śpiączce słyszą to, co się mówi przy nich, gdy są nieprzytomni. Mam nadzieję, że moja

przyjaciółka też mnie teraz słyszy, ponieważ gdybym w to nie wierzyła, rozplakałabym się teraz obok jej łóżka.

Co być może i tak zaraz nastąpi.

Unoszę dłoń Magnolii do policzka.

— Słuchaj, kobieto. Nie możesz w ten sposób odejść z tego świata. Nie możesz odejść po cichu. Będą musieli cię stąd zabrać z krzykiem i walką. Słyszysz mnie? *Taka* jesteś. Nie waż się mnie zawieść. Potrzebuję, żebyś się obudziła. Muszę ci coś powiedzieć i muszę być pewna, że to usłyszysz.

Odpowiedzią jest jedynie cisza, co tylko wzmaga potok moich łez.

— Wiem, że zrobiłaś to, co uznałaś, że będzie dla mnie dobre. I że *zawsze* robisz to, co uważasz, że będzie dla mnie dobre. Nie obchodzą mnie inne powody twoich działań, bo dałaś mi coś, za

co nigdy nie będę ci się w stanie odwdzińczyć. Żałuję, że nie podziękowałam ci, gdy miałam okazję.

Czuję jej bijący puls, a jej pierś podnosi się i opada, jednak nic więcej się nie dzieje.

— Mags, jak będziesz mogła powiedzieć „A nie mówiłam”, jeśli się nie obudzisz, by wysłuchać tego wszystkiego? Gdy nie będziesz nieprzytomna?

Opuszczam głowę, a moje łzy ściekają teraz na jej dłoń.

— Wybaczam ci. Kocham cię. Proszę, wróć do mnie. Świat będzie bardziej ponurym miejscem, gdy ciebie w nim zabraknie. *Mój świat* będzie ciemniejszy, a wiem, że tego byś nie chciała.

Czekam długo w milczeniu, jednak Magnolia nadal się nie budzi.

Czego tak naprawdę się spodziewałam? Sceny jak ze *Śpiącej Królowny*? Tego, że moje przebaczenie obudzi moją najlepszą przyjaciółkę niczym pocałunek księcia? Oczywiście tak się nie stało.

— Kocham cię, Mags. — Całuję jej dłoń i odkładam obok niej.
—

Wróć do nas. Obiecuję, że dostaniesz te wszystkie korzyści przysługujące siostrze królowej.

Gdy docieramy do wyjścia, mama opowiada o jakimś wspaniałym mieszkaniu, które razem z tatą wynajęli na kilka tygodni i jak bardzo mi się tam spodoba. Samochód z wypożyczalni stoi przy krawężniku. Mój tata wyskakuje na nasz widok i dociera do chodnika w momencie, gdy za nim parkuje inny samochód.

To czarny mercedes maybach z przyciemnianymi szybami. Nie muszę zaglądać do środka, by wiedzieć, kto siedzi za kierownicą.

— Czy będzie ci wygodniej z tyłu, czy z przodu, skarbie? —

mama nie przestaje mówić, rozważając tę kwestię razem z moim ojcem i nie czekając na moją odpowiedź.

Może i dobrze, bo i tak całą uwagę poświęcam czarnemu samochodowi.

Drzwiczki kierowcy otwierają się i ze środka wysiada V. Zerka na moich rodziców, którzy są tego zupełnie nieświadomi. Gdy patrzy na mnie, kiwam głową, tak jakbyśmy porozumiewali się bez słów.

Tak, jestem gotowa wrócić do domu. Zabierz mnie do niego.

V. odwzajemnia skinienie głowy i rusza w moją stronę. Wstaję z wózka na chwiejnych nogach i V. w jednej chwili znajduje się przy mnie.

Mama obraca się w moją stronę. Wreszcie ona i tata uświadamiają sobie obecność jeszcze jednej osoby.

— Skarbie, co ty robisz? Kim jest ten mężczyzna?

V. prowadzi mnie do tylnych drzwiczek i otwiera je przede mną, jednak zanim zdążę wsiąść do środka, mój ojciec szarżuje w naszą stronę. Gdyby miał broń, jestem pewna, że lufa wciskałaby się teraz w głowę V.

— Nie wiem, co sobie wyobrażasz, ale zabieraj swoje cholerne łapska z mojej córki!

— Skarbie? Co się dzieje? Czy mam wezwać ochronę? — W głosie mojej matki słychać lęk, tak samo wyraźnie jak przed chwilą groźbę w głosie mojego ojca.

Trudno im się dziwić. Wezwano ich w środku nocy i okazało się,

że moje życie wisi na włosku. A jednak nie mogę powiedzieć im wszystkiego.

— Mamo, tato, to mój kierowca. Obiecuję, że nie pozwoli, by cokolwiek mi się stało. Zadbaj o moje bezpieczeństwo lepiej, niż kiedykolwiek uważaliście za możliwe.

Mój ojciec mruży oczy, spoglądając na V.

— To jakim cudem zarobiłaś kulkę, skoro on tak dobrze cię chroni?

Mam ochotę prosić tatę, żeby się ze mną nie kłócił, ale zamiast tego wyprostowuję się tak bardzo, jak jestem w stanie przy swoich obrażeniach, i patrzę prosto na niego.

— Są pewne rzeczy, o których teraz nie mogę ci powiedzieć, tato, ale zrobię to, gdy będę mogła.

— Nie podoba mi się to. Wcale mi się to nie podoba. — Moja mama niespokojnie splata przed sobą dłonie. — Skarbie, proszę, pojedź z nami. Nie wsiadaj do tego samochodu.

V. chrząka.

— Będę ją chronił nawet za cenę własnego życia, to mogę wam przysiąc. — Jego niski głos jest schrypnięty od długiego nieużywania.

W duchu nie mogę wyjść ze zdziwienia. *Ty mówisz, V.? Jaja sobie robisz?*

Unoszę brwi do góry, jednak gryzę się z język, zanim zadam któreś z pytań, które cisną mi się na usta.

— Kim jesteś? Dla kogo pracujesz? Czy my się znamy? — Mój ojciec zaciska szczęki i pięści.

V. znowu milknie, przez co przez głowę przemyka mi myśl, że usłyszenie jego głosu jest równie rzadkie, co zobaczenie pantery albinosa w naturze. To coś, co zdarza się najwyżej raz w życiu.

Spoglądam po kolei w oczy moich spanikowanych rodziców.

— Tato, uspokój się. Mamo, kocham was oboje i przysięgam, że wszystko jest w porządku. Będę bezpieczna i wkrótce się odezwę.

— Keiro... — mówi mój ojciec surowo, jednak przerywam mu, zanim może rozpocząć jakąkolwiek tyradę.

— Widzimy się jutro rano w destylarni, tato. Naprawdę

chciałabym twojej rady, gdy będziemy rozważać nasze kolejne posunięcia. Seven Sinners wkracza na nowy poziom i nie zamierzam się wycofywać.

Mój ojciec przechyla głowę do tyłu.

— Jutro rano? Obiecujesz?

Kiwam głową.

— Tak. Będę tam. Może dzisiaj wieczorem powinieneś zabrać mamę na kolację. Na pewno brakowało jej nowoorleańskiego gulaszu z owoców morza.

Mój ojciec przygląda się uważnie najpierw mnie, potem V.

— Spodziewam się, że wkrótce usłyszę jakieś odpowiedzi.

Uśmiecham się, mimo temblaka prostując się dumnie niczym królowa.

— Dostaniesz je, gdy będę gotowa. Do zobaczenia jutro.

V. pomaga mi wsiąść na tylne siedzenie maybacha i z wdzięcznością przyjmuje fakt, że wewnątrz jest tak wygodne.

Moi rodzice stoją bez ruchu przy krawężniku, gdy V. siada za kierownicą i rusza z miejsca.

— A więc kiedy zamierzałeś mi powiedzieć, że potrafisz mówić?

Nie myśl, że ci teraz odpuszczę.

V. zerka w lusterko i chrząka. Śmieję się i jest to pierwszy radosny dźwięk, jaki wydaję z siebie od tygodnia.

Jadę do domu.

50.

Mount

Równie dobrze mógłbym zmienić imię na Keira, bo od dziesięciu minut chodzę jedynie w kółko po salonie w naszym mieszkaniu. Próbowałam pracować, ale zupełnie nie mogłam się skupić, wiedząc, że ona jest w drodze do domu.

Dom.

Nigdy wcześniej nie myślałem o tych pokojach w ten sposób, jednak odkąd ona tu zamieszkała, wszystko się zmieniło.

Zamek w naszych zewnętrznych drzwiach odblokowuje się i po chwili Keira wchodzi do środka. Rude włosy ma związane w nieporządną kok na czubku głowy, pojedyncze kosmyki wiją się wokół jej twarzy. Stojący za nią V. kiwa mi głową i zamyka drzwi za Keirą, pozostając na zewnątrz.

Moja żona.

Moja kochanka.

Moja miłość.

— On mówi! — wypala Keira.

Mrugam, bo nie takich słów spodziewałem się na powitanie.

— Co?

— V.! Odezwał się! Do moich rodziców. Mój ojciec chciał już wzywać ochronę, jednak V. ... przemówił.

Lekki uśmiech wypływa mi na wargi. Tylko ona mogłaby mnie do tego nakłonić w tym momencie.

— Zawsze potrafił mówić, diaboliczko. Po prostu tego nie robi.

Przykłada zebrane palce jednej dłoni do skroni, po czym rozsuwa je, jednocześnie je rozszerzając.

— Eksplozja mózgu.

Śmiech wyrywa mi się z piersi i odbija echem w pokoju. *Tylko ta kobieta...*

Przechodzę przez pokój i delikatnie ją obejmuję.

— Cholernie za tobą tęskniłem.

— No i dobrze, bo to wszystko bez ciebie to naprawdę nie był piknik. Jedno ukradkowe spotkanie w szpitalu nie wystarczyło.

Już więcej tak nie róbmy, dobrze?

Kładę podbródek na jej głowie.

— Dobrze.

Odsuwa się od mojej piersi i spogląda na mnie.

— Pocałujesz mnie? Proszę?

— Wciąż dochodzisz do siebie...

Jej zielone oczy patrzą na mnie błagalnie. Humor, który zdradzała po wejściu, gdzieś się ulotnił.

— Wiem, ale gdy obudziłam się w szpitalu bez ciebie, bez obrączki i bez naszyjnika, przez chwilę myślałam... w tym swoim szoku... że może nic z tego nie wydarzyło się

naprawdę... — Głos jej się załamuje.

— Przestań, diaboliczko.

Keira potrząsa głową.

— Nie, muszę to z siebie wyrzucić, to ważne.

Przykładam dłoń do jej policzka i ścieram łzę, która płynie jej z oka.

— To mi powiedz.

— Gdy pomyślałam, że możliwe, że wszystko to wytwór mojej wyobraźni, a ty nie istniejesz... To było straszne. Nigdy już nie chcę się tak czuć. Nigdy.

Obejmuję ją ciasniej.

— To jest tak prawdziwe, że bardziej nie można. Ty i ja. Razem na całe życie.

— Obiecujesz?

Puszczam ją i sięgam prawą ręką do kieszeni. Wyjmuję z niej obrączkę, którą odzyskałam z jej osobistych rzeczy w szpitalu.

— Ten pierścionek nigdy więcej nie opuści twojego palca — obiecuję jej i wkładam go jej z powrotem, tam, gdzie jego miejsce.

Jej oczy rozjaśniają się na ten widok, po czym spogląda na mnie i poważnieje.

— Musieliby mi go zdjąć z mojej zimnej, martwej dłoni.

— Nie mów tak. Prawie się załamalem w tej szpitalnej poczekalni, sądząc, że cię straciłem. Ja też nie chcę już nigdy czuć się w ten sposób.

Keira przełyka ślinę i jej oczy znowu zaczynają lśnić od łez.

Pochyla się w moją stronę.

— Pocałuj mnie i umowa stoi.

Ból tych wspomnień znika, starty dotykiem jej warg na moich ustach.

51.

Keira

— Nie może mi zabronić pójść do pracy. Obiecałam ojcu, że tam

będę dziś rano. Słyszałeś mnie. Jeśli uważasz, że gdy się nie pojawię, mój tata nie zadzwoni na policję, to chyba oszalałeś.

V. chrząka i pisze coś szybko na telefonie. Znowu powrócił do swojego milczenia. Mój telefon wibruje, sygnalizując nadejście wiadomości.

Kłótnia

za

pośrednictwem

esemesów

jest

wyjątkowo niewygodna i niesatysfakcjonująca.

V.: Szef powiedział, że masz tu zostać.

— W takim razie będzie mi to musiał powiedzieć osobiście, w przeciwnym wypadku zaraz wyjdę przez bramę dziedzińca i wezwę taksówkę. Myślisz, że mu się to spodoba?

V. marszczy brwi i znowu coś pisze na telefonie.

V.: Jest zajęty. Ma spotkanie. Musisz poczekać.

— Czy w jakimkolwiek momencie, odkąd się znamy, odniosłeś wrażenie, że nie przeszkadza mi czekanie? Jeśli trzeba, będę wrzeszczeć tak długo, aż mnie wypuscicie. Naprawdę nie

trzeba nam tego, żeby mój tata dzwonił na policję, i wiesz o tym lepiej niż ja.

V. znowu chrząka i szturcham palcem w jego twardą pierś.

— Zabierz mnie do niego natychmiast albo naprawdę będziemy mieli poważny problem, znacznie wykraczający ponad to, że jestem wkurzona.

Kolejne warknięcie.

— Już. — Szturcham go mocniej, odkrywając, że wydawanie rozkazów przychodzi mi dość naturalnie.

V. rzuca mi wściekle spojrzenie, po czym odwraca się, wskazując głową drzwi. Na tyle dobrze rozumiem jego język ciała, że wiem, iż oznacza to „za mną”.

— Widzisz? Czy nie jest łatwiej, gdy po prostu robisz, co mówię?

Wychodzimy na zewnętrzny korytarz. Idę za V., po czym wchodzimy do ukrytego za obrazem korytarza.

— Czy jest jakaś mapa tego wszystkiego, którą kiedyś dostanę?

Naprawdę chciałabym potrafić się tu poruszać.

V. nie zwraca sobie głowy odpowiedzią, co zupełnie mi nie przeszkadza, bo w tej chwili głównie interesuje mnie dotarcie do Lachlana możliwie jak najszybciej. Najlepiej zanim mój ojciec zaprzęgnie

cały

wydział

miejskiej

policji

do

przeczesywania miasta w poszukiwaniu mnie i czarnego maybacha.

Biblioteczka przesuwa się i V. przepuszcza mnie przodem, jednak nie wchodzi za mną. Lachlan siedzi za biurkiem i rozmawia z kimś przez telefon. Na mój widok wstaje.

W jego oczach maluje się pytanie „Co ty tu robisz?”.

Odpowiadam bardzo cicho, niemal bezgłośnie.

— Muszę iść do pracy, zanim mój tata zadzwoni na policję.

Lachlan unosi palec i kieruje się w stronę otwartych drzwi, w których stoi V. Ja zaczynam niespokojnie chodzić po pokoju, niecierpliwiąc się, gdy on kontynuuje rozmowę telefoniczną.

Staram się jej nie słuchać. Doszłam do wniosku, że jest mnóstwo rzeczy, których naprawdę nie muszę wiedzieć, jeśli chodzi o interesy mojego męża.

Gdy docieram do jego biurka, obracam się na pięcie, gotując się do marszu w drugą stronę, jednak coś na monitorze zwraca moją uwagę.

Z okrzykiem robię krok bliżej i uderzam biodrem o krawędź biurka. Ledwo rejestruję ból, ponieważ na monitorze widzę przywiązaną do szpitalnego łóżka blondynkę, którą rozpoznaję.

Widziałam ją w szpitalu po wypadku samochodowym i...

Blondynka. Kobieta, która do mnie strzeliła i zamknęła mnie wraz z moją bliską śmierci przyjaciółką w mauzoleum ze stosem trupów.

— Co, do kurwy? — wrzeszczę. — Co, do pierdolonej kurwy?

Lachlan odwraca się w moją stronę. Wyraz jego twarzy zmienia się, kończy połączenie bez słowa i opuszcza rękę z telefonem.

— Keiro...

Robi krok w moim kierunku, jednak zatrzymuję go wyciągniętą ręką, drugą pokazując obraz z kamery.

— Musisz mi to wyjaśnić natychmiast. Już. Bo to nie ma żadnego sensu.

— Keiro... — powtarza moje imię, jednak ledwo to rejestruję poprzez brzęczenie w uszach.

— Powiedziałeś, że się tym zajmiesz. A gdy to powiedziałeś, *uwierzyłam ci!* Wiesz dlaczego? Bo za każdym razem, gdy mówiłeś, że się czymś zajmiesz, oznaczało to, że *się tym, kurwa, zajmiesz i problem zniknie!*

— Czy możesz się uspokoić...

— Nawet nie waż się mówić, że mam się uspokoić! Czy mój mąż

też gdzieś tam jest? Ile osób trzymasz zamkniętych w piwnicy?

Wyraz jego twarzy, już zacięty, staje się kamienny.

— On leży na dnie pieprzonych bagien, nie w żadnej pierdolonej

piwnicy.

Macham gorączkowo w stronę ekranu.

— To co, do cholery, ona tam robi?! Próbowала mnie zabić! To przez nią moja najlepsza przyjaciółka jest w śpiączce! A co z innymi kobietami w tym grobowcu? Dlaczego ona nadal żyje?

Granitowe rysy Lachlana wykrzywają się w wyrazie czystej udręki.

— Bo nie mogłem jej zabić, dobrze? Nie byłem w stanie pociągnąć za pierdolony spust.

Chwytam za krawędź biurka, oddychając ciężko i usiłując zrozumieć, co do cholery się tu dzieje. Najwyraźniej umyka mi coś bardzo istotnego.

— Powiedz mi, dlaczego, Lachlan. Musisz mi to wyjaśnić — mówię ostrożnie, tak jakby moje zdrowe zmysły zależały od każdego słowa. Może zresztą tak jest.

Zastawiam się, czy w *ogóle* znam tego człowieka, który jest moim mężem. Lachlan przeciąga dłońmi po twarzy.

— To skomplikowane.

— W takim razie sugeruję, żebyś to uprościł, i to natychmiast.

Zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle mam pojęcie, kim jesteś, i naprawdę nie podoba mi się, że muszę się nad tym zastanawiać.

Lachlan przyciska palce do skroni i zamyka na chwilę oczy, po czym spogląda na mnie.

— Moja przeszłość jest nieładna.

— A ja wyszłam za ciebie, wiedząc, kim i czym jesteś. A przynajmniej tak sądziłam. — Wskazuję na kobietę na monitorze. — Ona do mnie strzeliła. Powiedziała, że jest twoim przeznaczeniem i że powinienes kochać *ja*. Wydaje mi się, że zasługuję na wyjaśnienie.

Twarz Lachlana zmienia się w tę nieprzeniknioną maskę, którą widziałam już zbyt wiele razy.

— To lepiej usiądź, ponieważ to nie jest krótka opowieść. To historia mojego pieprzonego życia.

Siadam na krześle przy jego biurku. Moje rany i sińce protestują przeciwko gwałtownemu ruchowi i patrzę na nieprzytomną kobietę przywiązaną do szpitalnego łóżka, a następnie znowu spoglądam na mojego męża.

— Możesz zacząć, jak tylko będziesz gotowy. Najlepiej zaraz.

52.

Mount

Trzydzieści lat wcześniej

To był dzień rozdania dyplomów, pierwszego, w jakim kiedykolwiek uczestniczyłem, bo sam oczywiście nie spędziłem w college'u nawet jednego dnia. Gdy patrzyłem, jak Destiny wchodzi na scenę i odbiera swój dyplom MIT, poczułem, jak wypełnia mnie duma.

Po uroczystości czekałem na zewnątrz w tłumie świętujących i obejmujących się rodzin. Nigdy w życiu nie czułem się bardziej nie na miejscu, niezależnie od tego, ile kosztował mój garnitur.

Gdy Destiny wyszła na zewnątrz i zaczęła się przedzierać przez tłum, nie zatrzymała się, by porozmawiać z kimkolwiek.

Patrzyła tylko na mnie i rzuciła mi się w ramiona. Złapałem ją instynktownie.

— Widzisz? Udało mi się!

— Nawet przez sekundę nie wątpiłem, że tak będzie. — Destiny

zawsze była bystra.

— Szkoda, że... Żałuję, że Hope nie może tego zobaczyć.

Poczułem ukłucie winy, ostrzejsze niż sprężynowy nóż, który nosiłem w kieszeni. Nadal nie wiedziałem, czy to ja byłem odpowiedzialny, czy też Hope była martwa, zanim tam

dotarłem. Nigdy nie miałem się uwolnić od tego poczucia winy.

Zmusiłem się do uśmiechu i spojrzałem na Destiny.

— Na pewno spogląda na ciebie z góry.

Uśmiech zadrżał na jej wargach.

— Tak sądzisz?

— Oczywiście.

— Myślę, że masz rację.

Rozpaczliwie pragnąc zmienić temat, zapytałem:

— Jesteś gotowa?

— Tak. Spakowałam już wszystko w swoim mieszkaniu.

Odwróciłem się, jednak wypowiedziane przez nią słowa zatrzymały mnie w miejscu.

— Chodziło mi o to, żeby iść na obiad, nie żeby się przeprowadzić. Nie wracasz do Nowego Orleanu. Nie ma tam niczego dla ciebie.

Wciąż pamiętałem Destiny jako pięciolatkę, pod której drzwiami spałem. Teraz ta młoda kobieta skrzyżowała ramiona na piersi i unosząc z uporem podbródek, powiedziała:

— Wracam. Nie po to harowałam jak wół, by nauczyć się tego wszystkiego, żeby teraz pracować dla kogoś innego.

— O czym ty, do diabła, mówisz?

— Wracam i będę dla ciebie pracować. — Jej ton był stanowczy,

ale nie tak stanowczy jak ja.

— Nie ma, kurwa, mowy. Zero szans. W moim świecie nie przetrwałabyś nawet jednego dnia, Desi. Musisz trzymać się

możliwie jak najdalej ode mnie i od Nowego Orleanu,
poczynając od jutra.

Ruszyłem w stronę samochodu, słysząc za sobą stukanie jej obcasów, gdy spieszyła się, by mnie dogonić. Odblokowałem zamki w wypożyczonym samochodzie, gdy zatrzymała się po stronie pasażera.

— Walka wręcz. Strzelanie. Umiejętność odczytywania mikroekspresji. Zaawansowany kurs prowadzenia samochodu.

— O czym ty, u diabła, mówisz?

— Ostatnie cztery lata poświęciłam na nauczanie się wszystkiego, co tylko mogłoby być przydatne dla organizacji.

Tak, bym mogła być dla niej potrzebna. Pomóc *tobie*. Nigdy nie zastanawiałeś się, dlaczego potrzebuję pieniędzy na dodatkowe zajęcia? Oto dlaczego. Jeśli wydaje ci się, że możesz mnie teraz gdzieś odesłać i że tam zostanę, to nie znasz mnie za dobrze.

— Destiny...

— Nie, teraz jestem J. Czy nie tak to działa? Pierwsza litera mojego nazwiska. Poświęciłeś niemal dwadzieścia lat, by mnie chronić, a teraz moja kolej. Udowodnię swoją wartość dla ciebie. Nie jestem już dzieckiem, Mount. Mogę ci się przydać.

Wykorzystaj to.

— Wysłałem cię tu po to, żebyś miała szansę na normalne życie...

Wyraz jej twarzy zmienił się w kpiący.

— Naprawdę? A czy nie pochodzę z takiego samego bagna jak ty? Myślisz, że w jakiś sposób zmienię się w perfekcyjną panią domu i urodzę kilkoro dzieci jakiemuś sprzedawcy średniego lub wyższego szczebla, który prawdopodobnie pieprzy na boku swoją sekretarkę? Tego dla mnie pragniesz?

— Zabiłbym go.

Na jej twarzy pojawia się wyraz triumfu.

— No właśnie. A gdyby ktokolwiek cię wkurzył, ja zabiłabym jego. Teraz moja kolej, by odwdzińczyć się za to, co robiłeś dla mnie przez całe moje życie. Udowodnię ci, że jestem

dostatecznie silna. Że jestem dość dobra. Zawsze tak to miało wyglądać, Mount. Ty i ja razem przeciwko światu.

Otworzyłem drzwi i wsiadłem do środka, po czym wcisnąłem kluczyk w stacyjkę. Destiny usiadła na siedzeniu pasażera.

Odpalając silnik, myślałem, że nie mogę powiedzieć, iż nie wiem, skąd się to u niej wzięło. Niestety wiedziałem aż za dobrze. Z własnego doświadczenia znałem chęć udowodnienia swojej wartości i tego, by gdzieś przynależeć.

— Nie każ mi tego pożalować, J. — powiedziałem, spoglądając na nią ostro, gdy wrzuciłem wsteczny.

— Zobaczysz. Zawsze będę za tobą.

53.

Keira

Teraźniejszość

Historia tego, przez co przeszły Hope i Destiny, a zwłaszcza fragment o tym, jak Lachlan na oczach Destiny wyniósł ciało Hope z płonącego domu, sprawia, że serce pęka mi na coraz mniejsze kawałki.

Nie z żalu nad sobą, lecz nad nimi. Nad nimi wszystkimi. Nad dziećmi, którymi nigdy nie mogli być. Nad tym, że nigdy nie mieli szansy na normalne życie.

Lachlan poświęcił ostatnią godzinę na opowiadanie mi o wszystkim. Tak właściwie to mówił, zwracając się do mojego ramienia, ściany lub sufitu.

Gdy wreszcie spogląda mi w oczy, ból i niepokój, jaki dostrzegam w jego spojrzeniu, niemal przekracza moją wytrzymałość.

— Gdyby to był ktokolwiek inny, już dawno nie żyłaby za to, co ci zrobiła. Jednak nie byłem w stanie pociągnąć za spust. To sprawia, że jestem największym pieprzonym hipokrytą na

całym świecie, bo zmiotłem z powierzchni tego miasta kartel za to, że przelał twoją krew, a to ona puściła to wszystko w ruch.

To ona zatrudniła jakiegoś podrzędnego członka kartelu, by strzelił. To nie oni to zlecili, tylko ona, i ostatni tydzień, gdy leżałaś w szpitalu, poświęciłem na naprawianie szkód, które wyrządziła. To ona jest powodem, dla którego zawarłem umowę z innym kartelem. Wezmą na siebie odpowiedzialność za to, co się stało, i w zamian dostaną monopol na handel narkotykami w całym mieście. — Znowu spogląda w stronę sufitu. — Ale i tak nie mogłem jej wpakować kulki w łeb, jak na to zasłużyła.

Kurwa, nie byłem nawet w stanie polecić komuś innemu, by to zrobił, bo jestem...

Przerywam mu.

— Bo nie jesteś potworem, za którego się uważałeś? Bo jesteś człowiekiem?

Lachlan spogląda na mnie twardo.

— Nie...

Wstaję i obchodzę biurko dookoła, idąc w stronę mężczyzny, za którego wyszłam, i uświadamiam sobie, że pod pewnymi względami znam go lepiej niż on samego siebie.

— Nie powinnaś...

— Kochać cię? Powiedzieć ci, że po tym wszystkim, co mi opowiedziałeś, ja też nie potrafiłabym jej zabić na twoim miejscu? Bo to właśnie teraz ci mówię.

Ostrożnie siadam mu na kolanach i układam jego sztywne ramiona wokół siebie.

Patrzy na mnie, zmieszany, marszcząc brwi.

— Powinnaś pragnąć jej śmierci za to, co zrobiła tobie i Magnolii. I, Boże, tym wszystkim pozostałym...

Żołądek mi się ściska na myśl o ciałach w mauzoleum, jednak odsuwam myśli o tym.

— Jak mogę pragnąć jej śmierci, skoro opiekowałeś się nią niemal przez całe jej życie? Jest dla ciebie jak młodsza siostra.

Żadne z was nie miało uczciwych szans, nie na początku. To ją złamało. To nie ty to zrobiłeś, Lachlan, tylko jej życie.

— To nie oznacza, że nie jest odpowiedzialna za swoje czyny — mówi głosem niemal tak schrypniętym, jak u V.

— Jest tak samo odpowiedzialna jak ktoś, u kogo stwierdzono niepoczytalność. Ma nie po kolei w głowie, chyba nie zaprzeczysz.

Odwraca wzrok i zaciska szczęki.

— Jest pieprzonym geniuszem, Keiro. Ukończyła studia na MIT z najlepszym wynikiem w grupie. Nie mogę jej usprawiedliwiać. Chwytam jego podbródek i odwracam jego głowę do siebie.

— Ale ja mogę. Może być genialna, a i tak mieć poważne zaburzenia psychiczne, które udało jej się przed tobą ukryć przez tyle czasu. Potrzebuje *pomocy*.

Przełyka ślinę i jego jabłko Adama unosi się i opada.

— I niby jak, u licha, mam jej pomóc? Wie o mnie zbyt wiele, by móc ją przekazać jakiegokolwiek klinice.

— Jesteś obrzydliwie bogaty, Lachlan. Nie mów mi, że nie jesteś w stanie załatwić jej pomocy i jednocześnie zachować swoich sekretów.

Opuszcza głowę, tak że jego czoło dotyka mojego.

— To mnie dręczy, odkąd uświadomiłem sobie, co zrobiła.

— To pozwól mi sobie pomóc. Jesteśmy zespołem. Nie ma niczego, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić.

Unosi głowę i coś w rodzaju podziwu odbija się na jego twarzy.

— Nie zasługuję na ciebie.

— Dobrze, że wiem, iż się mylisz. A teraz do roboty, musisz coś z tym zrobić. Tym właśnie się zajmujesz. A ja muszę iść do pracy, zanim mój ojciec wezwie pieprzone FBI.

Lachlan chowa twarz w moich włosach i szepcze jedno słowo.

— *Dziękuję.*

54.

Keira

Trzy miesiące później

— Dokąd, do diabła, lecimy? — warczy mi do ucha Lachlan, gdy wspinamy się po schodkach do jego odrzutowca. Zarządziłam, by był zatankowany i gotowy do drogi na zaplanowany przeze mnie nasz miesiąc miodowy.

Odwracam się i uśmiecham do niego przewrotnie.

— Pamiętasz, jak dopiero w powietrzu powiedziałeś mi, że lecimy do Dublina? Możesz uznać, że to jedynie fair play, że teraz ja zrobię tak samo. Możesz sobie warczeć, ile chcesz, uważam, że to seksowne.

— Keiro...

— Cierpliwości, mężu. Cierpliwości.

Przeszywa mnie spojrzeniem, jednak nie mówi nic więcej.

Jestem pewna, że musi się z całej siły powstrzymywać, by nie wmaszerować do kokpitu i nie zażądać od pilota podania celu naszej podróży. Pilota, którego zobowiązałam do zachowania tajemnicy pod groźbą utraty pracy.

Okazuje się, że kiedy teraz wypowiadam groźby, ludzie traktują je poważnie.

Nie oznacza to, że ostatnie dwa miesiące minęły nam bez wyzwań. Destiny została umieszczona w zakładzie zamkniętym, gdzie otoczona jest całodobową opieką, obejmującą leki i terapię. Została oficjalnie zdiagnozowana jako przypadek

dysocjacyjnego zaburzenia osobowości. Jest też przerażająco bystra i wielokrotnie próbowała ucieczki. Na szczęście

olbrzymia liczba ochroniarzy, którzy ją strzegą, udaremniła

wszystkie próby, nim udało jej się dotrzeć zbyt daleko. Wiele mówiła w czasie terapii, zdradzając między innymi, że od dawna wiedziała, iż Hope jest pochowana w mauzoleum, bo

śledziła Mounta, gdy w rocznicę śmierci zawoził jej siostrze kwiaty.

Dzięki Bogu Magnolia w końcu się obudziła, jednak nie pamięta niczego, co się zdarzyło. Jest „na zwolnieniu” z pracy, ponieważ potrzebuje długiej fizjoterapii i leczenia. Można powiedzieć, że korzysta z przywilejów siostry królowej.

Destylarnia radzi sobie dobrze i nadal produkuje najlepszą whiskey w kraju. Chociaż, fakt, nie jestem w tej kwestii obiektywna. Mimo że magazyn zapalił się, nie wszystko zostało stracone. Ogień i dym uszkodziły kilka beczek, jednak dzięki swojemu doświadczeniu mój ojciec domyślił się, że dym i zwęglenie baryłek nadało whiskey zupełnie nowy smak — i to dobry. Gdy zabutelkowaliśmy parę z tych, które były już dostatecznie dojrzałe, okazało się, że smak jest niesamowity. To coś, czego być może nigdy nie uda nam się odtworzyć, jednak ze względu na niewielką ilość tej whiskey jej cena stała się zawrotnie wysoka.

Whiskey Phoenix Label z destylarni Seven Sinners jest obecnie jedną z najdroższych na rynku. Eksperymentujemy z wędzeniem i przypalaniem beczek, w których leżakuje whiskey, w sposób, który nie wymaga interwencji straży pożarnej.

Wypuściliśmy też limitowaną edycję whiskey Spirit of New Orleans, która została przyjęta niesłychanie życzliwie. Nasz projekt rozbudowy znalazł się na szczycie listy priorytetów, ponieważ

potrzebujemy

zwiększyć

nasze

możliwości

produkcyjne *na wczoraj*. Jak tylko proces rozbudowy zostanie zakończony, co powinno nastąpić za jakieś sześćdziesiąt dni, rozpoczniemy oprowadzanie wycieczek po destylarni i Nowy

Orlean zyska nową atrakcję turystyczną.

Mama i tata wrócili na Florydę po mniej więcej miesiącu, jednak zanim wyjechali, mój tata powiedział mi coś, na co czekałam od lat.

Nie mógłbym zostawić firmy w lepszych rękach. Jestem z ciebie dumny, Keiro. Osiągnęłaś z Seven Sinners więcej, niż mi się kiedykolwiek marzyło. Twój dziadek i jego ojciec też byliby dumni. Przynosisz chlubę naszemu nazwisku, córeczko.

Wciąż nie powiedziałam rodzicom, że tak naprawdę nie noszę już rodowego nazwiska ani że pierścień, który nam na palcu, to coś więcej niż pierścionełk zaręczynowy. Gdy pytałam mojego męża o radę, zawsze odpowiadał prosto: „Powiedz im albo nie.

Kiedykolwiek będziesz gotowa i cokolwiek zechcesz. Zawsze będę pilnował, żebyś była bezpieczna, niezależnie od tego, co zrobisz”.

Cóż... Wciąż nad tym pracuję, chociaż jestem pewna, że mój tata domyślił się prawdy. Nie jest głupi, a stała obecność V. w pobliżu destylarni jest jasnym sygnałem, że coś się zmieniło.

Co zaskakujące jednak, tata nie naciskał i w jakiś sposób udało mu się też powstrzymać mamę od zadawania pytań.

Nie żyję już w pełnym świetle, jednak Lachlan nie żyje też już wyłącznie w cieniu. Znaleźliśmy złoty środek, a teraz

wyjeżdżamy z kraju, by pobyć znowu Lachlanem i Keirą, tak jak

w Dublinie.

Gdy próbuję usiąść obok niego, Lachlan sadza mnie sobie na kolanach.

— I tak mi powiesz. Domagam się odpowiedzi.

— *Domagasz się?* To grubsza sprawa. To znaczy wiesz, biorąc pod uwagę twoją reputację i tak dalej.

— Żebyś wiedziała, diaboliczko. Powinnaś się mnie bać, bo należysz do mnie.

Mimo że jego ton jest mroczny i groźny, uśmiecham się.

— Należę do ciebie... hm? Czy to oznacza, że mój tyłek należy do ciebie? Czy też nosiłam ten ogromny korek bez powodu?

Szok. Nieczęsto widzę ten wyraz na jego twarzy, ale teraz zdecydowanie tam jest.

— Przepraszam?

Zmuszam się do zachowania powagi.

— Nie lubię się powtarzać.

W jego ciemnych oczach błyska płomień.

— W takim razie będę musiał sam się przekonać, czy się nie przesłyszałem.

Samolot zaczyna się rozpędzać po pasie startowym, gdy jego usta spadają na moje. Wiercę się na jego kolanach, czując, jak gorąco między moimi nogami rozpala się jeszcze bardziej.

Zanim wejdziemy na wysokość przelotową, nie mam już na sobie spódnicy i leżymy splątani na sofie w tylnej części samolotu.

— Potrzebujesz odrzutowca z porządną sypialnią. Czas na zmiany, Lachlan.

— Gdybym widział, że zakocham się w kobiecie, która samym swoim oddechem doprowadza mnie do granic, to już bym taki odrzutowiec miał.

Nieruchomieję, słysząc jego słowa.

— Kochasz mnie?

Minęły miesiące i chociaż byłam właściwie pewna, że Lachlan Mount mnie kocha — zwłaszcza że jest człowiekiem raczej czynów niż słów — to i tak chciałam to od niego usłyszeć.

— Czyś ty zupełnie oszalała, diaboliczko? Oczywiście, że cię kocham. Sama myśl, że mógłbym cię stracić, niemal mnie zabiła. Nigdy nie wiedziałem, jak to jest kogoś kochać, ale ty mnie tego nauczyłaś. Sprawiałaś, że niemożliwe stało się, by cię *nie* kochać.

Przygryzam wargę, czując napływające do oczu łzy.

— Nawet nie waż się płakać. Nie teraz.

— Nie mów mi, co mam robić, Lachlanie Mouncie.

— Będę ci mówił, co masz robić, kiedy tylko zechcę, Keiro Mount. Zwłaszcza gdy jesteś naga.

Ochota na płacz zupełnie mi przechodzi.

— Nie próbuj mnie straszyć dobrą zabawą.

Jego wargi dotykają moich i przejmują nade mną kontrolę, jak zawsze.

— Powiedz, dokąd lecimy — domaga się z ustami przy moich wargach.

— Nie, jeszcze nie.

— Jak długo sądzisz, że dochowasz tajemnicy, gdy będę cię trzymał na krawędzi orgazmu?

— Przekonajmy się.

55.

Mount

— Błagam! Pozwól mi dojść!

— Powiedz mi.

Moja żona odsłania zęby niczym dzikie zwierzę. Mogę poświadczyć, że nim jest, na podstawie szram na moich plecach

— i nie chciałbym, by była inna.

Przyciskam korek, który tkwi w jej tyłku. Zachwyca mnie, jak jej soki spływają na niego, gdy drażnię językiem jej kolczyk.

— Nie!

— Uparta, niedobra diaboliczka. — Bawię się korkiem. — Założę

się, że gdy zanurzę mojego kutasa w tej ciasnej dupeczce, wyśpiewasz moje imię i wszystko inne, co będę chciał wiedzieć.

Wygina ciało w łuk, unosząc się w moją stronę.

Tak naprawdę zupełnie mnie nie obchodzi, dokąd lecimy, ale bycie z Keirą — a zwłaszcza przekomarzanie się z nią i bitwa na siłę woli, gdy jesteśmy nadzy — to moja najulubiejsza rozrywka

na świecie.

— Sprawdź mnie — warczy, rozpaczliwie starając się wykraść swój orgazm. Pozwalam jej na to, bo nie mogę jej niczego odmawiać przez dłuższy czas.

Gdy krzyczy moje imię, jestem dumny z niej, że nie powiedziała, dokąd lecimy. Nigdy wcześniej nie lubiłem niespodzianek, ale z Keirą wszystko jest inne.

Życie nie jest już czarno-białe. Jest wypełnione kolorami i to nie tylko złotym.

— Czy zrobisz, co zapowiedziałeś, Lachlan, czy też całe te moje przygotowania pójdą na marne?

Każdego dnia rzuca mi wyzwania. Jestem w stanie nieustannej czujności i seksualnego podniecenia — niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

— Och, diaboliczko, powinnaś wiedzieć, że nie możesz mnie wystawiać na próbę.

Wyciągam korek z jej tyłka i chwytam żel, który ma w torebce. Czy wspominałem też, że jest najbardziej zaradną kobietą, jaką znam?

Smaruję palce żelem, po czym wypełniam jej niemal dziewiczą dziurkę palcem.

— Do kogo należy ten tyłeczek?

Na jej twarzy pojawia się wyraz oślego uporu.

— Do mnie.

Wkładam w nią drugi palec i przyciskam guzik na pilocie, który leży za mną.

— Może spróbujesz odpowiedzieć jeszcze raz?

— To nie fair! — Jej głos unosi się o oktawę, gdy wciska się we mnie mocniej, podczas gdy wibracje z zabawki, którą ma w cipce, przeszywają jej ciało. — Zaraz dojdę.

— Nie, dopóki nie zanurzę się głęboko w tym tyłeczku, który należy do mnie. Moja kobieta. Moja żona. Moja *miłość*.

Na jej twarzy pojawia się wyraz czułości.

— Nie grasz uczciwie.

— Nigdy tego nie robiłem i nigdy nie będę. Nie, jeśli chodzi o ciebie. A teraz powiedz mi to, co chcę usłyszeć. — Wsuwam w nią palce i wysuwam, czując, jak jej mięśnie zaciskają się.

— Kocham cię.

— I?

56.

Keira

Przysięgam, on zawsze wygrywa.

Ale na moje szczęście, gdy on wygrywa, *ja też wygrywam*.

Lachlan wyciąga ze mnie palce i chwytą mokre chusteczki, które zapakowałam razem z żelem nawilżającym. Mimo że

technicznie rzecz biorąc, wciąż jestem w tym obszarze

dziwicy, to jednak mam spore doświadczenie. Lachlan smaruje swojego kutasa żelem. Spinam się, gdy czuję, jak przyciska główkę członka do mojej najciaśniejszej dziurki.

Mocnym pociągnięciem wyciąga z mojej cipki wibrator na pilota i przyciska go do mojego kolczyka.

— To nie fair!

Napiera na mnie na tyle, że przełamuje opór mięśnia. Czuję, jak zakończenia nerwowe wokół odbytu drżą z przyjemności, a przed oczami tańczą mi iskry.

— Powiedz mi — mówi, drażniąc moją łechtaczkę.

— Należę do ciebie.

W jego spojrzeniu błyska triumf, gdy wciska się we mnie, co sprawia, że ostatnia część mojego wyznania zmienia się w jęk.

— Ale ty należysz do *mnie*.

Wsuwając swojego kutasa w mój tyłek, mój mąż się uśmiecha.

— Lepiej w to uwierz. Twoje ciało. Serce. Dusza.

Wychodzi ze mnie i pieprzy mnie, ale już jestem na skraju orgazmu.

Dochodzę raz za razem, aż wreszcie on też z rykiem osiąga ekstazę. Jego głos odbija się echem w kabinie samolotu. Serca wałą nam jak oszalałe, pot skapuje z czoł.

— A teraz, dokąd, do diabła, lecimy?

— Zobaczysz.

57.

Mount

Gdy samolot dotyka ziemi, Keira wyjmuję z torebki folder i wręcza mi go.

— Co to jest?

— Nie złość się na mnie.

W odpowiedzi czuję, jak się spinam.

— Dlaczego miałbym się złościć?

— Ponieważ ukradłam próbkę twojego DNA, pod fałszywym nazwiskiem i za pośrednictwem skrytki pocztowej wysłałam ją do badania...

Mrugam dwukrotnie, starając się zrozumieć, co powiedziała.

— Dlaczego, u diabła, miałabyś zrobić coś takiego?

Wrywam folder z jej dłoni i spoglądam na niego. Nigdy nie chciałem się dowiedzieć, kim była kobieta, która zostawiła mnie na stopniach kościoła, jednak nie mogę zaprzeczyć, że

zastanawiałem się, jakie są moje korzenie, zwłaszcza po tym, jak zobaczyłem to, jak Keira przeżywała wizytę w Dublinie.

— Ponieważ chciałam, żebyś wiedział, skąd pochodzisz.

Chciałabym być w stanie powiedzieć naszym dzieciom, jakie jest ich dziedzictwo, od strony obojga rodziców.

Spoglądam na jej twarz.

— Czy ty...

Keira potrząsa głową.

— Jeszcze nie. Ale zdecydowanie chciałabym o tym z tobą porozmawiać niedługo.

Dzieci. Rodzina. Rzeczy, o których nigdy nawet nie myślałem przed jej pojawieniem się, ale teraz nie potrafię myśleć o niczym innym. Kiedyś uważałem, że każdy związek oznacza

słabość, jednak teraz nie mam wątpliwości, że ona jest moją największą siłą. Daje mi powód, żeby budzić się każdego dnia i rządzić naszym imperium z honorem, nawet jeśli jest on nieco nadszarpnięty.

Otwieram folder i na pierwszej stronie czytam:

73% Włochy/Grecja

— A więc, gdzie u diabła jesteśmy? — Unoszę wzrok znad strony, głęboko zszokowany.

— W Grecji. Pomyślałam, że zaczniemy tutaj i zobaczymy, co myślisz. Potem pojedziemy na Sycylię. To wydawało mi się odpowiednie. A potem możemy pojechać, gdziekolwiek zechcesz.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— Nie musisz nic mówić. Po prostu chciałam dać ci coś, czego jak sądziłam, sam nie zdecydujesz się sobie sprawić. Coś, co ty dałeś mnie — szansę zobaczenia, skąd się wywodzisz.

— Ja... Naprawdę odebrało mi pierdoloną mowę.

— W porządku. A gdybyś się zastanawiał — dla mnie nie ma znaczenia, skąd się wywodzisz. Ważne jest to, że stałeś się tym człowiekiem, jakim jesteś. Tym, którego pokochałam. Tym, z którym zamierzam spędzić resztę życia, z którym zamierzam założyć rodzinę. I tym, którego kiedyś oficjalnie przedstawię rodzicom, najlepiej zanim urodzi się nasze pierwsze dziecko.

Ostatnie zdanie wypowiada ze śmiechem. Wstaję i ściagam ją z siedzenia.

— Mogą do nas dołączyć we Włoszech. Grecja to nasz miesiąc miodowy, rodzicom wstęp wzbroniony.

Na twarzy Keiry pojawia się uśmiech.

— Umowa stoi.

Epilog

Keira

Miesiąc później — Mardi Gras

Czasami zawarcie paktu z diabłem jest najlepszą rzeczą, jaką można zrobić. Zwłaszcza gdy się okaże, że tak naprawdę wcale nie jest diabłem.

Pomijając dzisiejszy dzień.

Układam rysy w uśmiech i słucham tego, jak właściciel Voodoo Kings z Nowego Orleanu wychwala zalety whiskey Seven

Sinners, a zwłaszcza jego nowego ulubionego trunku Phoenix Label, i staram się skupić mimo wibrującej w moim wnętrzu sekszabawki.

— Bardzo się cieszę, że tak przypadła panu do gustu.

— Będę kupował, ile tylko będę mógł. Na pewno prezes federacji futbolowej też chętnie przytuliłby butelkę lub dwie. A już myślałem, że nic nie przebije Spirit of New Orleans.

— Na pewno zachowam dla pana kilka butelek, sir.

— Doceniam to — mówi, pociągając kolejny łyk.

— Przepraszam na moment, muszę doglądać kilku spraw.

— Oczywiście. Naprawdę urządziliście wspaniałą imprezę. Na pewno w przyszłości chłopcy skorzystają z waszych usług.

Mówiąc „chłopcy”, ma na myśli drużynę futbolową i mam ochotę triumfalnie wyrzucić pięść w powietrze.

— Mamy nadzieję, że już wkrótce rozpoczniemy z wami rozmowy dotyczące przyszłości.

— Dziękuję, pani Kilgore.

Odsuwam się o niego i spinam, czując, jak wibracje przeszywają moje ciało.

Lachlan i ja omal nie rozpoczęliśmy działań wojennych z powodu

tęgo,

że

chciał

całkowicie

przejąć

kwestie

bezpieczeństwa na imprezie. Nie zgodziłam się, ponieważ

Seven Sinners to *moje dziecko*.

— *Biorąc pod uwagę, że chciałbym, byś ty miała moje dziecko, mam prawo zadbać o twoje bezpieczeństwo.*

— *Lepiej nie zaczynaj teraz tej rozmowy. Nawet nie jestem w ciąży.*

— *Zacznę, kiedy będę chciał. Jesteś moją żoną.*

Nasza kłótnia eskalowała do tego stopnia, że zaczęliśmy na siebie wrzeszczeć w naszym mieszkaniu i skończyła się tym, że w gorączkowym pośpiechu zdieraliśmy z siebie ubrania, czyli tak jak kończy się większość naszych kłótni.

Po wszystkim, gdy leżeliśmy w splątanej pościeli, Lachlan zaproponował kompromis. Moi ochroniarze zostaną w razie

potrzeby uzupełnieni przez jego ochronę, ale wszyscy będą podlegali mnie, nie jemu.

Zgodziłam się.

Jednak gdy dziś wieczór pojawiłam się w salonie w sukni balowej, on czekał w idealnie skrojonym garniturze, trzymając w dłoniach znajomo wyglądające czarne pudełko. Gdy je

otworzył,

zobaczyłam

w

środku

czarno-złotą

zabawkę,

wyglądającą niewinnie, chociaż wiedziałam, że jej do tego daleko.

— Możesz ją włożyć lub ja to zrobię, ale nie wyjdiesz bez niej.

— Lachlan, to spotkanie w interesach!

— *Tik-tak*, Keiro. — Spojrzał na zegarek. — Masz piętnaście minut, a potem powinniśmy wychodzić.

Warknęłam, co było nawykiem, jaki przejęłam od niego, i uległam.

— Ale tylko, jeśli najpierw uklękiesz. — Postawiłam jedną obutą w szpilkę stopę na krześle i podciągnęłam spódnicę sukni do góry, ukazując mu lśniące stringi.

W jego ciemnych oczach mignęło pożądanie.

— Tylko dla ciebie. *I z przyjemnością.*

— I słusznie.

Pięć godzin później umieram z chęci, by zaciągnął mnie w jakiś kąt, gdzie będę go mogła błagać, by mnie przeleciał — jednak najpierw muszę go znaleźć w tłumie piłkarzy w maskach karnawałowych i garniturach.

Kiwam głową, uśmiechając się do wszystkich i ciesząc się, że moja twarz jest zakryta i nikt nie widzi, że jestem na skraju orgazmu. Przez kolejne pół godziny szukam go wszędzie, podczas gdy on nie przestaje mnie dręczyć.

Gdzie, u diabła, się podział? Zabiję go, gdy go znajdę.

V. stoi w pobliżu windy, też przystrojony w maskę. Prosił o to miejsce, by mieć oko na kuchnię i na Odile. Nie jestem pewna, co tam się dzieje, ale V. jest w stosunku do niej bardzo opiekuńczy. Poza tym jestem szczęśliwa, widząc, że jest zdolny do uśmiechu, zwłaszcza że nigdy więcej nie słyszałam, żeby się odezwał.

— Gdzie, u diabła, jest mój mąż? — szepczę mu do ucha.

Wskazuje na dół.

— W moim biurze?

V. kiwa głową.

Co za przebiegły sukinkot.

Wsiadam do windy i ruszam w dół, jednak zanim dotrę do piwnicy, winda staje na pierwszym piętrze.

W recepcji Temperance sprzecza się z wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, tłumacząc mu, dlaczego nie chce mu oddać kluczyków do auta.

— Radzisz sobie? — wołam do niej, przytrzymując drzwi windy.

Temperance odwraca się w moją stronę.

— Oczywiście, szefowo. On zarabia na życie grą w piłkę. Nie jest to nikt, z kim nie mogłabym sobie poradzić.

Widzę, jak nozdrza mężczyzny rozszerzają się, i zastanawiam się, czy nie wysiąść z windy i nie załagodzić sytuacji, jednak zabawka w moim wnętrzu znowu ożywa i muszę się chwycić poręczy, by zachować równowagę.

Przypominam sobie, że na zewnątrz budynku czeka Z. „Nic jej nie będzie — mówię sobie. — Co najgorszego mogłoby się stać?”

Wciskam guzik zamykania drzwi i niecierpliwie przytupuję, gdy winda zaczyna jechać w dół.

Zbliżając się do biura, słyszę zza drzwi czyjeś kroki i przypomina mi się moje drugie w życiu spotkanie z Lachlanem

Mountem, które zmieniło moje życie. Otwieram drzwi i

zaglądam do środka, widząc przyćmione światło zalewające biurko.

— Czego chcesz? — szepczę. — Dlaczego tu jesteś?

Wstaje i widzę, jak jego szerokie palce zapinają guzik w marynarce. Jego twarz skryta jest w cieniu.

— Ma pani u mnie dług, pani Mount, i przeszedłem, by go odebrać.

Koniec

Podziękowania

Wiedziałam, że historia Mounta i Keiry jest wyjątkowa od początku, gdy Mount wparował do mojego umysłu w październiku 2016 roku i rozgościł się tam na dobre. Był wymagający. Żądał. Wydawał polecenia. Pożerał moje myśli.

Gdy wreszcie nadeszła jego kolej, przewrócił świat w mojej głowie do góry nogami, przynosząc ze sobą jeszcze bardziej niesamowitą opowieść, niż się spodziewałam. Po pierwszych trzech dniach wstępnych szkiców wiedziałam już, że nie ma mowy, by ta historia zmieściła się w jednej książce. Włożyłam w ten projekt serce, duszę i żywe emocje, co niemal mnie złamało.

Jednego jestem pewna — nie byłabym w stanie dokonać tego sama. Potrzeba wioski, by napisać każdą książkę, jednak ta książka wymagała armii.

Zazwyczaj te podziękowania zostawiam na koniec, jednak tym razem w pierwszej kolejności chciałam wyrazić wdzięczność mojemu niesamowitemu mężczyźnie za to, że panował nad

wszystkim i pomagał mi się trzymać, niezależnie od tego, czy cierpiałam z powodu braku snu, stresu spowodowanego

zbliżającym się terminem, czy zawiłości najtrudniejszej fabuły, jaką kiedykolwiek wymyśliłam. Jest moim największym

wsparciem i źródłem siły. Dziękuję ci, JDW, za wszystko, co robisz. Bardzo Cię kocham.

Angela Smith to kolejna osoba, która zasługuje na mój wielki podziw. To dzięki niej podołałyśmy temu niemożliwemu

zadaniu. Dziękuję, że byłaś ze mną na każdym etapie pracy nad tą książką. Jesteś naprawdę niesamowitą kobietą i jestem wdzięczna, że jesteś moją przyjaciółką oraz częścią mojego zespołu.

Zespołowi JJL, w szczególności Mo, dziękuję za motywacyjne przemówienie lepsze niż wszystkie inne, które pozwoliło mi wziąć tylek w troki i skończyć tę książkę, gdy już myślałam, że mnie pokona. Nigdy, przenigdy nie możemy się rozstać.

Kocham Was wszystkich.

Dziękuję Pam Berehulke, która jak zawsze była źródłem spokoju w moim burzliwym i zmiennym życiu. Proszę, nigdy nie

przestawaj robić tego, co robisz. Współpraca z Tobą przy każdym projekcie, którym się zajmowałyśmy, była ogromną przyjemnością. Dziękuję Ci za dbałość o szczegóły i nieskazitelny profesjonalizm.

Dziękuję Danielle Sanchez — nawet gdy moja kapryśna muza postanawia przewrócić nasze starannie ułożone plany do góry nogami, potrafisz się zmienić i dostosować tak samo szybko jak ja. Dziękuję Ci za wsparcie, zachętę i dobre pomysły.

Jestem ogromnie wdzięczna Jamie Lynn za pomoc w zachowaniu zdrowych zmysłów i ogarnianie wszystkiego, gdy ja zniktałam w czeluściach swojego gabinetu, by pisać. Jestem szczęściarą, mając Cię w moim zespole, i nie mogę się doczekać naszego kolejnego projektu.

Kim i Natasho — dziękuję Wam za bycie wspaniałymi betaczytelniczkami i dopilnowanie, by opowieść o Mouncie i Keirze stała się taką, jaką miałam nadzieję ją uczynić. Wasz czas jest darem i doceniam go bardziej, niż sądzicie.

Cudownym redaktorkom: Julie Deaton i Michelle Lim dziękuję za sokoli wzrok i niesamowicie szybką pracę!

Letitii Hasar dziękuję za kreatywność i umiejętności, które pozwoliły jej wykonać wspaniałe projekty nie jednej, lecz trzech okładek.

Sarze Eirew dziękuję za wykonanie idealnych zdjęć do tej trylogii.



BEZWSTYDNE SEKSOWNE ROMANSE

Od autorki

Uwielbiam dostawać wiadomości od Czytelniczek. Możesz się ze mną skontaktować za pośrednictwem:

mojej strony internetowej: www.meghanmarch.com,

Facebooka: www.facebook.com/MeghanMarchAuthor, Twittera:

www.twitter.com/meghan_march,

Instagrama:

www.instagram.com/meghanmarch

O autorce

Meghan March znana jest z tego, że zdarzało jej się biegać po lesie w ubłoconych butach, z twarzą pokrytą farbą do kamuflażu i zarazem perfekcyjnie zrobionymi paznokciami. Jest impulsywna, łatwo ją rozbawić i zupełnie nie wstydzi się tego, że uwielbia pisać i czytać sprośności.

W

przeszłości

zajmowała

się

obrotem

częściami

samochodowymi, sprzedają bielizny, wytwarzaniem biżuterii i prawem korporacyjnym. Pisanie książek o świntuszających

samcach alfa i pełnych tupetu kobietach, które rzucają ich na kolana, to zdecydowanie najlepsza praca, jaką kiedykolwiek wykonywała.

Uwielbia otrzymywać wiadomości od Czytelników na e-mail:

meghanmarchbooks@gmail.com.

The advertisement features a dark grey background with four hands of different skin tones holding large puzzle pieces. One piece is red, and three are in shades of blue. The text is centered and reads:

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!
<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Spis treści

1.

- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.
- 19.
- 20.
- 21.
- 22.
- 23.
- 24.
- 25.
- 26.
- 27.
- 28.
- 29.
- 30.

[31.](#)

[32.](#)

[33.](#)

[34.](#)

[35.](#)

[36.](#)

[37.](#)

[38.](#)

[39.](#)

[40.](#)

[41.](#)

[42.](#)

[43.](#)

[44.](#)

[45.](#)

[46.](#)

[47.](#)

[48.](#)

[49.](#)

[50.](#)

[51.](#)

[52.](#)

[53.](#)

[54.](#)

[55.](#)

[56.](#)

[57.](#)

[Epilog](#)

Document Outline

- [1.](#)
- [2.](#)
- [3.](#)
- [4.](#)
- [5.](#)
- [6.](#)
- [7.](#)
- [8.](#)
- [9.](#)
- [10.](#)
- [11.](#)
- [12.](#)
- [13.](#)
- [14.](#)
- [15.](#)
- [16.](#)
- [17.](#)
- [18.](#)
- [19.](#)
- [20.](#)
- [21.](#)
- [22.](#)
- [23.](#)
- [24.](#)
- [25.](#)
- [26.](#)
- [27.](#)
- [28.](#)
- [29.](#)
- [30.](#)
- [31.](#)
- [32.](#)
- [33.](#)
- [34.](#)
- [35.](#)

- [36.](#)
- [37.](#)
- [38.](#)
- [39.](#)
- [40.](#)
- [41.](#)
- [42.](#)
- [43.](#)
- [44.](#)
- [45.](#)
- [46.](#)
- [47.](#)
- [48.](#)
- [49.](#)
- [50.](#)
- [51.](#)
- [52.](#)
- [53.](#)
- [54.](#)
- [55.](#)
- [56.](#)
- [57.](#)
- [Epilog](#)

Table of Contents

- [1.](#)
- [2.](#)
- [3.](#)
- [4.](#)
- [5.](#)
- [6.](#)
- [7.](#)
- [8.](#)
- [9.](#)
- [10.](#)
- [11.](#)
- [12.](#)
- [13.](#)
- [14.](#)
- [15.](#)
- [16.](#)
- [17.](#)
- [18.](#)
- [19.](#)
- [20.](#)
- [21.](#)
- [22.](#)
- [23.](#)
- [24.](#)
- [25.](#)
- [26.](#)

[27.](#)

[28.](#)

[29.](#)

[30.](#)

[31.](#)

[32.](#)

[33.](#)

[34.](#)

[35.](#)

[36.](#)

[37.](#)

[38.](#)

[39.](#)

[40.](#)

[41.](#)

[42.](#)

[43.](#)

[44.](#)

[45.](#)

[46.](#)

[47.](#)

[48.](#)

[49.](#)

[50.](#)

[51.](#)

[52.](#)

[53.](#)

[54.](#)

55.

56.

57.

Epilog